

DODATEK SPECJALNY

**BRONISŁAW WILDSTEIN
ZABIERA GŁOS W OBRONIE
PRAWDY O ŚMIERCI
STANISŁAWA
PYJASA**

**HAZARD ZNOW BLISKO
PLATFORMY**

**TUSK KONTRA HOŁOWNIA.
TU JĘCÓW NIE BĘDZIE**

**ZWIAD BOJEM
UKRAIŃSKIEJ OFENSYWY**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

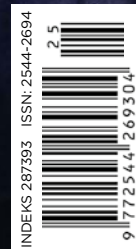
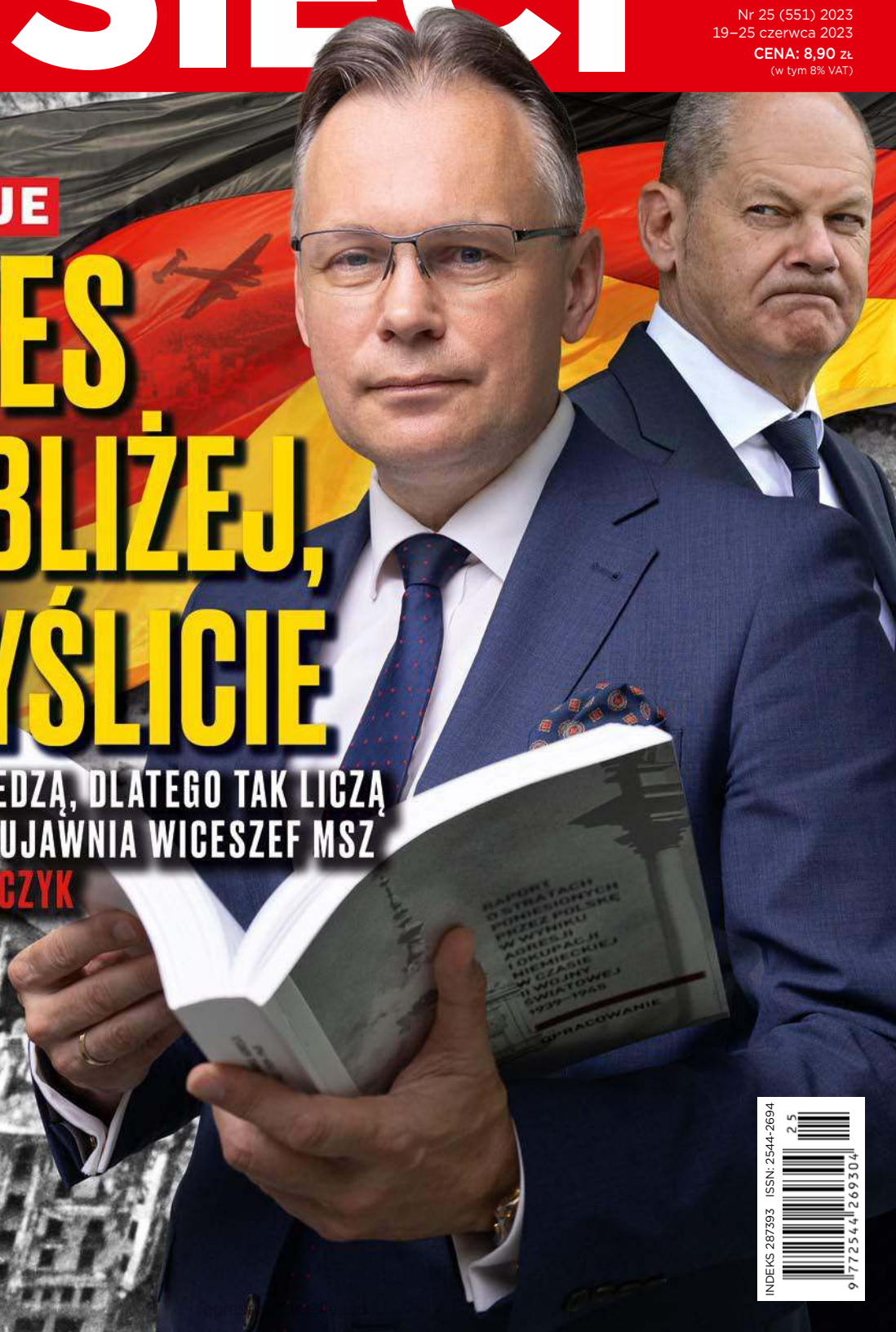
Nr 25 (551) 2023
19-25 czerwca 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

REPARACJE

SUKCES JEST BLIŻEJ, NIŻ MYŚLICIE

**NIEMCY TEŻ TO WIEDZĄ, DLATEGO TAK LICZĄ
NA WYGRANĄ PO - UJAWNIA WICESZEF MSZ
ARKADIUSZ MULARCZYK**





23.06.2023
MIĘDZYNARODOWY
DZIEŃ OLIMPIJSKI
#LetsMove #TeamPolska

SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Główny Partner Medyczny



Główny Partner Medialny



Oficjalny Partner Medialny



Partnerzy Medialni PKOl



Partnerzy PKOl



Partnerzy PKOl



Partner Techniczny



Partner Młodzieżowej Reprezentacji

Referendalna szansa

Fakt, że opozycja nie poparła w Sejmie uchwały sprzeciwiającej się przymusowej relokacji migrantów, jest bardzo złym sygnałem. Oznacza to w istocie, że nie będzie wspólnego polskiego głosu w tej zasadniczej sprawie. Oznacza to także, że w razie zmiany ekipy rządzącej nowa władza ulegnie i zaakceptuje mechanizm narzucany przez Unię Europejską.

W tym kontekście zapowiedziane przez prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego referendum nabiera szczególnego znaczenia. Jest szansą na istotne wzmocnienie stanowiska niepodległościowego rządu w obliczu potężnej presji zewnętrznej i kapitulacji opozycji. W razie gdyby wybory przyniosły (chwilową) zmianę rządu, głos społeczeństwa będzie utrudniał nowej władzy odpuszczenie tej kwestii. Referendum powinno być więc tak sformułowane, by było możliwie najbardziej wiążące.

Jeśli ma ono przynieść oczekiwane efekty, musi zostać odpowiednio rozpędzone. Potrzebna jest długa i intensywna kampania informacyjna, również billboardowa, pokazująca wagę zagadnienia i skutki akceptacji unijnego pomysłu – a także nielegalność forsowanego rozwiązania. Jest potrzebna konsekwencja w promowaniu tego ważnego tematu. W przeciwnym razie partie opozycyjne oraz opozycyjne media mogą odnieść sukces, spychając referendum na margines debaty. Ważne jest takie sformułowanie pytania – lub pytań – by opozycja nie mogła lekką ręką ogłosić bojkotu głosowania powszechnego.

Referendum jest szansą na wielu polach, przede wszystkim jako narzędzie wzmocnienia ochrony Polski przez szalonym pomysłem narzucenia nam przymusowej relokacji. Musi jednak zostać potraktowane bardzo poważnie – organizacyjnie, finansowo, politycznie. Jeśli tak się stanie, okaże się sukcesem. 

Jacek Karnowski

Problem towarzyski

Uporządkujmy fakty w głośniejszej sprawie żądania przez pana Edwarda Lucasa usunięcia jego słów z filmu „Reset”. Pan Edward Lucas jest europejskim korespondentem „The Economist”, autorem książek, dziennikarzem z wieloletnim doświadczeniem, poważną postacią życia publicznego. Można się z jego opiniami zgadzać lub nie. Ma też prawo do swoich przyjaźni i związanych z tym obaw. Ale chyba posunął się tu za daleko.

Pan Lucas funkcjonuje w anglosaskiej przestrzeni medialnej i zna doskonale panujące w niej zasady. Dziennikarze, którzy poprosili go o wystąpienie w filmie „Reset”, przedstawili się z imienia i nazwiska, jasno powiedzieli, dla jakiej stacji przygotowują film, nakreślili kontekst. Pojechali, nagrali, opublikowali – wszystko za zgodą pana Lucasa. Wynika to także z korespondencji, którą zamieścił w internecie.

W systemie mediów zachodnich to byłby koniec sprawy. Nie jest prawem osoby wywiadowanej kreowanie wymowy filmu, cenzurowanie jego treści (np. by nie był on przykry dla znajomego), jakieś dziwne wycofywanie swoich wypowiedzi. Co to za formuła? Czy „The Economist” przyjąłby taką prośbę od któregośkolwiek ze swoich licznych rozmówców?! Nie.

Nie jeden zachodni dziennikarz odwiedził naszą redakcję. Montowali potem ze swoich wizyt w Polsce różne opowieści – mądrzejsze i głupsze. Godząc się na spotkanie, zawsze o tym pamiętamy. Możemy się kolejny raz nie zgodzić, zażądać więcej szczegółów, następnie napisać swój komentarz. Ale nie przyszedłoby nam do głowy dzwonić tam i żądać premontowania materiału. 

Michał Karnowski





38

Z Wojciechem Korkuciem rozmawia Goran Andrijanić

49-
-60

Sprawa śmierci Stanisława Pyjasa
Bronisław Wildstein



62

Jak przeżyć w dżungli? Spytajcie 13-letnią Lesły
Małgorzata Wolczyk

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 RESETOWE DZIECI**
Krzysztof Feusette
- 9 LEKARZE, RATUJCIĘ KOBIETY!**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziej
- 12 WPŁYWY I KOMISJE**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 GRANICE WOLNOŚCI SŁOWA**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA MARIUSZA KOZIKA**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 SYNTEZA DZIEJÓW UMIŁOWANIA WOLNOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 INGERENCJA Z ZEWNĄTRZ**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 22 Z ARKADIUSZEM MULARCZYKIEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky

KRAJ

- 28 HAZARD ZNÓW BLISKO PLATFORMY**
Marek Pyza
- 32 Z GRAŻYNĄ IGNACZAK-BANDYCH**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 36 TRZECIE BEZDROŻE**
Stanisław Janecki
- 38 Z WOJCIECHEM KORKUCIEM**
rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

- 42 ZWIAD BOJEM, CZYLI PIERWSZA FAZA KONTRUDERZENIA**
Marek Budzisz
- 45 PRZYRODA NA WOJNIE**
Przemysław Barszcz
- 62 JAK PRZEŻYĆ W DŻUNGLI? SPYTAJCIE 13-LETNIĄ LESŁY**
Małgorzata Wolczyk
- 66 MELONI DYKTUJE EUROPIE PRAWO AZYLOWE**
Jan Maria Rokita
- 70 PRAWORZĄDNY JAK REYNERS**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 72 NAJWAŻNIEJSZY MIESIĄC LUDZKOŚCI**
Dariusz Matuszak
- 76 NOWE PAŃSTWO**
Artur Kołęda
- 78 ŹRÓDŁA ROSYJSKIEJ AGRESJI**
Konrad Kołodziej

SIECI KULTURY

- 81 JAK TRUDNO BYĆ TATĄ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 85 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 86 MAJEWSKI Z HOLLYWOOD**
Robert Tekieli
- 87 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 88 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 90 Z MARCINEM HORĄŁĄ**
rozmawia Maciej Wośko

SPORT

- 94 NIE TYLKO ZACHWYTY NAD MANCHESTER CITY**
Cezary Kowalski

PODRÓŻE

- 98 MOJE SZLAKI: ANDRZEJ SMOLIK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

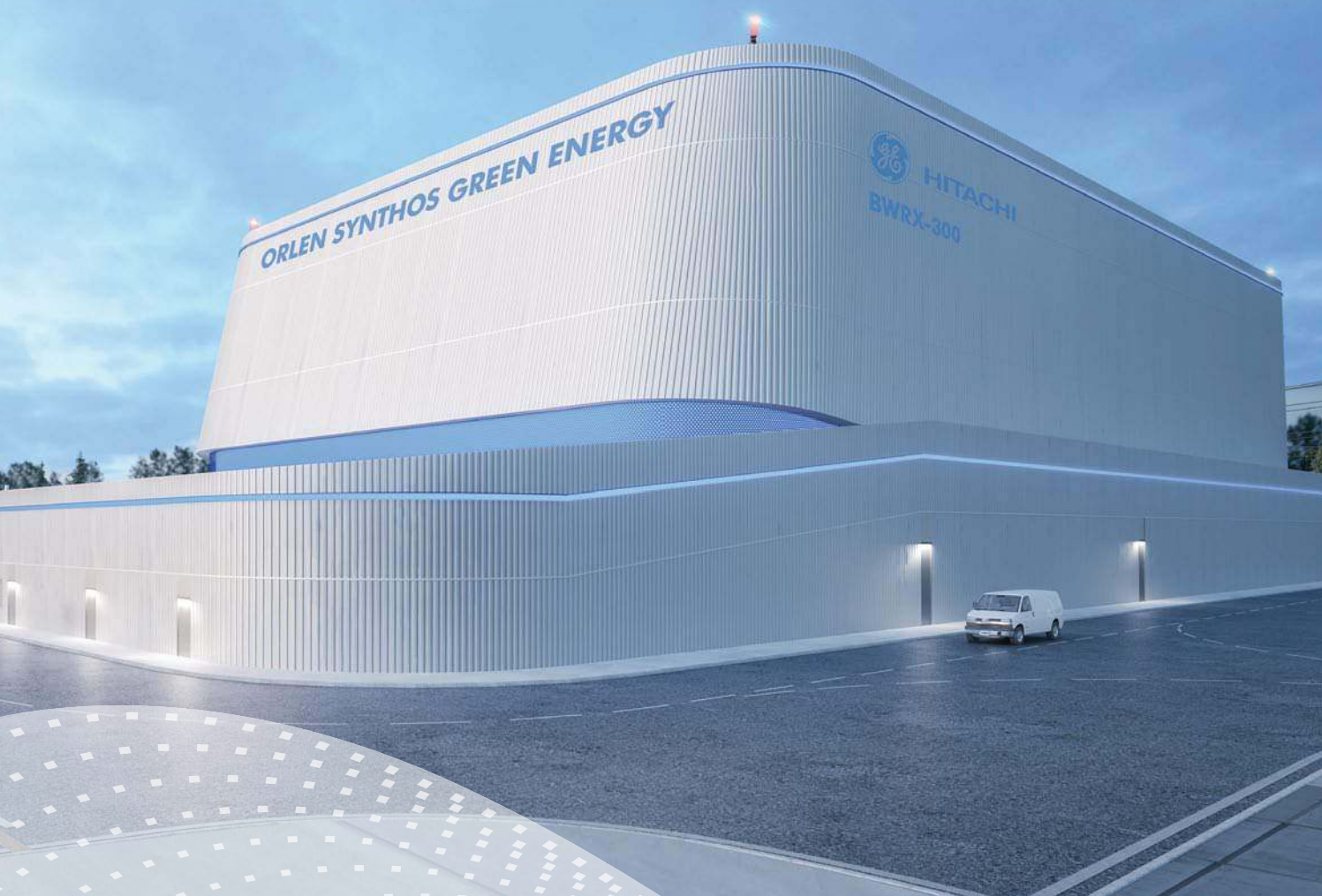
- 99 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 100 PLAMA NA CZOLE**
Piotr Cywiński
- 101 DRAMATYCZNE PYTANIE CIĄGŁE AKTUALNE**
Alina Czerniakowska
- 102 W TYŁ ZWROT!**
Wiktor Świętlik
- 102 POTĘGA SMAKU**
Lech Makowiecki
- 104 TEN BIAŁO-CZERWONY ŁOPOT...**
Leszek Długosz
- 106 KANAREK PRZESTAŁ ŚPIEWAĆ**
Katarzyna Zybortowicz



CZYSTA, TANIA
I BEZPIECZNA ENERGIA
DLA WSZYSTKICH



**MAŁY ATOM,
WIELKA SPRAWA**

Sygnalista nadaaje

 Tam gdzie pojawia się spekulant **George Soros**, tam są i ogromne pieniądze. Ale nic nie ma w życiu za darmo. Od wejścia tego „inwestora” do „Rzeczypospolitej” nasila się wrażenie, że niektórzy autorzy tej gazety tracą rozum. Publicysta i funkcyjny tego pisma Michał Szuldrzyński ukuł ostatnio zgrabne zdanie, że PiS zmarnował polskie pięć minut”, a pozycja Polski zbudowana krwią Ukraińców na wojnie z Rosją zaczyna się walić jak domek z kart. Czyli to nie nasz (rządu PiS) wysiłek pomocowy (czołgi, sprzęt, inne dostawy) i własna aktywność, nasze zbrojenia zbudowały pozycję Polski, ale tylko krew Ukraińców. I ten straszny rząd PiS nawet to marnuje. Zabrakło puenty: dajcie władzę Tuskowi, wtedy żadnych polskich pięciu minut nie będzie, za to co pięć minut będą przychodzić polecenia z Berlina. I nawet krew ukraińska się nie będzie lać, bo Moskwa w porozumieniu z Berlinem weźmie, co chce.

 W tej samej gazecie Andrzej de Lazari poucza abp. Marka Jędraszewskiego, jak powinien odczytywać nauczanie św. Jana Pawła II i recenzuje jakość wiary tego wspaniałego kapłana. Stawia też między wierszami rewolucyjną tezę, że sam papież Polak popierałby paszkwile produkowane na niego w mediach III RP, bo przecież powtarzał: „Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli”. Faryzeusze byliby dumni.

 Dlatego cenimy szczerłość Tomasa Jastruna, który w postkomunistycznym „Przeglądzie” nie bawi się w niuanse. Po najeździe rosyjskim na Ukrainę notował wypowiedzi znanych, którzy deklarowali, że jakby

wojna przyszła do nas, to oni zwiewają natychmiast. Teraz zaś szczerze pisze o celu, w jakim białoczerwone barwy użyto na marszu Tuska: „Flagi polskie i Unii, próba odebrania PiS i Konfederacji monopolu na flagę. Ostatnio tak się porobiło, że jak nagle gdzieś widzę polską flagę, to mi się kojarzy z nacjonalizmem”. Warto zapamiętać. Gdy tylko będą mogli, porzucą flagi narodowe, tak jak zrobili to w wieczór wyborczy Rafała Trzaskowskiego po ostatnich wyborach prezydenckich.

 „Polska uśmiechnięta” pokazała na marszu Donalda Tuska także wykrzywioną nienawiścią twarz, a z ust płynęły potoki obelg. Teoretycznie przeciw Kaczyńskiemu, faktycznie – przeciw tym grupom społecznym, którym po 2015 r. zaczęło się żyć nieco lepiej. Potężna jest siła zawiści. Ale problem z tym uśmiechem jest głębszy. Czytamy w „Newsweeku” o dzieciach, które nie chcą żyć. Są „bezgranicznie samotne, myślą, że życie nie ma sensu, nic dobrego ich nie spotka, niczego nie osiągną. Tną się, głodzą albo objadają, próbują odebrać sobie życie”. Cóż, nieśmiało zapytamy, może liberalno-lewicowe, postępowo-tęczowe recepty na szczęście nie działają tak, jak obiecywano?

 Lewica wniosków jednak nie wyciąga. Polaków zszokowały sceny z tzw. Parady Równości w Zielonej Górze. Na filmie widać, jak przy łuku w barwach LGBT+ tańczy mężczyzna przebrany za kobietę. Obok niego na scenie są widoczne dzieci najwyżej w wieku przedszkolnym. W innym fragmencie na scenie widać grupę bardzo młodych

osób. Długowłosy chłopak śpiewa do mikrofonu (w języku angielskim): „Podwójna penetracja to podwójna satysfakcja”. Czy oglądając to, satysfakcję odczuwała marszałek województwa lubuskiego Elżbieta Polak (PO)? A obecni tam parlamentarzyści Koalicji Obywatelskiej: poseł Katarzyna Osos i senator Wadim Tyszkiewicz?

W mediach III RP takich obrzydlistw jednak nie zobaczysz, podobnie jak nie dowiesz się o straszliwych skutkach lewicowych eksperymentów, choćby krzywdzie dzieci wypychanych w zmianę płci. Odwrotnie: wydawany przez kapitał niemiecki tygodnik pod wodzą Tomasza Sekielskiego próbuje przeszczepić do Polski „miesiąc dumy gejowskiej”. Przez cały czerwiec mamy podobno świętować i rozbudzać dumę z bycia gejami, a jeśli nimi nie jesteśmy, podziw dla gejów. Dwie uwagi. Po pierwsze, czy to nie są prywatne sprawy, kto kim jest pod względem seksualnym? Po drugie, dlaczego miesiąc na gejów, a na bohaterów walki o wolność Polski nawet dnia nie znaleźli?

Propagandowe pudrowanie rzeczywistości trwa tam w najlepsze. Ludzie Platformy pilnują też, by nikt nie kłopotał niewygodnymi sprawami Donalda Tuska. Zwrócił na to celnie uwagę premier **Mateusz Morawiecki**: „Jeszcze raz TVN? To najpierw zwróć się do Donalda Tuska. Panie Donaldzie, dzisiaj na konferencji prasowej na sześć czy siedem pytań do mnie, pięć czy sześć ze strony TVN. Niechże pan ma tę odwagę i chociaż połowę pytań ze strony telewizji publicznej dopuści i odpowie. Proszę nie uciekać. Proszę się nie bać” – zaapelował szef rządu. Jak wiemy, Tusk ma inny pomysł na pluralizm: zlikwidować niewygodne redakcje.

Jednymi z najbardziej niewygodnych są Radio Maryja i Telewizja Trwam. Z okazji 20. rocznicy tego ostatniego ojciec dyrektor Tadeusz Rydzysk CSsR na łamach „Naszego Dziennika” zwrócił uwagę na źródła obecnego układu medialnego: „Mówili, że Kościół jest bardzo bogaty. To propaganda, to ta druga strona ma olbrzymie pieniądze. Wystarczy popatrzeć, ile np. TVN przesyła rocznie milionów dolarów zysku do swojego właściciela w Ameryce. To jest cały układ – wielkie koncerty międzynarodowe powiązane z politykami i biznesem, z tymi, którzy kiedyś trzymali Polskę w okowach komunizmu. Żyją ich dzieci, wnuki i dalej realizują swoje plany – na pewno niekatolickie, często niepolskie”. To ważne słowa: zespołnienie starych komunistów z bloku sowieckiego z nowymi komunistami z Zachodu dużo nam mówi o charakterze systemu, w którym żyjemy.



Dużo nam mówią też zachowania celebrytów III RP. „Dzisiejsza Polska to kraj, z którego trzeba uciekać – i to nie dlatego, że się komuś pali grunt pod nogami czy że nie ma co żreć. Trzeba uciekać, bo życie tu nie ma sensu” – ogłosił jeszcze w 2017 r. reżyser teatralny Krystian Lupa. Nigdzie nie uciekł, wystawia sztuki dalej. Być może w ramach wsparcia „opozycji demokratycznej” w Polsce zaproszono go do La Comédie de Genève, gdzie przygotowywał spektakl „Les Émigrantes”. Dyrekcja niespodziewanie przerwała jednak próby. Media opisują, że reżyser godzinami krążył po scenie pogrążony w szalonym monologu, nie dając zrozumiałych wskazówek aktorom i ekipie technicznej. Kiedy wyczerpana tłumaczka poprosiła o pięć minut przerwy, Lupa miał wpaść w szal i zwymykać ją wulgarnymi słowami. Może to nie z Polską coś jest nie tak, a z panem Lupą?

Ten problem objawił się także we wpisie internetowym dziennikarza Radia Zet Jacka Czarneckiego dotyczącym szanowanego posła do PE, byłego wiceministra spraw zagranicznych **Witolda Waszczykowskiego**. „Waszczykowski – co się z nim dzieje? Po co go pokazywać w takim stanie?” – napisał Czarnecki o polityku cierpiącym na poważną chorobę Kennedy’ego, znaną także jako opuszkowo-rdzeniowy zanik mięśni (SBMA). Wpis Czarneckiego wywołał falę oburzenia. „Tolerancja i empatia wobec chorujących w wykonaniu dziennikarzy »Polski uśmiechniętej«” – celnie podsumował działacz Forum Młodych PiS Oskar Szafarowicz.

Ta Polska ma też problem z prawdą. Dominika Wielowieyska z pisma Michnika stwierdziła, że ciężarna Polka, która trafi do szpitala, bierze udział w rosyjskiej ruletce. „Dla kobiety w ciąży pobyt w polskim szpitalu to rosyjska ruletka. Nie wie, czy w razie zagrożenia uratuje ją jakiś odważny lekarz. PiS przyznaje się do odpowiedzialności za śmierć kobiet, bo jak inaczej interpretować decyzję ministra Niedzielskiego, który teraz będzie coś »uściślał«?” – czytamy w jej wpisie. W odpowiedzi na wpis Wielowieyskiej jeden z internautów przypomniał dokładne dane dotyczące ryzyka wystąpienia śmierci matki w Polsce. Zestawienie pochodzi z raportu Światowej Organizacji Zdrowia. „Ryzyko wystąpienia śmierci u matki w Polsce wynosi według WHO 1 do 19 800. Dla porównania ten sam wskaźnik dla Czech wynosi 1 do 12 100, dla Niemiec 1 do 11 000, a dla Rosji – 1 do 2600”. Tej maszyny propagandowej to jednak nie zatrzyma. Ona nie potrzebuje prawdy, ona żywi się emocjami, choćby budowanymi na tragedii i kłamstwie.

Ta zupełnie nieśmieszna historia wydarzyła się naprawdę i stanowi tylko drobny odprysk resetu Donalda Tuska z Władimirem Putinem. A jednak – tak jak w kwestiach bezpieczeństwa czy polityki energetycznej – także tu wszystkie klocki pasują do obrazka. Nie bójmy się wielkich słów – to obrazek nędzy i rozpaczy, namalowany przez czołowych (do dzisiaj) polityków Platformy Obywatelskiej w czasach, gdy coś rzeczywiście od nich zależało. Np. Polska.

19 grudnia 2013 r. ministrowie spraw zagranicznych Polski i Rosji, Radosław Sikorski i Siergiej Ławrow, zgodnie z wyrażoną przez premiera Tuska wolą „dialogu z Rosją taką, jaka ona jest” (po wojnie czeczeńskiej, mordach politycznych, ataku na Gruzję, Smoleńsku, Kursku, Biesłanie, łagrach dla opozycjonistów...), podpisują w Warszawie wspólną deklarację „Program 2020 w stosunkach polsko-rosyjskich”. Według polskiego MSZ celem dokumentu jest rozwój dialogu i kontaktów na szczeblu rządowym, wejście na poziom aktywnego partnerstwa, rozszerzanie współpracy gospodarczej oraz wspólna aktywność na arenie międzynarodowej, ministrowie wręczają dyplomy za zasługi w zbliżeniu społeczeństw obu krajów. Po latach Sikorski przyzna, że chciał modernizować Rosję. Pod rządami człowieka, który – jak powie kiedyś indziej – jeśli morduje, to detalicznie, więc to nie Stalin, a Rosja nie jest naszym wrogiem. Wtedy, 19 grudnia 2013 r., podpisują z Ławrowem także projekt wspólnej organizacji dużych i długotrwałych imprez, którymi będą od stycznia do grudnia 2015 r. Rok Rosji w Polsce i Rok Polski w Rosji. „Inicjatywa ma pozwolić Polakom i Rosjanom przedstawić własne najważniejsze osiągnięcia gospodarcze, naukowe i kulturalne”.

Dwa miesiące później rosyjscy żołnierze bez dystynkcji, zwani zielonymi ludzikami, uzbrojeni po zęby, zaczynają zajmowanie Krymu. W pierwszą rocznicą wywieszenia przez nich rosyjskiej flagi na budynkach rządu i parlamentu Republiki Autonomicznej Krymu w Symferopolu Putin wydaje dekret o ustanowieniu 27 lutego – Świętem Sił Operacyjnych. 18 marca 2014 r. podpisuje umowę z przewodniczącym krymskiego parlamentu, premierem Krymu i merem Sewastopola – aneksja Krymu staje się faktem. Siedem dni później, 25 marca 2014 r., kongres Rady Europy wydaje oświadczenie, w którym potępia rosyjską agresję. Następnego dnia 42 państwa na forum Rady Praw Człowieka ONZ przyjmują wspólne stanowisko, wyrażając wsparcie dla zachowania integralności terytorialnej Ukrainy.

Dwa dni później politycy PiS apelują do rządu PO-PSL o wycofanie się z organizacji Roku Polski w Rosji i Roku Rosji w Polsce. „Każdy rząd, który miałby poczucie powagi i odpowiedzialności w skali międzynarodowej, wycofałby się natychmiast z takiego przedsięwzięcia” – mówi ówczesny poseł

Resetowe dzieci



KRZYSZTOF FEUSETTE

PiS Kazimierz Ujazdowski w Sejmie. Odpowiedź jest... negatywna. Rzecznik MSZ Marcin Wojciechowski dla PAP: „Na razie stoimy na stanowisku, że warto rozdzielić kwestie polityczne od kwestii wymiany kulturalno-społecznej”. Kolejnego dnia głos zabiera minister kultury Bogdan Zdrojewski, który uważa, iż

nie można z dnia na dzień podejmować decyzji, które dotyczą wielu podmiotów. Bo inaczej niż PiS – wierzy w rozsądek twórców i instytucji polskiej kultury. Kilka dni później MSZ potwierdza, iż nadal prowadzi przygotowania do organizacji Roku Polski w Rosji i Roku Rosji w Polsce, gdyż nie łączy obecnie wydarzeń o charakterze kulturalno-promocyjnym z sytuacją polityczną wokół konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Kilka dni później Zdrojewski jest jeszcze bardziej nieprzejednany i nie zamierza odwoływać w żadnym wypadku niektórych projektów. „Mamy stałą współpracę takich instytucji jak teatry lalek i według mojej oceny ta współpraca nie powinna być niszczone” – mówi w tydzień po zakończeniu Krymu przez Rosję.

Kilka godzin później w jednym z programów telewizyjnych spotykają się politycy różnych opcji. Włodzimierz Czarzasty (SLD) przyznaje, że gdyby był na miejscu rządu, to z obu imprez by się wycofał. Jednocześnie zastrzega, że taka decyzja spowoduje, iż „pozbawimy się możliwości dialogu z Rosjanami, a Rosja jest takim samym sąsiadem Polski jak Ukraina”. Jarosław Sellin (PiS) jest przeciwny organizacji polsko-rosyjskich imprez. Adam Szejnfeld (PO) wyklada kawę na ławę. Twierdzi, że rząd dotychczas nie wycofał się z Roku Rosji w Polsce, gdyż... nie wiadomo, co będzie działo się za naszą wschodnią granicą za tydzień, nie mówiąc już o roku. „Przyznam, że we mnie jest wielka ambiwalencja w tej sprawie” – dodaje Szejnfeld. Ostatecznie chyba by zawiesił. „Mówię o zawieszeniu, nie odwoływaniu” – precyzuje. Artur Dębski (Twój Ruch) straszy i przestrzega. Przed PiS. „To nic innego jak dążenie elit politycznych do zimnej wojny i zamrożenia stosunków z Rosją”. Marek Sawicki (PSL) radzi zachować umiar przy wspieraniu Ukrainy i nie zrywać stosunków gospodarczych. Kilka dni potem wiceminister spraw zagranicznych Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz przekazuje Rosjanom w Moskwie deklarację o woli kontynuacji przygotowań do Roku Polski w Rosji.

Obie imprezy zostają odwołane po czterech miesiącach, 24 lipca 2014 r., a i to pod pretekstem buntu artystów. Tyle czasu zajmuje rządowi PO-PSL rozważenie wszystkich „za” i „przeciw”, które wiążą się ze wspólną organizacją imprez gospodarczych, kulturalnych i naukowych wspólnie z krajem, który przed chwilą najechał na swojego (a przy okazji Polski) sąsiada. Nie trzeba dodawać, że rzecznik rządu Małgorzata Kidawa-Błońska wyraża na koniec nadzieję, iż w przyszłości sytuacja na tyle się ustabilizuje, że będzie znowu można o tym mówić.

To już kolejna dramatyczna historia młodej Polki. Pod koniec maja w szpitalu w Nowym Targu zmarła 33-letnia ciężarna pani Dorota. Kobieta trafiła tam w piątym miesiącu ciąży po odpłynięciu wód płodowych. Zmarła po trzech dniach z powodu wstrząsu septycznego.

I znów, podobnie jak w przypadku pani Izabeli z Pszczyny, proaborcyjna strona dyskursu publicznego winą za śmierć młodej kobiety obarcza Trybunał Konstytucyjny i partię rządzącą. A ja znów ponawiam pytanie: dlaczego lekarze nie ratowali pacjentki? Prawo im tego nie zabrania.

Przypomnijmy, że przepisy prawa dotyczące aborcji, zostały zmienione na skutek wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r. Wcześniej obowiązująca od 1993 r. ustawa o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży zezwalała na dokonanie aborcji w trzech przypadkach: w sytuacji, gdy ciąży stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety, gdy ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego (gwałt, kazirodztwo) oraz w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. Jedynie ta ostatnia przesłanka została uznana przez TK za niekonstytucyjną, ale nie ma wątpliwości, że przepisy nadal dopuszczają możliwość przerywania ciąży w przypadku, gdy stanowi ona zagrożenie dla życia i zdrowia kobiety, a także gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża jest skutkiem czynu zabronionego, m.in. gwałtu.

Po dramacie w Pszczynie Ministerstwo Zdrowia opublikowało wytyczne dla lekarzy dotyczące postępowania w sytuacjach, gdy dojdzie do przedwczesnego odpływania płynu owodniowego. Zwróciło też uwagę na obowiązujące obecnie regulacje prawne i rekomendacje medyczne w tej kwestii. „W przypadku sytuacji zagrażającej życiu lub zdrowiu kobiety (np. podejrzenia zakażenia dotyczącego jamy macicy, krwotoku itp.) zgodne z prawem jest niezwłoczne zakończenie ciąży w oparciu o obowiązujące przepisy ustawy z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży (Dz.U. nr 17, poz. 78 z późn. zm.).

Lekarze, ratujcie kobiety!

Gdy dla jednych wyrok TK jest wygodną pałąk polityczną, to dla innych jest wygodną zasłoną dymną dla błędów, zaniedbań, niekompetencji, a może i zwykłego lenistwa

Mecenas Jolanta Budzowska, prawniczka, pełnomocniczka rodziny zmarłej pani Doroty, a także rodziny zmarłej w 2021 r. Izabeli z Pszczyny w „Rozmowie Piaseckiego” stwierdziła jasno: „W obu przypadkach w mojej ocenie mamy do czynienia z błędem medycznym, z postępowaniem, które było niezgodne z algorytmami postępowania w takich sytuacjach. Lekarze nie zapobiegli śmierci, chociaż wszystko wskazuje na to, że można było zapobiec śmierci obu tych pacjentek”.

Co więcej w obu przypadkach lekarze czekali, choć czas był na wagę złota. W przypadku pani Doroty, gdy stan był już krytyczny z powodu ciężkiej kwasicy metabolicznej, medycy czekali na decyzję wojewódzkiego konsultanta ds. ginekologii i położnictwa, który miałby zatwierdzić lub samodzielnie podjąć decyzję o tym, że należy ze wskazań życiowych usunąć już na tym etapie macicę wraz z płodem. Tymczasem zdaniem Budzowskiej nie ma wymogu, żeby taką decyzję podejmował wojewódzki konsultant, bo każdy lekarz zgodnie z ustawą o zasadach wykonywania zawodu i zasadami etyki ma leczyć chorego, kierując się jego najwyższym dobrem.

Gdy dla jednych wyrok TK jest wygodną pałąk polityczną, to dla innych jest wygodną zasłoną dymną dla błędów, zaniedbań, niekompetencji, a może zwykłego lenistwa. Choć nie zgadzam się z posłankami lewicy w ocenie orzeczenia TK i różni nas podejście do tematu aborcji, to podpisuję się pod apelem jednej z nich:

„Zacznijcie w końcu ratować kobiety! – apelowała w Sejmie do środowiska medycznego posłanka Nowej Lewicy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. – Bez żadnego ale, bez żadnego tłumaczenia się, bez wielkich słów o barykadach, bo nikt państwa na żadne barykady nie zaprasza. My żądamy od państwa wykonywania waszego zawodu!”.

Dorota Łosiewicz





Złudna wiara w komputery

Austria

Do niecodziennej sytuacji doszło niedawno w Linzu podczas zjazdu Socjaldemokratycznej Partii Austrii. W trakcie obrad delegaci wybierali przewodniczącego ugrupowania. Został nim Hans Peter Doskozil, który uzyskał 316 głosów, podczas gdy jego kontrkandydat Andreas Babler tylko 280. Po głosowaniu nowy przywódca nie krył radości ze swojego triumfu. Jeden z uczestników zjazdu miał jednak wątpliwości co do wyniku, ponieważ w ostatecznym podsumowaniu zabrakło jednego głosu. Złożył więc reklamację i dwa dni później zarządzono ponowne liczenie. Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy okazało się, że w rzeczywistości Doskozil dostał tylko 280 głosów, a Babler aż 317 – i to właśnie on został zwycięzcą elekcji.

Dlaczego doszło do tak olbrzymiej wpadki, która rzuca się cieniem na powagę zasłużonej partii? Otóż za pierwszym razem głosy liczono za pomocą arkusza kalkulacyjnego Excel, a za drugim razem ręcznie. Okazało się, że mała pomyłka przy wprowadzaniu danych do programu zaowocowała olbrzymim błędem na końcu całego procesu. Informatycy określają taką sytuację zwrotem GIGO – „garbage in, garbage out”, czyli „śmieci na wejściu – śmieci na wyjściu”.

Tego typu historie będą się zdarzać zapewne coraz częściej, zwłaszcza gdy ludzie będą coraz bardziej bezkrytycznie polegać na obliczeniach dokonywanych przez komputery bez sprawdzenia prawidłowości danych wprowadzonych do systemu.

Do tej pory najbardziej znany przypadek takiego błędu dotyczył wyników badań naukowych opublikowanych w 2010 r. przez dwójkę ekonomistów z Harvardu: Carmen Reinhart i Kennetha Rogoffa. Złe umieszczony wpis w skoroszybie Excela doprowadził naukowców do wyciągnięcia błędnych wniosków. Na ich rezultaty powoływali się później politycy w USA i Wielkiej Brytanii, w tym minister skarbu w rządzie Davida Camerona, uzasadniając prowadzoną przez siebie politykę finansową. Pomyłkę odkryto dopiero po trzech latach. Austriacy byli lepsi: naprawili błąd po dwóch dniach. A ile takich fałszów krąży po świecie?

Grzegorz Górny

Zmiana warty u Sorosa

Międzynarodowy spekulant giełdowy George Soros, którego Fundacja Społeczeństwa Otwartego (OSF) od lat niestrudzenie promuje liberalną wizję świata, postanowił odejść na emeryturę. To bardzo późna emerytura, bo Soros, który skończył 92 lata, nie był w ostatnim czasie aktywny i z tego powodu pojawiały się nawet pogłoski o jego śmierci.

Miejsce Sorosa zajął jego 37-letni syn Alexander, który jeszcze w grudniu ub.r. został wybrany przewodniczącym OSF. Pokieruje też afiliowanym przy Sorosie komitetem wspierającym finansowo demokratycznych polityków w Stanach Zjednoczonych.

Początkowo do roli następcy George'a Sorosa był przymierzany jego 53-letni syn Jonathan pochodzący z innego małżeństwa. Przez wiele lat Jonathan pomagał ojcu w interesach. Jako finansista z zawodu nie podzielał jednak wielu ideologicznych obsesji ojca, uważając, że należy skupić się na zarabianiu pieniędzy, a nie na pompowaniu ich w lewicowe projekty zbawiania świata. Ostatecznie więc Jonathan został odsunięty od spraw OSF, a sam Soros miał rozważać przekazanie swoich interesów w ręce osoby spoza rodziny – pod warunkiem oczywiście, że będzie to osoba politycznie pewna i odpowiednio uświadomiona.

Okazało się jednak, że Alexander – znany wcześniej głównie z rozrywkowego trybu życia – podziela radykalne poglądy ojca. W ostatnim czasie jeździł m.in. do Amazonii, gdzie nawiązał kontakt z miejscową ludnością indiańską oraz miał jakoby walczyć z wyrębem lasów tropikalnych i zmianami klimatycznymi. Młody Soros uważa się w związku z tym za znawcę problematyki latynoamerykańskiej i deklaruje, że będzie działał na rzecz latynoskich imigrantów w USA.

Według amerykańskich mediów Alexander Soros w znacznie większym stopniu niż jego ojciec odwołuje się do swojej żydowskiej tożsamości i jest od niego bardziej religijny. Alexander Soros uważa się również za „bardziej politycznego”. Niedawno – jak donosi „The Wall Street Journal” – spotkał się z urzędnikami administracji Bidena, przywódcą demokratycznej większości w Senacie Chuckiem Schumerem i głowami kilku państw, w tym z prezydentem Brazylii Lulą da Silva i premierem Kanady Justinem Trudeau.

Na razie Alexander Soros jest skupiony głównie na polityce wewnętrznej w Ameryce. Jak twierdzi, bardzo niepokoi go perspektywa powrotu Donalda Trumpa do władzy i sugeruje, że zrobi wszystko, by się temu przeciwstawić. Chciałby jednak przyjąć inną taktykę działania niż ojciec. Wyborców Trumpa określa jako ludzi zagubionych, których nie powinno się mieszać z błotem, lecz przekonać, że źle oceniają sytuację. Mogłoby to wskazywać, że w kręgu jego zainteresowań jest szeroko rozumiany przekaz informacji. Przyszłoroczna kampania prezydencka w Ameryce będzie więc dla młodego Sorosa pierwszym poważnym testem.

Konrad Kolodziejski



USA

Alexander Soros

Unia brzydnie Niemcom

My, Europejczycy” – pod takim hasłem niemiecka sondażownia Infratest Dimap przeprowadziła w 2004 r. badanie opinii publicznej. Wówczas 48 proc. ankietyowanych Niemców odpowiedziało, że czuje się Europejczykami, a 52 proc., że nie czuje się nimi lub czuje się tylko w niewielkim stopniu.

Na początku czerwca Infratest powtórzył to badanie. I okazało się, że w ciągu ostatnich 20 lat europejska tożsamość Niemców dalej się zmniejszała. Już tylko 41 proc. z nich utożsamia się z hasłem „My, Europejczycy”, podczas gdy 56 proc. słabo lub wcale. Co czwarty Niemiec (27 proc.) uważa, że Niemcy głównie tracą na członkostwie w Unii, a 14 proc. twierdzi wręcz, że ich kraj powinien pójść śladem Wielkiej Brytanii i opuścić Unię. Ponadto 38 proc. jest zdania, że kraje członkowskie powinny odzyskać część kompetencji przekazanych instytucjom unijnym. To o 16 pp. więcej niż trzy lata temu. O pogłębieniu integracji marzy zaledwie jedna trzecia Niemców (34 proc.).

Zdaniem ekspertów rosnący eurosceptycyzm za Odrą to wynik wielu problemów z ostatnich lat, takich

jak kryzys finansowy, migracyjny, pandemia i wojna na Ukrainie, a także wyraz braku zaufania do rządzącej koalicji SPD, Zielonych i FDP. 60 proc. ankietyowanych jest zdania, że kanclerz Olaf Scholz nie przyczynia się do pogłębienia europejskiej wspólnoty.

Obraz Unii Europejskiej i miejsca Niemiec we wspólnocie jest za Odrą zupełnie inny niż w Polsce. Wiele Niemców uważa bowiem, że są głównymi płatnikami w Unii, którzy musząłożyć z własnych pieniędzy na kraje południa i wschodu Europy. W 2012 r., po kryzysie finansowym 49 proc. zadeklarowało w badaniu instytutu TNS Emnid, że bez Unii żyłoby im się lepiej, a 65 proc. uznało, że wprowadzenie euro zaszkodziło Niemcom. Ten obraz ciężko pracujących niemieckich podatników utrzymujących pozostałe państwa był wzmocniony przez niemiecką prasę piszącą o leniwych Grekach lub chytrych Włochach. Do tego dochodzi jeszcze frustracja z powodu bardzo kosztownej dla obywateli polityki klimatycznej.

Ponad połowa Niemców (52 proc.) jest jednak otwarta na dalsze rozszerzenie Unii, w każdym razie na Ukrainę. 37 proc. jest temu przeciwna.

Aleksandra Rybińska

Niemcy

Powtórka z kryzysu?

Amerykańskie media, powołując się na źródła w wywiadzie, poinformowały, że Pekin i Hawana zawarły tajne porozumienie o budowie na Kubie chińskiej bazy wywiadu radioelektronicznego, która byłaby w stanie przechwytywać sygnały z południa Stanów Zjednoczonych. To kolejna, po niedawnym skandalu z balonami szwiadowczy, informacja mająca świadczyć o nasilającej się penetracji wywiadowczej ze strony chińskich służb.

Kubański wiceminister spraw zagranicznych Carlos Fernández de Cossio nazwał amerykańskie doniesienia oszczerstwami fabrykowanymi wyłącznie po to, by przedłużyć obowiązujące sankcje. I choć John Kirby, występując w imieniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA, zapewniał, że informacje mediów

są nieprecyzyjne, to w Waszyngtonie wybuchła polityczna burza. Kierujący komisją Senatu ds. służb specjalnych demokrata Mark Warner i jego zastępca republikanin Marco Rubio wydali wspólne oświadczenie, w którym piszą, że są dogłębnie poruszeni informacjami o współpracy wywiadowczej między Pekinem a Hawaną. Informacje te zostały ujawnione w czasie, kiedy administracja Bidena próbuje ustalić termin nowej wizyty sekretarza stanu Antony'ego Blinkena w Pekinie. Poprzednią odwłano po aferze z chińskim balonem szpiegowskim, ale niedawno z poufną misją do Pekinu pojechał szef CIA William J. Burns, a wołę odprężenia w relacjach z Chinami zadeklarował Jake Sullivan.

Za czasów zimnej wojny ZSRS miał na Kubie, w miejscowości Lourdes, bazę nasłuchu radioelektronicznego w której pracowało 1,5 tys. wojskowych specjalistów. Została ona zamknięta w 2001 r., ale eksperci ds. wywiadu

obawiają się, że Chińczycy mogą być zainteresowani jej ponownym uruchomieniem. Gdyby zrealizowali swoje plany, to do wykorzystywanych dziś 260 satelitów szpiegowskich mogliby dodać nowe możliwości przechwytywania danych z obszaru Stanów Zjednoczonych. Zagrożenie jest tym większe, że najważniejsze amerykańskie bazy wojskowe mieszczą się właśnie na południu – w Tampie na Florydzie, gdzie jest zlokalizowane centralne dowództwo, i w Fort Liberty w Karolinie Południowej, gdzie jest największa baza wojskowa.

Zdaniem ekspertów współpraca kubańsko-chińska jest groźna także z tego powodu, że Chińczycy mogą zintegrować ze swoim systemem wywiadowczym kubańskie drony rozpoznawcze. Senator Bob Menendez, demokratyczny przewodniczący komisji ds. polityki zagranicznej, powiedział, że działania Chin na Kubie należy traktować w kategoriach zamachu na Stany Zjednoczone. Jeśli taka interpretacja zwycięży, a Pekin i Hawana zaczną realizować wspólne przedsięwzięcia szpiegowskie, to możemy mieć do czynienia z powtórką kryzysu kubańskiego, który przed 60 laty postawił świat na progu wojny jądrowej.

Marek Budzisz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wpływy i komisje

Stosunki polsko-niemieckie stają się coraz bardziej napięte. Prasa niemiecka agresywna. Komisarze stymulowani niejawnymi wpływami, nieustannie chcą nas karać finansowo. Nie wiadomo, czy spotkanie przedstawicieli państw Trójkąta Weimarskiego coś w tej materii zmieni. Ale prawdę mówiąc, nie muszą być najlepsze te stosunki. Niech się Niemcy opamiętają. To oni są nam winni zadośćuczynienie za liczne przestępstwa dawne i nowe. Pora odłożyć na lepsze czasy manierę przebaczenia wobec złoczyńców, bo się rozzuchwalają. Szukają symetrii we wzajemnych przewinach. W każdej antypolskiej inicjatywie ze strony Centralnego Komisariatu UE widać, kto pociąga za sznurki brukselskich kukielek. Nie potrafią być partnerami. Chcą się tu panoszyć. Zainstalować tu swój rząd. Tak jak Stalin zainstalował Bieruta. W jakim celu? Żeby nas wyzyskiwać. Przyzwyczaili się od paru wieków, że można Polskę okradać, i trudno im się odzwyczaić. Nawet wykonanie prostego gestu – jak zwrot bezspornie polskich dzieł kultury – nie jest z ich strony możliwe. Takie sobie uchwalili prawa, że nie da się ich ominąć.



**Jan
Pietrzak**

Mówił o tym wicepremier Głiński, jak nonszalancko potraktowała te problemy berlińska rozmówczyni.

Inny przyjazny gest, którym miał być pomnik polskich ofiar III Rzeszy, też po latach dyskusji nie doczekał się realizacji. Akurat ten temat jest szczególnie delikatny. Czy to nie jest zbyt dwuznaczny pomysł, żeby mordercy stawiali pomnik bohaterom? Nie wiem, czy bohaterowie by sobie życzyli. Natomiast absolutnie jednoznaczna jest sprawa odszkodowań. Akt znany z historii wielu wojen. Jako obecni sojusznicy mogliby okazać odrobinę dobrej woli, zrozumieć, co uczynili spokojnym sąsiadom

w 1939 r. Wołą nie rozumieć.

Zresztą bieżących wydarzeń też nie rozumieją. Ich media dziwią się, po co Polakom komisja do badania wpływów rosyjskich. Podejrzewają, że w celu utracenia Tuska, ich kandydata na polskiego premiera. Niechęć budzi program TVP pod nazwą „Reset” o serdecznych relacjach z Putinem. Do czego to podobne, żeby kawalera najwyższych odznaczeń Rzeszy tak postępować? Niewykluczone, że po wyborach powstanie potrzeba powołania komisji do zbadania wpływów niemieckich...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wołę metro. Kiedy wreszcie będzie wszędzie

Jako mieszkaniowiec centrum stolicy (choć formalnie Woli, dzielnicy peryferyjnej, ale nie będę ukrywał, że akurat ja żyję w środku miasta) napiszę tu, które środki transportu lubię najbardziej. Oczywiście metro i tramwaje. Ale mam z nimi problem. I jedne, i drugie jadą, gdzie chcą, a nie tam, gdzie potrzeba. No i metro jest w ogóle dość ubogie, dość przywołać memy, które pokazują, ile linii (i jak ułożonych) mamy w stolicy Polski w porównaniu z innymi europejskimi stolicami. Ponoć Warszawa jest jedyną stolicą na świecie, w której stacja metra nie jest bezpośrednio połączona z głównym dworcem kolejowym.

Cogorsza, obecne ceny biletów komunikacji miejskiej (ponoć niewysokie) powodują, że na krótkiej trasie – powiedzmy, ode mnie z domu do pracy – bardziej opłaca się pojechać samochodem niż tramwajem i metrem, z których musiałbym skorzystać, rezygnując z auta. Więc wsiałam w samochód i jadę.

Nie ma co ukrywać: wszystkie pomysły na utrudnianie korzystania z prywatnego transportu samochodowego w tej sytuacji to debilizm i brak zdrowego rozsądku, innymi słowy: autorytaryzm. Zawsze powtarzam rozsądną – jak mi się na mój chłopski rozum wydaje – ideę: najpierw dobra komunikacja



**Dominik
Zdort**

miejska, potem – jeśli to konieczne – ograniczenia dla samochodów. Niestety, prymitywni ideologiczni idioci związani z warszawskim ratuszem tego nie pojmują. A akurat ten ratusz woli idiotów prymitywnych niż wysublimowanych. I nie pytajcie mnie dlaczego. Może chodzi o to, żeby szefowi nie robić konkurencji.

Zwężanie ulic (kolejny pomysł to okolice stołecznego Ogrodu Saskiego) nawet bym zaakceptował – gdyby w mieście była dobra publiczna komunikacja. W obecnej sytuacji jest to tylko diaboliczna represyjka wobec mieszkańców miasta. Chciałbym, żeby prezydent stolicy i jego akolici byli równie odważni wobec

dzielnic, gdzie mieszkają ich wyborcy: niech zwężą do jednego pasa arterie na Wilanowie czy Białolece. Niech tam zlikwidują tramwaje i nie doprowadzą metra.

Przestańmy to ukrywać i zamydlać. Gospodarka transportem miejskim to nie jest infrastruktura, ale ideologia i polityka. Chodzi o to, by utrudnić życie tym, którzy nie lubią bezczelności rowerzystów i bezkarności hulajnogistów, którzy chcą powrotu do normalności i wygody. Jakoś dziwnie brak zdrowego rozsądku pokrywa się z ideologiami.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Granice wolności słowa

Para ukraińskich liberalów opublikowała artykuł w „The New York Times”. Twierdzą, że władze Kijowa wykorzystywały agresję Rosji na Ukrainę do poprawy swojego wizerunku, a naprawdę są to nacjonalistyczni ultrakonserwatyści. Zależy im wyłącznie na suwerenności i prawie do samostanowienia oraz nie zajmują się liberalnymi wartościami ani prawami człowieka. Autorzy podkreślają, że demokracja (ozgrozo!) nieliberalna ma się w Ukrainie całkiem dobrze.

USA, które pod wodzą Bidena znowu znalazły się w czołówce liberalnego postępu, nie są wobec tych oburzających zjawisk bezbronne. Powinny wstrzymać militarno-finansową pomoc dla prawicowego rządu, by wymóc na nim zmianę polityki albo jego ustąpienie.

Artykuł wywołał oburzenie na Ukrainie. Został potępiony w mediach społecznych, co z kolei zbulwersowało jego autorów.

„Wolność słowa polega na tym, że dziennikarze, intelektualiści, aktywiści mają prawo wypowiedzieć swoje poglądy. Wtedy można z nimi dyskutować, polemizować, krytykować. A zawstydzanie, opluwanie, wyzywanie od agentów, grożenie wieszaniem i goleniem głowy nie ma nic wspólnego z wolnością słowa. Ma za to wiele wspólnego z uciszaniem niewygodnego adwersarza, zakrzykiwaniem go, niszczeniem. To droga Ukrainy wprost do despotyzmu” – napisała autorka.

Czy naprawdę chodzi o wolność słowa?

W rzeczywistości streszczony powyżej artykuł zamieścili w NYT para redaktorów „Kultury Liberalnej” Jarosław Kuisz i Karolina Wigura, a dotyczył on Polski.

Sytuacja Ukrainy i Polski znacznie się różni. Nasz kraj tylko pośrednio uczestniczy w wojnie za swoimi wschodnimi granicami. Ale uczestniczy. Bez polskiej pomocy zwłaszcza w pierwszym etapie wojny Ukraina mogłaby nie przetrwać. Rosjanie doskonale to wiedzą i dlatego nam grożą. Wyprzedzająca próba rozbicia polskiej granicy z Białorusią i uczynienia z naszego kraju otwartej bramy dla emigracji z Trzeciego Świata do Europy jest wariantem wojny hybrydowej. Środowiska artystyczno-intelektualne w naszym kraju, które w imię humanitaryzmu domagały się i domagają otwarcia go dla „uchodźców”, odgrywają rolę nieświadomych agentów Putina, a ich głupota niczego nie zmienia.

Wyobraźmy sobie setki tysięcy, a może i miliony nielegalnych przybyszów, którzy przedzierają się na zachód i koczują w naszym kraju po najbardziej prawdopodobnym zamknięciu przez Niemcy swojej granicy – jestem przekonany, że te same środowiska, które wzywają do otwarcia się na uchodźców, takie zachowanie naszego zachodniego sąsiada uznałyby za uzasadnione przez... nieporadność rządu PiS. Wyobraźmy sobie frustrację Polaków i chaos, które uniemożliwiłyby pomoc Ukrainie i przy-

jęcie realnych uchodźców z tego kraju. Tym walczącym o przyjęcie nasyłanych na nas imigrantów się nie przejmują ani o tym nie myślą. Myślenie zastępują im odruchy wytworzone przez media i środowiska opiniotwórcze, czyli nienawiść do Kaczyńskiego i jego partii oraz wszystkiego, co się może z nimi kojarzyć.

Bo cały ów humanitaryzm, cała walka o konstytucję (w rzeczywistości przeciw niej) i liberalne zasady to naprawdę eksplozja nienawiści do PiS, które beczelnie ośmiela się wygrywać wybory. To przejaw klasowej agresji wobec usiłujących naruszyć święty – przepraszam – liberalny porządek, czyli trwałość władzy, która z łaski Moskwy od wojny z dokooptowanymi po 1989 r. sojusznikami należy się temu samemu środowisku. To pogarda dla moherów, prowincji i tradycjonalistów.

Redaktorzy „KL” wzywają do rozbrojenia Polski albo do ostentacyjnego podeptania jej suwerenności i demokracji. Albo demokratycznie wybrane władze ustąpią przed dyktatem Waszyngtonu, albo nasz kraj zostaje rozbrojony.

Przeniosłem ich działanie na Ukrainę, by wyraźniej pokazać, co ono znaczy.

To, co Kuisz i Wigura zaprezentowali na łamach „NYT”, nie jest zestawem poglądów, ale konkretną strategią polityczną, której sednem jest apel do zagranicznej potęgi, by wymusiła na Polsce określoną politykę. Odpowiedzią powinno być potępienie i ostracyzm. Jak dyskutować z wezwaniem, by ład w naszym kraju dyktował nam kto inny? Skoro został zanegowany fundament wartości, jaką stanowi wspólnota, to o co możemy się oprzeć w dyskusji? Mówimy innymi językami.

Czy Targowica była próbą debaty, czy prośbą do obcego państwa o interwencję – oczywiście w imię (złotej) wolności?

USA to nie Rosja, toteż wspomniane wezwanie nie będzie miało żadnego znaczenia, a Kuisz i Wigura przypominają żabę, która podstawią łapę, gdy konia kują, ale meritum pozostaje takie samo. Fakt, że podpisali się pod nim intelektualiści, którzy po wygranii przez PiS usiłowali jeszcze zachować jakieś minimum przyzwoitości i realnie podejmować dyskusję z drugą stroną, jest znamieny. Dziś śpiewają w chórze opozycji, w którym nie ma miejsca na ważenie argumentów ani realną debatę.

Wydaje się, że liberalne wyznanie musi do tego prowadzić. 





Walizka Mariusza Kozika

artysty malarza



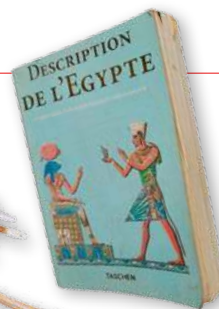
Moje życie artystyczne to podróż w czasie i przestrzeni. Paliwem do tych podróży jest nie tylko dobra literatura, np. trylogia Zbigniewa Herberta („Labirynt nad morzem”, „Barbarzyńca w ogrodzie”, „Martwa natura z wężdzidłem”), lecz także moje pasje – historia i sztuka. Te dwa światy łączę w swoich obrazach olejnych, a od kiedy człowi producenci gier o tematyce historycznej zaproponowali mi współpracę, także w obrazach cyfrowych. Te projekty były spełnieniem moich marzeń, ponieważ fascynuję się strategią, a także dlatego, że do moich ulubionych okresów historycznych należy antyk, czyli fundament naszej kultury europejskiej. Następnie na mojej drodze zawodowej pojawiło się Osprey Publishing. Do serii RAID tego wydawnictwa wykonałem ponad 30 okładek, które ugruntowały moją pozycję na rynku. Ponieważ jestem perfekcjonistą, na potrzeby wykonania np. obrazu z łucznikami, zacząłem strzelać z łuku, żeby poznać ich realia i łuczniczą technikę. Tzw. żywą archeologię stosowałem, wyjeżdżając na rekonstrukcje największych bitew, podczas których pasjonaci historii przebierają się w zbroje lub mundury, by wiernie odtworzyć historyczne wydarzenia. Ostatnio niewiele podróżuję, ponieważ znalazłem swoje miejsce na ziemi. Jest nim mój dom rodzinny, który tworzę z moją żoną i dziećmi. Tutaj jest także moja pracownia.



GRY

Z gracza stałem się współtwórcą sukcesów światowych tytułów gier strategicznych, takich jak serie Total War, Twierdza i Cywilizacja. Moje obrazy można zobaczyć na okładkach tych gier, billboardach, plakatach, w reklamach telewizyjnych i kinowych.

Fot. Michał Korsun



EGIPSKIE RYCINY

W XIX w. Napoleon, wkraczając do Egiptu, oprócz wojska zabral z sobą naukową elitę ówczesnego Paryża. Owocem tej wyprawy są bezcenne ryciny architektury starożytnego Egiptu, które od 30 lat mnie inspirują. To dzięki oficerowi Napoleona – Jeanowi-François Champollionowi – możemy odczytać egipskie hieroglify.



HELM GARNCZKOWY

XIII-wieczny hełm rycerza konnego służy mi jako referencja. Dzięki niemu nauczyłem się malować odbicia światła i przestrzeni od metalowych powierzchni.



LEKTURY

Connowi Iguldenowi udało się sfabularyzować biografię Juliusza Cezara. Jest to fantastyczna powieść o losach tego wielkiego przywódcy końca Republiki i początku Cesarstwa Rzymskiego. Atutem pięcioksięgu jest wierność historyczna i fenomenalnie prowadzona narracja.

LUCZNICTWO

Obecnie mam 11 łuków, m.in. łuk awaryjski, seldżucki, turecki, konny tatarski, a także dwa współczesne modele – hunter i barebow. Strzelanie z łuku to dla mnie najczystsza forma medytacji.



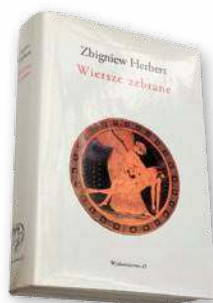
„WOLNYM BYĆ!!!”

Wspomnienia mojego stryja Henryka Chorążaka, żołnierza Armii Krajowej, partyzanta Okręgu Wileńskiego, po wojnie świetnego architekta. Miałem zaszczyt nie tylko wydać tę książkę, lecz także stworzyć do niej okładkę.



PRZEDRAMIENNIK ISKÓRKA

Skórka służy do ochrony palców, by cięciwą nie uszkodzić nerwów w palcach. Przedramiennik osłania rękę przed uderzeniem cięciwy.



„WIERSTY ZEBRANE”

Dzięki jego poezji moja „walizka” stała się lżejsza, a ja mogę zachować postawę wyprostowaną i podążać we właściwym kierunku.

MALARSTWO

Ukończyłem Wydział Malarstwa i Rzeźby na ASP we Wrocławiu w pracowni prof. Józefa Hałasa. Wielki człowiek, wspaniały pedagog, genialny malarz. Wypracowuję własny język malarstwa oparty na fundamentalnych wartościach.



WYKRYWACZ METALI

Moja pasja odkrywania śladów historii, jeszcze z czasów, gdy nie były potrzebne zezwolenia.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Krwawa agitka



Pod miejscowością Kreminna, gdzie od kilku miesięcy toczą się krwawe walki, pochodzący z Czeczenii dowódca 20. Gwardyjskiej Armii Ogólnowojskowej Suchrab Sułtanowicz Ahmedow zorganizował wiec. Wcześniej szefował 155. Samodzielnej Brygadzie Piechoty Morskiej, która została dosłownie zdziesiątkowana podczas ataków pod Wuhledarem w obwodzie donieckim na początku roku. Widać w nagrodę za wspomniany łomot awansowano go na komandarma (ros. командир армии) ku jego własnej i jego bojów zgnie. Wracając do spędu, który zorganizował ten nieszczęśnik – ustawiono ok. 400 Moskali w równych szeregach na placu obok sprzętu, by czekali na dowódcę, który miał wygłosić przemówienie do żołnierzy. I tak stali dwie godziny bez sensu, oczekując przybycia mówcy. Kiedy w końcu się pojawił i rozpoczął swoją propagandową agitkę, poszła seria z ukraińskich HIMIRS. Jatka była straszna. Potwierdzają to nawet znani ruscy blogerzy militarni, jak Rybar czy Grey Zone. Zginąć miało co najmniej 100 bojów, ok. 100 kolejnych odniosło rany. Wśród ofiar ostrzału ma się znajdować również sam generał, pośredni winowajca tej masakry. Jednak w chwili, kiedy piszę te słowa, śmierć Achmedowa nie jest jednak potwierdzona. Ale co do zgromadzonego wokół sprzętu, to wśród relacjonujących wydarzenie panuje zgoda – z dymem poszło kilkadziesiąt pojazdów. W ten sposób cała brygada z 20. armii dostała bezpłatne bilety na koncert Chóru Aleksandrowa, który w całości przeniósł się na łono Abrahama w efekcie katastrofy lotniczej nad Morzem Czarnym kilka lat temu.

Jakby tego było mało, w ataku rakietowym zginął rosyjski gen. Siergiej Goriaczow, szef sztabu 35. Armii Ogólnowojskowej Czerwonego Sztandaru. Tak, tak, to pełna nazwa tego zgrupowania. Dobrze to ujął na Telegramie Anatolij Sztrefan, ukraiński oficer relacjonujący wydarzenia na froncie: „Praca nad sztabami rosyjskich okupantów jest prowadzona w umiejętny sposób. Generał – to dobrze, ale oprócz tego zginęło jeszcze wielu oficerów wroga”. Dodatkowo miał zostać zabity numer dwa czeczeńskiej struktury władzy, szef Rosgwardii na Czeczenię Adam Delimchanow. Kilka godzin później sam Ramzan Kadyrow podał na Telegramie, że Delimchanow jest żywy i cały, że on, Kadyrow, o tym wiedział, ale chciał pokazać wszystkim, a szczególnie Ukraińcom, jak bardzo zawodne są środki masowego przekazu. Ale sprawa ma drugie dno i jest w nią zamieszany sponsor wagnerowców Gienek Prigożyn. Ten miał kosę z byłym dowódcą 72. brygady, płk. Romanem Wenewitinem, który zwiął z pola walki pod Bachmutem i którego wagnerowcy „wzięli do niewoli”, po czym stłukli na kwaśne jabłko. Według kanału identyfikowanego z byłym dowódcą 72. brygady, miejsce stacjonowania sztabu 35. armii wskazali Tryzubom wagnerowcy właśnie. Czy to prawda? Chyba nie, bo jaki interes mógł mieć Gienek Prigożyn w wystawianiu na ostrzał sztabu 35. armii? Co innego regularne jednostki, żeby pokazać, kto jest lepszy. Ale kogo obchodzi jakiś tam sztab? Ale klimacik niezły.

Ito wszystko w kontekście zapowiadanej od dawna ofensywy, która jak na razie idzie jak przysłowiowa krew z nosa. Najpierw Ukraińcy przedefilowali kolumną pancerno-zmechanizowaną wzdłuż kacapskich linii i stracili parę Leopardów i Bradleyów, a teraz chwalą się, że zdobyli jakąś wiochę Makariwkę. Na razie zrobili wyłom na 1,5 km, ale Moskal ściągnął rezerwy i panuje nad sytuacją. Tryzubów cieszy każde 500 m odzyskanego terenu. Cała nadzieja w tym, że to na razie przygrywka do potężniejszego uderzenia. No cóż. Jak mawiają: „Małe, a cieszy”.

Ateraz, jak co tydzień Moskal o sobie. Tym razem Michail Lermontow, którego przedstawiać nie trzeba: „Żegnaj mi, Rosjo niedomyta, / Ojczyzno rabów [niewolników], kraju panów, / I wy, mundury szarosine, / I ty, narodzie im sprzedany”.

Andrzej Rafał Potocki

Synteza dziejów umiłowania wolności

24 czerwca, w 185. rocznicę urodzin i 130. rocznicę śmierci Jana Matejki, w Muzeum Narodowym w Krakowie zostanie otwarta wielka wystawa „Matejko. Malarz i historia”.

To niewątpliwie jeden z najwybitniejszych polskich malarzy, wielki patriota, który swoją twórczością opowiadającą o historii zyskał uznanie na całym świecie jak żaden inny polski artysta. W czasie gdy w wyniku rozbiorów dokonanych przez mocarstwa Polska została usunięta z mapy Europy, Matejko doskonałymi płótnami przypominał na międzynarodowych salonach o Rzeczypospolitej i przybliżał jej dzieje.

Urodził się w 1838 r. w Krakowie jako 9 z 11 dzieci czeskiego emigranta i szlachianki pochodzącej ze spolonizowanej niemieckiej rodziny. W 1858 r. mimo poważnej wady wzroku i wątłego zdrowia ukończył krakowską Szkołę Sztuk Pięknych, do której wstąpił, mając zaledwie 13 lat. Dzięki środkom uzyskanym ze sprzedaży „Śmierci Wapowskiego” z 1861 r. i „Otrucia królowej Bony” z 1859 r. uzyskał niezależność finansową.

W 1865 r. wyjechał do Paryża, gdzie otrzymał złoty medal za obraz „Kazanie Skargi”. Rok później udał się do Wiednia, gdzie w ramach przyznanego stypendium studiował m.in. malarstwo włoskie. W 1867 r. został laureatem wystawy powszechnej w Paryżu, otrzymując złoty medal klasy I za obraz „Rejtan w sejmie warszawskim w 1773 r.”, który został następnie zakupiony przez cesarza Franciszka Józefa. Otrzymał Legię Honorową (najwyższe odznaczenie francuskie) i przyjęto go do grona członków Académie des Beaux-Arts w Paryżu, Institut de France, Akademii Sztuki w Berlinie, Rafaelowskiej Akademii w Urbino, Wiener Kunstlergenossenschaft.

Międzynarodowe uznanie, którym się cieszył, sprawiło, że krytyka okrzyknęła go jednym z najwybitniejszych twórców malarstwa historycznego i batalistycznego w Europie. Stworzył ponad 300 obrazów olejnych oraz setki rysunków i szkiców, a także nowatorską polichromię kościoła Mariackiego w Krakowie. Od 1873 r. pełnił funkcję dyrektora krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Jego uczniami byli Stanisław Wyspiański, Jacek Malczewski i Józef Mehoffer.

W bogatej twórczości malarza znalazło się mnóstwo portretów przedstawiających zarówno żonę, dzieci i przyjaciół, jak i przedstawicieli ówczesnej elity intelektualnej i politycznej.

Jednym z najważniejszych dzieł Matejki jest cykl portretów „Poczet królów i książąt polskich”, które ugruntowały w narodowej świadomości pamięć o królach Polski i ich wizerunkach. Można je będzie oglądać na specjalnej wystawie od 24 czerwca w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. Pod koniec życia Jan Matejko namalował także swój autoportret, który jest oceniany za jedno z jego najdoskonalszych dzieł.

Na twórczość Matejki wywarł ogromny wpływ tragiczny upadek powstania styczniowego. Podczas insurekcji angażował się w udzielanie pomocy powstańcom. Po klęsce Polaków postanowił przedstawiać największe sukcesy polityczne i militarne Rzeczypospolitej, by uzmysłowić odbiorcom, że naród polski ma w sobie ogromny potencjał i odzyskanie niepodległości jest możliwe.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Znawcy jego twórczości twierdzą, że zdefiniował na swoich płótnach polską tożsamość.

Matejko tworzył dzieła wielkoformatowe, pełne nasyconych barw, doskonale dopracowanych szczegółów, poczynając od grymasów i gestów postaci po fakturę tkanin, detale uzbrojenia czy architektoniczne. Panoramiczne „Unia lubelska”, „Stefan Batory pod Pskowem”, „Bitwa pod Grunwaldem”, „Hołd pruski”, podarowany papieżowi Leonowi XIII „Jan Sobieski pod Wiedniem”, „Wernyhora”, „Kościuszkę pod Racławicami” czy „Konstytucja 3 maja 1791 r.” są dynamiczne, pełne dramaturgii, sprawiające wrażenie zatrzymanej klatki filmowej z ujęciem prezentującym doskonały

kadr skupiający w sobie istotę przedstawianej sytuacji.

Największym gabarytowo dziełem artysty jest pełna symboliki „Dziewica Orleańska”. Najbardziej popularnym pozostaje „Bitwa pod Grunwaldem” i zapewne pełny tragizmu „Stańczyk”.

Najwybitniejszy polski malarz historiograf, mianowany duchowym władcą Polski, mimo swojego wielkiego talentu, genialnego warsztatu, kunsztu i ogromnych sukcesów, które osiągnął, uchodził za skromnego człowieka, pełnego wyrozumiałości i serdeczności.



*Ze smutkiem przyjąłem wiadomość,
że 8 czerwca 2023 zmarł*

**ŚP.
MIECZYŚŁAW PIOTROWSKI
„DUĆIN”**

*w latach komunistycznego zniewolenia działacz opozycji,
organizator niezależnych samorządów studenckich,
jeden z liderów Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej.*

**Rodzinie i Bliskim
składam najserdeczniejsze
wyrazy współczucia**

*Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów*

Ingerencja z zewnątrz

Już teraz widać, że kilka miesięcy, które zostało do wyborów, może przynieść wiele niespodzianek. Nie chodzi tu niestety o niespodziewane propozycje programowe, tylko o to, jak mocno zagranica zaczyna się angażować w zmianę władzy w Polsce.

„Jeżeli będzie utrzymane takie tempo konfliktu, naszą aktywnością będzie ulica na pewno. A także Europa” – takie plany na najbliższą przyszłość w polityce już miesiąc po utracie władzy przedstawił działaczom Platformy Obywatelskiej ówczesny lider tej partii Grzegorz Schetyna. Minęło kilka lat, tempo konfliktu nie zmalało, a wręcz przeciwnie – tylko rosło.

Od razu po marszu Tuska pojawiły się publikacje zagraniczne powielające nieprawdziwe informacje o 500 tys. uczestników, a następnego dnia upolityczniony organ unijny, którym jest TSUE, wydał wyrok wprost stwierdzający, że sędzia nie musi obywatelom ujawniać swojej przynależności partyjnej – zarówno aktualnej, jak i przeszłej. Później przyszedł czas na grupkę sędziów z Sądu Najwyższego w Polsce, którzy postanowili podważyć pre-



**Samuel
Pereira**

rogatywę prezydenta RP, którą jest prawo łaski, a po nich wyskoczył sędzia Sławomir Łuczaj z Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, który pod dyktando niemieckich organizacji pseudoekologicznych wydał wyrok w sprawie kopalni Turów, nakazując ją zamknąć. Co ciekawe, wcześniej postanowienie o zamknięciu kopalni wydała sędzia TSUE, znana ze swoich sympatii do Europejskiej Partii Ludowej. Chodzi o hiszpańską sędzię Rosario Silva de Lapuerta. Jak donosiły media z Madrytu, prawniczka latami wspierała jedną z partii politycznych należących do frakcji Europejskiej Partii Ludowej, na której czele w momencie wydawania wyroku stał Donald Tusk.

Obserwując tę próbę pomocy z zewnątrz, zastanawia kilka spraw: skąd tak silna presja, żeby gospodarczo zniszczyć, a co najmniej zaszkodzić Polsce, i dlaczego – skoro przewodniczący PO i pupil unijnych elit uważa, że jest taki silny i tak pewne jest jego zwycięstwo – ciągle korzysta z pomocy i ingerencji zewnętrznej?

Autor jest dyrektorem TVP Info

Płyniemy na jednej tratwie

*Z aktorem **Piotrem Głowackim** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Co się u pana działo na początku lat 90. ub.w.?

Piotr Głowacki: Skończyłem 10 lat i przeprowadziłem się z kujawskiej wsi do Torunia. Byłem szczęśliwy, bo mogłem zacząć robić to, o czym marzyłem: chodzić do domu kultury, w którym była i grupa taneczna, i teatralna. Zacząć grać w tenisa. Dostałem na to szansę.

Czy bohater filmu „Radiostory” wykorzystuje swoją szansę?

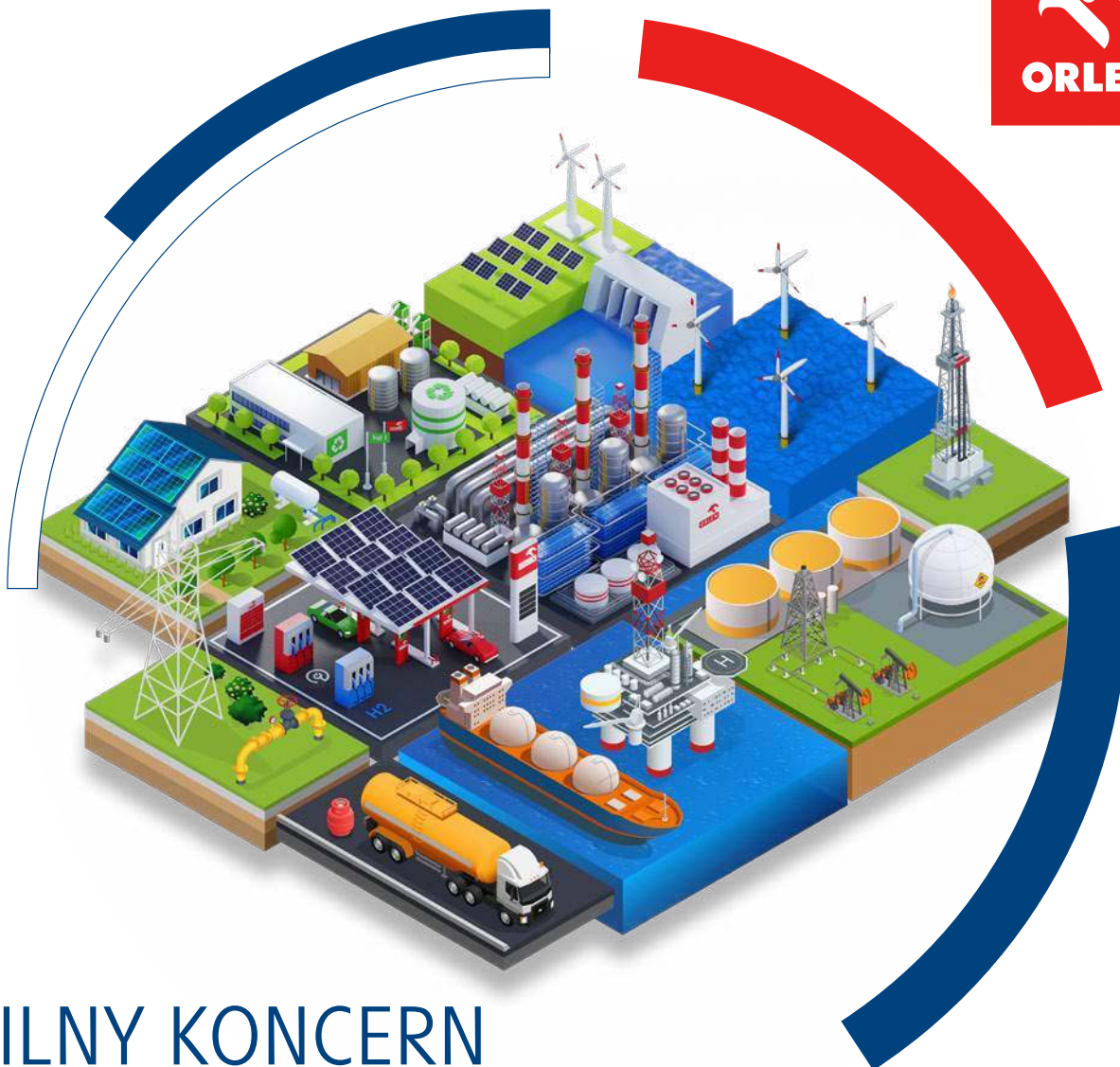
Wraca ze Szwecji z nadzieją, że będzie mógł ułożyć sobie życie w kraju. W Gdańsku okresu przełomu zastaje nową rzeczywistość. Biorąc pod uwagę wszystkie postacie występujące w filmie, to dla mnie opowieść o tym, że – obojętnie, cokolwiek byśmy osobie myśleli – płyniemy na jednej tratwie. Nie lubię jednoznacznego przekreślania PRL. Ludzie w nim żyli, kochali się, przelamywali bariery. Podobnie w 1990 r. Jedni sobie radzili, inni dostawali

szansę, żeby się obudzić, inni się gubili. Ale to dzięki tamtym czasom i działaniom jesteśmy w UE, nie mamy granic. Radio też miało w tym swój udział.

„Radiostory” trafiło do kin, a co z innymi pana projektami?

Jeśli pyta pani, czy prof. Bart znowu zacznie leczyć, to odsyłam do scenarzysty i producenta. Dla mnie granie w długoterminowych serialach jest niezwykle ciekawym doświadczeniem. Jak w życiu mogą się tu pojawić zaskakujące sytuacje. Poza tym skończyłem zdjęcia do dwóch filmów: o zespole punkrockowym KSU i o Halinie Konopackiej. Teraz powstaje serial „Krew”, za chwilę będzie kolejny. Wakacje szykują się pracowicie.





SILNY KONCERN **MULTIENERGETYCZNY** TO BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE POLSKI I REGIONU

Połączony potencjał i kompetencje firm z sektora paliwowo - energetycznego to stabilne dostawy surowców, szybszy dostęp do nowych technologii, bardziej atrakcyjna oferta dla klientów i większe korzyści dla akcjonariuszy.

Jako Grupa ORLEN realizujemy ambitny plan inwestycyjny, obejmujący rozwój zero i niskoemisyjnej energetyki z wiatru i słońca, ale też biopaliw czy wodoru. **Teraz jeszcze skuteczniej napędzamy zieloną transformację Europy Środkowej.**

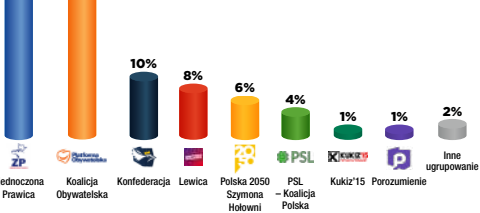
Rysują Mr Donk & dr Fish



pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

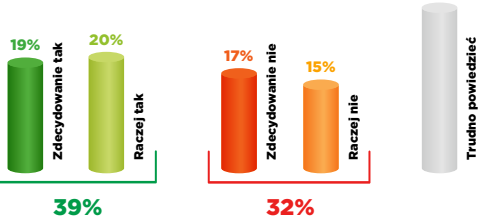
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



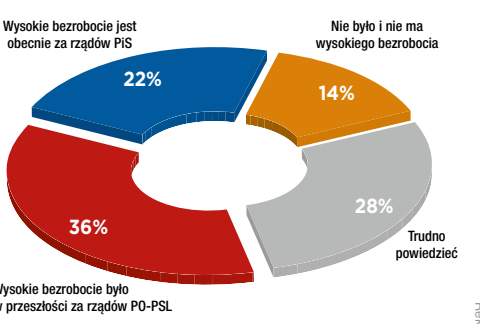
A gdyby w wyborach parlamentarnych startowały razem Koalicja Obywatelska, Polska 2050 i PSL, to na które ugrupowanie zagłosowałaby Pani/zagłosowałby Pan w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Czy zgadza się Pani/Pan z opinią, że władze Unii Europejskiej próbują za pomocą różnych działań odsunąć obecny polski rząd od władzy?



Z którym stwierdzeniem na temat wysokiego bezrobocia w Polsce Pani/Pan zgadza się najbardziej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1030. Zakres czasowy badania 9-12 czerwca 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃKOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKOŁO

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃKOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA, MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA

PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOEDYCJA: ANNA ŁABECKA@FRATRIA.PL, OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32

PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.: ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL

MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A. WITKOR, J. MACDOUGALL/APPEASTNEWS, LIBKOS/APPEASTNEWS, T. GZEL, L. SZYMANSKI/AP, NAC, SHUTTERSTOCK



PIENIĄDZE NIE KUPUJĄ RZECZY

Spraw radość sobie i bliskim dzięki pożyczce przez aplikację IKO:

- nawet do 24 rat
- dla tych, którzy nie skorzystali jeszcze z naszej pożyczki ani kredytu gotówkowego

RRSO 9,82%

RRSO – Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania dla przykładu reprezentatywnego. Udzielenie pożyczki zależy od posiadania zdolności kredytowej. Szczegóły, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, dostępne są w placówkach banku i na pkobp.pl

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora



Bank Polski
dzień dobry

W Niemczech pojawiła się świadomość, że tematu reparacji nie da się już zakopać, ale czekają na jesień, licząc, że w razie zwycięstwa opozycji w Polsce załatwią sprawę bardzo tanio

Jeśli wygra PiS, Niemcy nie uciekną od reparacji

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z *Arkadiuszem Mularczykiem*, wiceministrem spraw zagranicznych, pełnomocnikiem rządu ds. odszkodowań za szkody wyrządzone agresją i okupacją niemiecką w latach 1939–1945

Portal wPolityce.pl nagrodził pana swoją roczną nagrodą – Białą-Czerwoną Różą. To wyraz uznania i podziękowania za pana konsekwencję, wytrwałość i odwagę w zabiegach o należne Polsce reparacje ze strony Niemiec. W imieniu całego zespołu redakcyjnego chcemy podkreślić, że wyróżnienie to jest przyznawane za działania na rzecz polskiej racji stanu, dlatego to Biała-Czerwona Róża. Cieszymy się, że będzie pan w gronie laureatów.

Arkadiusz Mularczyk: Bardzo dziękuję za to wyróżnienie, a także za tak mocne wsparcie ze strony i tygodnika „Sieci”, i portalu wPolityce.pl, i telewizji wPolsce.pl dla misji, którą realizuję, a którą powierzyli mi prezes PiS Jarosław Kaczyński i premier Mateusz Morawiecki. To jest bardzo ważne: informowaliście, opisywaliście, a do tego inicjowaliście wiele działań. To jest więc w pewnym sensie nasz wspólny projekt. Przyjmuję Białą-Czerwoną Różę portalu wPolityce.pl z wielką radością, wdzięcznością. Jest to dla mnie również motywacja do dalszej, ciężkiej pracy.

Nasza redakcja od początku wiedziała, że sprawa reparacji jest projektem długofalowym. Nie da się jej załatwić jednym raportem, jednym wnioskiem, jedną wizytą czy rozmową. Ważne, że postulat ten został podniesiony na poziom państwowy, został wpisany w polską rację stanu. Ale jak daleko do celu?

Przygotowując i publikując raport wojenny, a później przyjmując z rąk premiera nominację na pełnomocnika rządu ds. odszkodowań w randze podsekretarza stanu MSZ, nie przypuszczałem, że projekt, który wydawał się tak jasno sprecyzowany, tak oczywisty, okaże się zadaniem tak szeroko zakrojonym, wielopoziomowym. Po pierwsze, jest to projekt godnościowy,

którego istotą jest domaganie się rzeczywistego partnerstwa ze strony Niemiec. Po drugie, jest to projekt ekonomiczny, ponieważ domagamy się odszkodowania za zniszczenia i straty. Po trzecie, jest to projekt przywracający historyczną prawdę.

W jakim sensie?

W Niemczech w istocie doszło do wyparcia poczucia odpowiedzialności za zbrodnie popełnione w czasie II wojny światowej. Więcej, Niemcy uważają, że to oni byli ofiarami nazistów!

A jedyne ofiary, do których w istocie się przyznają, to Żydzi, zamordowani w czasie Holokaustu?

Tak, Niemcy nie widzą nieżydowskich ofiar II wojny światowej. Widzą tylko Żydów, i to bez obywatelstwa. Niemcy boją się Izraela i diaspory żydowskiej, wszystkich innych lekceważą. Sytuacja wygląda tak: Niemcy – agresor i sprawca zbrodni – wybierają sobie spośród ofiar te, które będą traktować poważnie. Widać to w sferze upamiętnienia: jest pomnik Holokaustu, jest pomnik Sinti i Roma, pomnik mniejszości seksualnych, prowadzi się debatę o pomniku świadków Jehowy. Nie ma jednak pomnika polskich ofiar.

Jest wręcz regres. We wrześniu 2021 r. były ambasador Niemiec w Polsce Rolf Nikel, przewodniczący komisji przygotowującej koncepcję projektu, w rozmowie z „Sieci” wskazywał już konkretne daty i lokalizacje upamiętnienia. Teraz mówi się ogólnie o jakimś centrum skierowanym ku przyszłości.

Tak, bo pomnik polskich ofiar byłby sprzeczny z narracją, która pomija ofiary narodowe: Polaków, Greków, Ukraińców, Białorusinów, Serbów, Włochów.

Oficjalnie Niemcy przyznają, że Polacy byli mordowani na wielką

skalę, przepraszają, ale mówią o tym głośno tylko do Polaków, w Polsce. Już w Niemczech te głosy nie wybrzmiewają z taką mocą. Dlaczego?

To jest pewien rytuał. Ambasador Niemiec w Polsce złoży kwiaty, strzepie pyłek z marynarki i po sprawie. Niestety, niemiecką politykę historyczną wspiera część środowisk żydowskich, to porozumienie jest widoczne. Np. podnoszenie tematu odszkodowań za śmierć polskich Żydów spotyka się z zarzutami, że jest to „Holocaust distortion”. Niektórym niestety nie podoba się, że Polska chce być uznana za ważną ofiarę, podkreśla polskie obywatelstwo polskich Żydów, akcentuje własne cierpienia. Zaznaczę jednak, że są też środowiska żydowskie, z którymi współpraca jest możliwa i pożądana. Wierzę, że dojdziemy do porozumienia mimo aktywności i sprzeciwu niemieckiej dyplomacji.

W tle naszych problemów jest chyba swoista hierarchia narodów. Niemcy, i nie tylko oni, nie uznają, że polskie ofiary są tak samo ważne jak ofiary żydowskie czy też te pochodzące z państw zachodnich. Zgadza się pan z taką tezą?

Tak, to jest zauważalne. Może nie wprost, ale słyszę, że Polska to nie ta sama liga co Izrael. To tym bardziej musi nas mobilizować do walki o naszą sprawę. Musimy wywalczyć sobie równy status i zabiegi o reparacje są elementem tego procesu.

Ważnym krokiem na tej drodze był „Raport o stratach wojennych Polaki”, przygotowany przez pana zespół i opublikowany 1 września ub.r. Minęło już sporo czasu i widać, że raport obronił się: nie podważono jego wiarygodności, nie zakwestionowano ani metodologii, ani wyliczonej sumy.

Bardzo mnie to cieszy. Ten raport jest już dokumentem historycznym, będzie – już jest – podstawą wyliczeń kosztów okupacji, represji, mordów na całym świecie. To praca pionierska, w pełni udana. Z pewnością wykorzystaliśmy ostatni moment, by pokolenie albo bezpośrednio pamiętające wojnę, albo – tak jak ja i panowie – wychowane w jej długim cieniu podjęło walkę o pamięć i prawdę. Raport pojawił się w szczególnej chwili: gdy niemiecka narracja, według której mordowali pozbawieni narodowości naziści z pomocą Polaków, a sami Niemcy bardzo cierpieli – jest już dymkana, wygrywa. W Niemczech proces wypłukiwania prawdy postępuje naprawdę szybko.

Rocznice zakończenia wojny, a więc klęski Niemiec, ich kanclerze już tradycyjnie czczą wypowiedziami o wyzwoleniu Niemiec. Pozostaje tajemnicą, kto tak zażarcie bronił Hitlera niemal do ostatniego dnia wojny i na Wschodzie, i na Zachodzie.

Niedawno zapoznałem się z tym, co prezentuje wielkie niemieckie muzeum ruchu oporu przeciwko nazizmowi. Są tam setki publikacji na ten temat, jest celebrowanie płk. Clausa von Stauffenberga i innych mikroskopijskich grup. Z Polską są związane zaledwie dwa zdjęcia. Niemcy czują się dziś spadkobiercami ruchu oporu, a nie sprawców. A w Austrii wyparcie win poszło jeszcze dalej, jest już pełne.

Raport jest, obronił się i pracuje. Co chwila informuje pan o masowej wysyłce skróconej wersji do ważnych grup, teraz do posłów Parlamentu Europejskiego. Jak szeroka jest to akcja?

Raport trafił już do ONZ, do Rady Europy, do amerykańskich kongresmenów, do posłów Bundestagu i Bundesratu. Do tego liczne spotkania, zwłaszcza w Niemczech, USA i w Radzie Europy, a także konferencje międzynarodowe, w tym ta

zeszłotygodniowa w Atenach, bardzo udana. Setki wydarzeń. Sprawa budzi dużą ciekawość na świecie i sporo sympatii. Jest duże zainteresowanie medialne, bardzo dużo prób o wywiady.

Jakie są reakcje niemieckie?

Niemcy czekają na wynik polskich wyborów. W czasie spotkania w prestiżowym Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej jeden

Sprawa reparacji to – po pierwsze – projekt godnościowy, którego istotą jest domaganie się rzeczywistego partnerstwa ze strony Niemiec. Po drugie – projekt ekonomiczny, ponieważ domagamy się odszkodowania za zniszczenia i straty. Po trzecie – to projekt przywracający historyczną prawdę

z obecnych tam niemieckich polityków powiedział tak (cytuje z pamięci): „Rzeczywiście, musimy się nad tematem pochylić, ale trzeba czekać na wybory, bo dziś podjęcie rozmów pomogłoby wam w odniesieniu zwycięstwa”. W Niemczech pojawiła się świadomość, że tematu nie da się już zakopać, ale czekają na jesień, licząc, że w razie zwycięstwa opozycji załatwią sprawę bardzo tanio.

O wszystkim zdecydują wybory?

Tak, październikowe wybory zdecydują również o tej sprawie. O pamięci, sprawiedliwości, zadośćuczynieniu. Zwycięstwo PiS sprawi, że Niemcy nie zdołają zafalszować przeszłości, a przynajmniej nie całkowicie. Za-

trzymamy postępującą deformację. Pojawi się szansa na równouprawnienie w relacjach z Niemcami. Jeśli PiS przegra, wszystkie te złe procesy jeszcze przyspieszą. Bez odwagi niczego nie załatwimy. Już samo podniesienie kwestii reparacji wymagało olbrzymiej determinacji ze strony Jarosława Kaczyńskiego. W Europie ucierpiało wiele narodów, ale dziś obawiają się one dotknąć tego tematu.

Niemcy z jednej strony głoszą, że sprawa jest zamknięta, z drugiej bardzo uważnie obserwują każde działanie w sferze reparacji. Czy pan też czuje ten oddech?

Oczywiście. Bardzo intensywne są też działania za pomocą niemieckiej soft power, przez organizacje pozarządowe i media. To jest odczuwalne, nie o wszystkim mogą też mówić. Mają jeden cel: gasić tę sprawę, blokować wolę współpracy różnych środowisk zagranicznych. Sięgają po wszelkie dostępne lewary. Nie jest więc tak, że my działamy, a oni czekają.

Po pana wizycie w Atenach u pana gospodarzy i rozmówców pojawią się niemieccy dyplomaci z życzliwą radą?

Już sama konferencja w Atenach była uważnie obserwowana przez niemiecką dyplomację. Często próbują nas wyprzedzać. Bywa, że wchodząc na rozmowę np. w USA, widzimy w księdze gości, że przed nami był niemiecki dyplomata. A sam gospodarz precyzyjnie przywołuje zarzuty wobec naszych działań: że to część kampanii politycznej PiS, że to Rosja powinna nam płacić, bo tak ustaliły mocarstwa w Poczdamie, że sprawa jest prawnie zamknięta. Jest oczywiste, że to tezy podsunęte przez tych, którzy byli przed nami. Odnoszę nawet wrażenie, że pół niemieckiego MSZ zajmuje się tematyką polskich roszczeń, rozbrajaniem naszych działań na arenie międzynarodowej. Ale nas nie dogonią. Idziemy tak szeroko, że jesteśmy pół kroku przed grupą pościgową.

Jeśli PiS wygra, dostaniemy reparacje?

Jestem o tym przekonany. Dla Niemców fakt, że podnieśliśmy tę sprawę i z niej nie rezygnujemy, jest nie do zniesienia. Do tego rośnie pozycja Polski. Stany Zjednoczone chcą w Europie spokoju, chcą solidnych sojuszy. A nie będzie spokoju, jeśli Niemcy nie zdecydują się na uczciwą rozmowę z Polską. Do tego wojna trwająca na Wschodzie znów uświadomiła wszystkim, co to znaczy agresja, okupacja, zbrodnie, zniszczenia. Mówimy o sankcjach, odpowiedzialności, ukaraniu winnych, odszkodowaniach dla Ukrainy. A skoro tak, to dlaczego mamy nie mówić o odszkodowaniach dla Polski, tak bardzo zniszczonej przez Niemców? Wreszcie Polska podniosła kwestię reparacji na poziomie dyplomatycznym. To nasz wielki sukces.

Pana nominacja na wiceministra spraw zagranicznych też była sygnałem, że to już jest część oficjalnej polityki naszego państwa.

Tak. Co więcej, o reparacjach wspominają w czasie wystąpień i spotkań międzynarodowych prezydent Andrzej Duda, premier Mateusz Morawiecki, wicepremier Piotr Gliński i oczywiście bardzo często prezes Jarosław Kaczyński. Sygnał jest jasny: Polska z tej sprawy nie zrezygnuje. My się nie zmęczymy. Ostatnią szansą Niemiec są wybory. Jeśli my wygramy, zyskamy wiatr w żagle, a oni nie będą mieli wyjścia. Już dziś widzą, że ten wypieszczony niemiecki wizerunek trzeszczy w szwach. Bo jak można udawać, że jest się moralnym wzorcem, gdy nie zadośćuczyniło się za tak krwawe zbrodnie?

Dość długo udawali. Skutecznie.

To się skończyło. Jeśli Niemcy są przekonane o swoich racjach, niech zgodzą się na arbitraż międzynarodowy. My jesteśmy gotowi. Możemy też spotkać się w Hadze, na forum międzynarodowego Trybunału. Ta zмова milczenia, którą dziś

stosują Niemcy, jest narzędziem z przeszłości.

Sukces jest bliżej, niż myślimy?

Tak, sukces jest bliżej, niż wielu sądzi. Presja zmusi Niemcy do dialogu. Każdy tydzień, miesiąc pracuje na naszą korzyść. Po konferencji w Atenach ukazało się wiele publikacji także w prestiżowych mediach zachodnich. Niemcy trwonią swój wizerunek i jeśli będą wciąż negować problem, zapłacą wysoką cenę. Teraz mają okazję do wyjątkowo korzystnego dla siebie załatwienia sprawy.

W jakim sensie korzystnego?

Kwota naszych roszczeń – oszacowana w raporcie na 7 bln zł – w istocie mogłaby być pięć albo i 10 razy większa. Przyjęliśmy bowiem bardzo konserwatywne założenia i wyliczenia. Choćby wycena życia ludzkiego – 200 tys. dol. to nie jest dużo. Jest kwestia utraconych dochodów naszego państwa. Różne kwoty waloryzujemy w odniesieniu do dolara. Ale

Sytuacja wygląda tak:
Niemcy – agresor i sprawca zbrodni – wybierają sobie spośród ofiar te, które będą traktować poważnie. Niemcy boją się Izraela i diaspory żydowskiej, wszystkich innych lekceważą

jeśli zastosujemy jako punkt oparcia cenę złota, to mamy już 16 bln zł. Jest co najmniej sześć różnych metod waloryzacji, które mogliśmy przyjąć. Najbardziej korzystna, odwołująca się do PKB, daje nam 60 bln zł. W sumie trzeba powiedzieć, że zaproponowaliśmy Niemcom cenę wręcz okazyjną.

A jeśli wygra Tusk, jak potoczy się sprawa reparacji?

Rząd Platformy podejmie szybko rozmowy, wynegocjuje jakieś grosze dla żyjących ofiar, dostanie parę milionów i temat zakopie, zamuruje, zapieczętuje. Możliwy jest też scenariusz włoski. Poprzedni, lewicowy rząd w Rzymie uznał, że trzeba się ułożyć z Berlinem i stworzył fundusz, z którego są pokrywane roszczenia włoskich ofiar niemieckiej okupacji. Kto finansuje ów fundusz? Nie uwierzcie: włoski rząd! Włosi płacą za niemieckie winy. To pokazuje siłę polityczną i ekonomiczną Niemiec, które są w stanie zmusić do takiego absurdu nawet Włochów.

A pan jaki ma pomysł na wykorzystanie reparacji?

My chcemy prawdziwej rekompensaty. Oczywiście decyzje w sprawie sposobu wykorzystania reparacji – które pewnie byłyby płacone w ratach – nie należą do mnie, ale do prezesa PiS i premiera, jednak moim zdaniem te pieniądze powinny zostać przeznaczone na inwestycje w naukę, kulturę, na odbudowę zabytków, obronność.

Czyli byłby to fundusz podobny do tego, który stworzyła Norwegia z dochodów z ropy. Miałby sfinansować przyszłość kraju.

Te środki muszą pozwolić Polsce na nadrobienie dystansu do Zachodu. To niemiecka napaść zepchnęła nas na margines gospodarczy – i nie tylko – Europy. Część powinna trafić do społeczeństwa, na pewno do ofiar, a także do starszych pokoleń, naszych rodziców, dziadków, którzy ciężką pracą odbudowywali nasz kraj z ruin.

Rząd Niemiec wielokrotnie powtarzał: sprawa jest z prawnego punktu widzenia zamknięta. My wiemy, że to pusty argument, bo decyzja komunistycznego rządu z 1953 r. w tej sprawie w istocie nie zapadła, był jedynie komunikat prasowy. Czy zdołaliśmy już wyjaśnić naszym niemieckim partnerom tę sprawę?

Dziś ten argument pada jedynie rytualnie, nie jest podnoszony. Jest jasne, że to nieprawda w poważniejszych rozmowach. Gdy tego typu tezy pojawiały się w prasie zachodniej, natychmiast reagowaliśmy, prostowaliśmy. W mediach anglosaskich ataki na kwestię reparacji właściwie już się nie pojawiają – ta sprawa jest traktowana bardzo poważnie, poważniej niż w polskiej prasie opozycyjnej. Ale żeby nie było zbyt cukierkowo: uważam, że fala publikacji oskarżających Polaków o współudział w Holokauście jest związana ze sprawą reparacji. To jest skoordynowane.

Jednocześnie wychodzą na jaw bardzo ciekawe sprawy. Np. wiemy już, że w czasie, gdy omawiano zjednoczenie Niemiec, Helmut Kohl oszukał prezydenta USA George'a Busha, mówiąc mu, że w latach 70. do Polski popłynęły w ramach odszkodowań duże sumy, które zostały roztrwonione. Popłynęły kredyty – z dzisiejszej perspektywy nie tak znów wielkie – a nie odszkodowania.

Z pewnością fakt, że Niemcy uniknęły płacenia reparacji Polsce, Grecji, Serbii czy Ukrainie, jest wielkim sukcesem niemieckiej dyplomacji. Agresor decydował, komu płaci. Co więcej, najwięcej odszkodowań otrzymali Niemcy!

Jakim cudem?

Ustawodawstwo niemieckie preferuje ofiary prześladowane na podstawie kryteriów religijnych i politycznych. Jeśli ktoś cierpiał dlatego, że był świadkiem Jehowy, komunistą albo z powodu orientacji, to miał łatwą drogę do odszkodowania. W rezultacie 84 proc. zasądzonych przez Niemcy odszkodowań trafiło do Niemców. 84 proc.! Sami sobie wypłacili zadośćuczynienie.

Jeśli argument rzekomego zrzeczenia się przez Polskę reparacji upadł, to dlaczego nie płacą?

Stosują różne wymówki: a to, że byli naszym adwokatem w drodze do Unii Europejskiej, a to, że dostajemy unijne fundusze, a to, że trzeba zostawić przeszłość i patrzeć do przodu. Podprogowo, dyskretnie podnoszą też kwestię granic. Widzimy też agresję ze strony instytucji unijnych. Preteksty – sądownictwo, tzw. praworządność – są wtórne. To jest kluczowe narzędzie w ręku Niemiec, za pomocą którego dążą do obniżenia statusu naszego kraju. Liczą, że ten atak sprawi, że PiS przegra wybory i problem zniknie. W Berlinie i Brukseli zapadła decyzja, że ten rząd trzeba usunąć.

Odnoszę nawet wrażenie, że pół niemieckiego MSZ zajmuje się tematyką polskich roszczeń, rozbieraniem naszych działań na arenie międzynarodowej. Ale nas nie dogonią. Idziemy tak szeroko, że jesteśmy pół kroku przed grupą pościgową.

Skoro presja jest tak wielka, gdzie widzi pan szansę?

Gotowość do zmiany stanowiska Niemiec pojawi się wówczas, gdy nasz zachodni sąsiad zostanie dociśnięty na arenie międzynarodowej. Nasza aktywność musi tę presję budować w całej Europie. Niemcy muszą wiedzieć, że nie zamkną II wojny światowej w kapsule przeszłości, dopóki nie zmierzą się z naszymi roszczeniami. Dlatego tak intensywnie docieramy z naszym raportem – który pokazuje przecież nie tylko straty, lecz także skalę represji, mordów w Polsce – do liderów opinii na całym świecie. Także w Niemczech. Musimy też rozwijać nasze własne kompetencje. Mamy za mało historyków specjali-

zujących się w okresie wojennym, w tematyce niemieckich zbrodni. Ale i nad tym pracujemy. O reparacje musi zabiegać cała machina państwa, także uniwersytety. Jeśli pójdziemy szeroko, wygramy.

W kontekście naszych roszczeń wobec Niemiec pojawia się pytanie: a kiedy wycenimy straty zadane przez Rosję sowiecką?

Zespół prof. Konrada Wnęka przygotowuje publikację na ten temat. Nie będzie to raport tak obszerny jak nasz, ale będzie to już podstawa do dalszych prac i działań. Problemem jest kwestia dostępu do archiwów, które w Moskwie i Mińsku są dla nas zamknięte. Na marginesie warto powiedzieć, że również Ukraina ma prawo do poważnych roszczeń ze strony Niemiec. Ukraińskie ofiary II wojny światowej – ok. 10 mln ludzi – zostały zawłaszczane, skradzione przez Rosję. Niemcy okupowali niewielkie części Rosji, za to całą Ukrainę i Białoruś. To też trzeba odkłamać. Najpierw duże mocarstwa napisały historię w imieniu Europy Środkowo-Wschodniej, później potężne Niemcy zaczęły pisać swoją. Dziś tylko Polska może to wyprostować. Nikt inny w tej części Europy nie jest w stanie tego zrobić.

Czy fakt, że Niemcy zgodziły się wypłacić odszkodowania Namibii za zbrodnie z początku XX w. – 1,1 mld euro w ciągu 30 lat – jest precedensem, na którym może oprzeć się Polska?

Na pewno przypadek Namibii pokazuje, że do rozmów o odszkodowania można wrócić nawet po 100 latach. Niemcy traktują Namibię w sposób instrumentalny, przyznana kwota jest w istocie śmiesznie niska. Na pewno jest to jakiś wyłom w murze odmowy. Śledzimy tę sprawę bardzo uważnie.

Czy pana zdaniem zdjęcie immunitetu państwa niemieckiego, który uniemożliwia dochodzenia odszkodowań dla polskich ofiar zbrodni wojennych przez orzeczenie Trybunału



Konstytucyjnego to dobry pomysł? Pojawiają się argumenty, że to broń obosieczna.

Uważam, że zagrożenia są wyolbrzymiane, a sprawą zasadniczą jest zapewnienie obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej prawa do sądu. Przez wiele dekad miliony ludzi nie miały tego prawa. Sprawa jest jasna: przed wojną obowiązywała konwencja haska, regulująca sposoby prowadzenia wojny, wykluczająca politykę zbrodniczą. Niemcy podpisały pakt Brianda-Kellogga, zakładający wyrzeczenie się wojny jako instrumentu polityki. Mimo to napadły, dopuściły się zbrodni, zrabowały i zniszczyły, co mogły, i dziś mówi się ludziom, że nie mogą pozwać państwa niemieckiego. To sytuacja nie do przyjęcia, to naruszenie praw człowieka. To są ludzie bez prawa do sądu, prawa do odszkodowania, bo Niemcy chowają się za immunitetem jurysdykcyjnym. To schizofrenia polityki niemieckiej – nie do przyjęcia, zaakceptowania.

Uważam, że fala publikacji oskarżających Polaków o współudział w Holokauście jest związana ze sprawą reparacji. To jest skoordynowane

Wspomnieliśmy, że w Niemczech zaczyna się dyskusja o granicach, na razie na marginesach, ale ten proces narasta. Ważni politycy AfD mówią o byłej NRD jako o Niemczech środkowych, sugerując, że nasze Ziemie Odzyskane to Niemcy wschodnie. Było też kilka dwuznacznych publikacji. Niemiecka dyplomacja dość jawnie groziła, że taka będzie retoryka za podtrzymywanie tematu odszkodowań. Z kolei w Polsce słyhać

głosy, że kwestią reparacji obudziliśmy demony. Jak pan patrzy na te procesy?

Na razie kwestię granic poruszają środowiska jednak marginalne, to są jednak głosy nieoficjalne. Jeśli jednak w Niemczech kwestię granic podniosą czynniki oficjalne, związane z koalicją rządzącą, to nasza reakcja będzie jednoznaczna. Natychmiast poinformujemy Radę Bezpieczeństwa ONZ o tendencjach rewizjonistycznych w Niemczech. Podniesiemy alarm, że w Niemczech są siły, które chcą zmiany granic w Europie.

Nie będziemy się biernie przyglądać?

To są bardzo poważne tematy i Niemcy powinny poważnie zastanowić się, czy chcą tę sprawę podnosić. Berlin zabiega o miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, jakkolwiek sugestia dotycząca rewizji granic będzie śmiertelnym ciosem dla tych nadziei. Ożywi obawy, że nowe Niemcy nie są tak nowe, jak to przedstawiają. 



Hazard znów blisko Platformy

14 lat temu ludzie z branży hazardowej przynieśli Platformie Obywatelskiej potężne kłopoty. Było blisko upadku rządu, skończyło się na kilku dymisjach.

Dziś partia Donalda Tuska za pieniądze od biznesmenów zarabiających na bukmacherce próbuje wrócić do władzy



MAREK PYZA

Kolejni miliarderzy przelewają spore kwoty na konto Platformy Obywatelskiej, by pomóc jej wygrać wybory. Czy to tylko bezinteresowne zaangażowanie powodowane ideową zbieżnością, czy może inwestycja, która znacząco zwróciłaby się, gdyby jesienią doszło do zmiany władzy w Polsce?

W pierwszych dniach czerwca w rejestrze wpłat na rzecz PO pojawiły się nowe, szalenie ciekawe nazwiska, które przeciętnemu Polakowi nie muszą za wiele mówić. Do grona osób, które przekazały ponad 10 tys. zł (a takie kwoty partia musi wpisywać do rejestru) dołączył, wpłacając 40 tys. zł, Zbigniew Juroszek,



przedsiębiorca z Cieszyna, który wraz z rodziną zajmuje ósme miejsce na liście najbogatszych Polaków w tegorocznym zestawieniu „Forbesa”. Ich majątek to 5,6 mld zł. Juroszek zaczynał od importu tkanin, dużo większe pieniądze zarobił, rozwijając firmę deweloperską Atal. Ale od lat największe zyski czerpie z biznesu bukmacherskiego. Jest bowiem jednym ze współwłaścicieli lidera na tym rynku, spółki STS, w której funkcję prezesa sprawuje jego syn Mateusz.

Juroszek miał prawo wpłacić tę drobną (z jego perspektywy) kwotę. To jego prywatne pieniądze i może robić z nimi, co chce. Choć warto dostrzec tu kilka dodatkowych aspektów.

GRA O KASYNA?

Informacja o zaangażowaniu w politykę właściciela STS wywołała pewne poruszenie w kręgach kibicowskich, które od polityki raczej stronią, a zwłaszcza od PO. W 2011 r. na wielu stadionach niosło się „Donald, matole, twój rząd obalą kibole”, a 11 fanów Jagiellonii Białostok zostało nawet oskarżonych przez prokuraturę o obrażanie premiera. Sąd sprawę umorzył, lecz tylko dlatego, że doszło do przedawnienia. W przeciwnym razie – wskazywał sędzia – kibice zostaliby skazani (jakże inna to postawa sądu niż w przypadku uniewinniających wyroków w ostatnich latach za rzeczywiste lżenie choćby prezydenta Andrzeja Dudy). Dziś ci sami kibice muszą przełknąć gorzką pigułkę, gdy okazuje się, że właśnie Platformę sponsoruje właściciel STS, która to spółka do 2025 r. jest też głównym sponsorem klubu, a jej logo widnieje na koszulkach zawodników. Firma sponsoruje też kilka innych drużyn, z których największa to Lech Poznań. Jednak niedawno ogłoszono, że kończąca się w tym sezonie umowa z wielkopolskim klubem nie zostanie przedłużona.

STS jest też oficjalnym sponsorem piłkarskiej reprezentacji Polski. Zapytany przez nas prezes PZPN Cezary Kulesza o to, czy zaangażowanie jednego z właścicieli STS w politykę jest korzystne dla związku i reprezentacji, unikał odpowiedzi: – Nie znam tematu. Na pytania o kwestie sportowe chętnie odpowiem,

ale tematyka polityczna mnie nie dotyczy.

Tę wstrzemięźliwość można zrozumieć, bo w sporcie robi się interesy ponad politycznymi podziałami, a pieniądze sponsorów są ważniejsze od ich poglądów. Ale jest ważniejsza kwestia, na którą warto zwrócić uwagę.

Firmy bukmacherskie działają na rynku ściśle regulowanym przez państwo, na którym dobre życie z władzą

W pierwszych dniach czerwca w rejestrze wpłat na rzecz PO pojawiły się nowe, szalenie ciekawe nazwiska, które przeciętnemu Polakowi nie muszą za wiele mówić. Do grona tych osób dołączył, wpłacając 40 tys. zł, Zbigniew Juroszek, współwłaściciel spółki STS, lidera na rynku bukmacherskim

może zapewnić pomyślność w biznesie, a więc olbrzymie pieniądze. Funkcjonowanie bukmacherów nadzoruje m.in. Ministerstwo Finansów, które wydaje licencje, koncesje, zatwierdza regulaminy spółek z branży hazardowej. Juroszkowie jednak sprzedają STS (do kontrowersyjnych szczegółów tej transakcji za chwilę dojdziemy). Czy zatem są uzasadnione podejrzenia, że chcą zawczasu ułożyć się z ewentualną nową ekipą rządzącą?

Kolejnym celem Juroszków i innych przedsiębiorców hazardowych będą m.in. wirtualne kasyna. Tu walka dotyczy dostępu do rynku wartego 17 mld zł. Pod hasłami demonopolizacji i zwiększenia dochodów budżetowych branża pro-

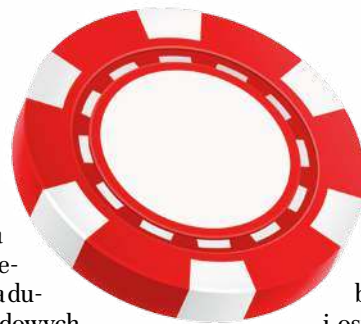
wadzi lobbing na rzecz poluzowania przepisów i umożliwienia działalności polskich firm bukmacherskich w grach kasynowych (ruletka, gry karciane online itd.). W tej chwili jedyne legalnie działające wirtualne kasyno (Total Casino) należy do Totalizatora Sportowego. Pozostałe kilkadziesiąt e-kasyn działa wbrew prawu. Ich ściganie jest trudne. Wprowadzenie rejestru domen zakazanych niewiele zmieniło, bo zagraniczni operatorzy po wpisaniu ich domeny na czarną listę (tylko przez pierwsze trzy miesiące br. pojawiło się 2 tys. takich wpisów), dokonują kosmetycznych zmian w jej adresie i kontynuują działalność. Szara strefa wciąż stanowi około połowy rynku.

Tu pojawia się trzeci z panów Juroszków – Tomasz. To drugi syn Zbigniewa. W maju wszedł w skład organów nadzorczych skandynawskiej Gaming Innovation Group (GIG), która dostarcza technologie internetowym bukmacherom, również takim, którzy działają w Polsce nielegalnie. Co więcej, niemal 10 proc. udziałów w GIG (to drugi największy wolumen wśród właścicieli) należy do rodziny Juroszków. Branżowe portale wprost piszą o konflikcie interesów. Wszak z jednej strony właściciele STS składają pozew przeciwko spółce Unibet łamiącej polskie przepisy, z drugiej – mają udziały (i od niedawna nadzorują) w firmie współpracującej z takimi piratami jak właśnie Unibet i promującej je.

ALTRUIŚCI CZY HIPOKRYCI?

Wróćmy do ubiegłotygodniowej wiadomości o sprzedaży STS, które można nazwać rewolucją na polskim rynku hazardowym. Nowym właścicielem lidera tego rynku stanie się Entain CEE, wyceniana na niemal 10 mld dol. spółka joint venture bukmacherskiej grupy Entain oraz czeskiego funduszu inwestycyjnego Emma Capital. Przejmie od Juroszków 70 proc. udziałów w STS, za które zapłaci 2,7 mld zł. Mateusz Juroszek pozostanie jednak prezesem STS i wejdzie w skład rady dyrektorów Entain. Dodatkowo ro-





dzina Juroszków obejmie 10 proc. akcji Entain CEE.

Na horyzoncie jest więc większa ekspansja bukmacherskich gigantów w Polsce oraz na innych rynkach naszego regionu, większe pieniądze, większe wpływy, a więc i większy lobbing u ustawodawców.

Tu dochodzimy do najciekawszego – zagadkowej technologii zarabiania pieniędzy przy przejmowaniu dużych firm.

STS ogłosiła, że sprzedaż spółki będzie prowadzona za pośrednictwem fundacji Juroszków. Umożliwiły to nowe przepisy o fundacjach rodzinnych, które weszły w życie 22 maja. Dzięki nim przy tak przeprowadzonej transakcji Juroszkowie unikną płacenia podatku w wysokości ok. 500 mln zł (!).

Drobni inwestorzy w internecie pytają o etyczną stronę transakcji i przypominają, że ledwie miesiąc wcześniej prezes STS Mateusz Juroszek wspólnie z prezesem konkurencyjnej Fortuny przeprowadzili akcję PR wzywającą Polaków do gry u legalnych bukmacherów. Dlaczego firmy łamiące nasze prawo mają tak wielu klientów? Bo wygrane w zakładach u podmiotów z licencją Ministerstwa Finansów są pomniejszone o podatki. U szeroko działających w Polsce (acz z naruszeniem prawa) zagranicznych bukmacherów podatków się nie płaci, zatem przy podobnych kursach na wydarzenia sportowe (a także polityczne, rozrywkowe i inne), wygrane są wyższe.

Główna deklarowana troska STS i Fortuny dotyczyła dochodów krajowego budżetu, które na nielegalnym hazardzie mają być uszczuplane o blisko 400 mln zł rocznie. Ale to przecież mniej, niż wpłynęłoby do kasy państwa z jednej transakcji sprzedaży STS, gdyby tę przeprowadzono np. miesiąc temu lub gdyby nie sięgnięto po nowe przepisy o fundacjach rodzinnych. Media społecznościowe pełne są wpisów o hipokryzji olbrzyma polskiej bukmacherki.

Nie brak też głosów, że przecież celem wprowadzonego właśnie prawa była ochrona rodzinnego majątku przy dzie-

dziczeniu (by firmy mogły stabilnie działać np. po śmierci właściciela czy jego przejściu na emeryturę), a nie stworzenie wytrychu do unikania dużych podatków przy giełdowych przejściach.

Dodajmy, że sprzedającymi akcje STS Holding będą MJ Foundation Fundacja Rodzinna oraz Fundacja Zbigniewa Jurosza Fundacja Rodzinna. Próżno szukać o nich jakichkolwiek informacji w rejestrach, bo oba podmioty są dopiero w trakcie organizacji. Pierwsze informacje o ich istnieniu pojawiły się raptem kilkanaście dni temu.

Jak więc w tej sytuacji klienci firm bukmacherskich mają przychylnie pa-

STS jest też oficjalnym sponsorem piłkarskiej reprezentacji Polski. Zapytany przez nas prezes PZPN Cezary Kulesza o to, czy zaangażowanie jednego z właścicieli STS w politykę jest korzystne dla związku i reprezentacji, unikał odpowiedzi

trzeć na fundamentalny argument, że gra u legalnie działających bukmacherów to patriotyczne wręcz zasilanie państwowej kasy? Co mają myśleć o firmie, która zorganizowała akcję wymierzoną w unikanie opodatkowania przez graczy dokładnie w momencie, gdy sama w tym czasie prowadziła operację zmierzającą do niepłacenia wielkiego podatku?

KTO SYPNĄŁ, KTO ZAROBILI?

To nie koniec. Największe oburzenie wzbudziły ubiegłotygodniowe wydarzenia na warszawskiej giełdzie.

Maciej Akimow, kierujący serwisem igamingpolska.pl, ujawnił, że informa-

cja o bliskiej sprzedaży STS Entainowi dotarła do niego już 5 czerwca. Kurs akcji STS zaczął rosnąć dwa dni później, by 13 czerwca wystrzelić i osiągnąć tego dnia 5-proc.

wzrost. Dlaczego to zastanawiające? Bo wezwanie Entain na akcje STS ogłoszono właśnie 13 czerwca, lecz dopiero o godz. 19.00, po zamknięciu sesji. Ile w tym okresie przeprowadzono na giełdzie transakcji zakończonych milionowymi zyskami? I czy da się udowodnić, że ktoś skorzystał przy tym z poufnych informacji i skupował akcje, zanim poinformowano o wezwaniu? Teraz ruch jest po stronie Komisji Nadzoru Finansowego, która powinna sprawdzić, kto skorzystał z zakulisowych informacji, nieprzekazanych przez spółkę giełdzie. Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych już zwróciło się do KNF o zbadanie ostatnich transakcji na akcjach STS.

Mateusz Juroszek tłumaczył „Parkietowi”: „Od samego początku proces był prowadzony przez nas z dochowaniem najwyższej staranności oraz z zachowaniem wszelkich procedur pod rozporządzeniem MAR [unijnych przepisów ws. nadużyć na rynku – przyp. red.]. Zarówno ja, jak i spółka nie mamy żadnej wiedzy na temat jakiegokolwiek wycieku informacji poufnej”.

KNF zaś przypominała, że „na bieżąco monitoruje prawidłowość wypełniania obowiązków informacyjnych przez emitentów, w tym w szczególności w zakresie rozporządzenia MAR, ustawy o ofercie publicznej oraz możliwości potencjalnej manipulacji kursem lub wykorzystania informacji poufnych. Monitoring ten dotyczy także spółki STS Holding”.

Wątpliwości rosną, a zaangażowanie finansowe Zbigniewa Jurosza we wspieranie Platformy i obalenie rządów PiS raczej nie pomaga w ważnym biznesowo momencie dla jego najbardziej dochodowej spółki. W PO też muszą patrzeć z pewną rezerwą na akurat tego sponsora.

Słowo „hazard” wywołuje bowiem w partii Tuska dreszcze. Nie sposób zapomnieć o skandalu, który wstrząsnął polską polityką w 2009 r., gdy opubliko-

wano stenogramy rozmów szefa klubu PO Zbigniewa Chlebowskiego z przedsiębiorcami z branży hazardowej dotyczących przygotowywanej ustawy. Chodziło o to, by pominąć w niej właścicieli tzw. jednoręki bandytów i nie obejmować ich obowiązkową dopłatą, którą państwo miało przeznaczać na cele sportowe. Okazało się, że w zażyłych relacjach z zarabiającymi na jednoręki bandytach są inni politycy PO, a zwłaszcza minister sportu Mirosław Drzewiecki. Potygodniu premier Donald Tusk zdymisjonował wspomnianych dwóch polityków plus kolejnych pięciu ministrów. Stanowisko stracił też Mariusz Kamiński, szef CBA, które aferę rozpracowywało.

W trakcie obrad powołanej w Sejmie komisji śledczej wyszło na jaw więcej patologicznych praktyk stosowanych na styku polityki i biznesu, z których jedną z najjaskrawszych była próba obsadzenia Magdaleny Sobiesiak w zarządzie Totalizatora Sportowego. Była ona nieposiadającą kompetencji do pełnienia takiej funkcji córką Ryszarda Sobiesiaka, właściciela kasyn i właśnie jednoręki bandytów. Dzięki ślepotce prokuratury i bezczelności polityków Platformy (a zwłaszcza szefa komisji Mirosława Sekuły, który nawet zadawał pytania pustym krzesłom w czasie przerwy w obradach, byle zakończyć przesłuchanie swojego partyjnego kolegi) afery rozeszła się po kościach.

Ale niesmak u opinii publicznej pozostał. Ciężko zapomnieć o stenogramach, z których wylały śliskie interesy polityków PO z hazardowymi biznesmenami, po których pocili się jak myśz na konferencji prasowej.

Dziś branża hazardowa znów puka do Donalda Tuska. I nawet przynosi gotówkę.

KORUPCJA SPRZED 20 LAT

Gdy przed miesiącem pierwszy raz pisałyśmy o bogatych sponsorach PO, ich lista była niemal o połowę krótsza. Od tamtego czasu pojawili się na niej z dużymi wpłatami m.in. Irmina i Piotr Nielubowiczowie (każde z nich wpłaciło maksymalne dozwolone prawem 52 350 zł). Piotr jest udziałowcem spółki CD Projekt, której pozostali właściciele (Marcin Iwiński

i Michał Kiciński – obaj w sierpniu będą gwiazdami na imprezie Rafała Trzaskowskiego Campus Polska Przyszłości) wraz z sześciorgiem najbliższych też przekazali Platformie maksymalne sumy – łącznie od szefostwa wydawcy gier komputerowych na konto PO popłynęło ponad 400 tys. zł.

Wśród nowych darczyńców Platformy jest też europoseł Magdalena Adamowicz (z wpłatą 10,5 tys. zł), jednak większość (i to hojniejszą) stanowią biznesmeni. Jak Grzegorz Bielowski, który w dawnych czasach był szefem młodzieżówki Unii Demokratycznej, a dziś zarządza setkami milionów złotych jako właściciel i prezes Tar Heel Capital (THC), firmy z branży funduszy private equity.

Jego podstawowa działalność w skrócie polega na wynajdywaniu firm, w które warto zainwestować, by pchnąć je w rozwój i zgarnąć pokaźne zyski. Jeden z jego biznesów znalazł się pod lupą wrocławskiej prokuratury. Chodzi o przymusowy wykup akcji mniejszościowych akcjonariuszy Fam SA przez spółki związane z funduszem THC. 2,5 roku temu postawiono zarzuty przestępstw gospodarczych w tej sprawie – właśnie Bielowskiemu oraz trzem innym osobom. Jak poinformowała nas Prokuratura Okręgowa we Wrocławiu, jeden z podejrzanych zmarł, we wszczętym w 2018 r. śledztwie przesłuchano do tej pory ponad 100 świadków, do wykonania jest jednak jeszcze wiele czynności, dlatego nie jest możliwe określenie daty zakończenia postępowania.

Najciekawsze są jednak transatlantyczne powiązania Bielowskiego. Żeby do nich przejść, wróćmy do hazardowej komisji śledczej. Zajmowała się ona m.in.

wątkiem współpracy Totalizatora Sportowego z amerykańską spółką GTech. I choć posłów bardziej interesowały umowy z 2006 r., warto cofnąć się do 2001 r., gdy Totalizator podpisał 10-letnią umowę z GTechem na obsługę systemu online. Po kilku latach sprawą zajęły się ABW i FBI (Federalne Biuro Śledcze przyglądało się hazardowemu biznesom GTechu w różnych zakątkach świata). Po-

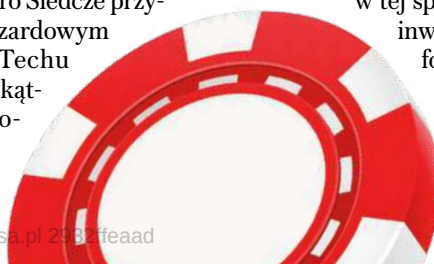
dejście: korupcja. W czasie przesłuchania przed komisją ds. loterii stanu Teksas stanął wówczas pochodzący z Polski Józef Blass, którego pytano, za jakie konsultacje przy tej transakcji otrzymał od GTech 20 mln dol., skoro nie ma żadnych materialnych dowodów na wykonaną przez niego pracę. Blass przyznał, że otrzymał pieniądze za „monitorowanie polskiego rządu”, do czego miał zatrudnić dwóch ludzi. Ich nazwiska jednak nie ujawnił.

Józef Blass (zmarł w 2020 r.) był synem Bronisława Blassa, dyrektora Wydziału Finansowego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego w stalinowskim okresie PRL, po 1956 r. wiceprezesa NBP. Jeszcze w liceum działał w Klubie Poszukiwaczy Sprzeczności przy Staromiejskim Domu Kultury ZMS, skupiającym głównie dzieci PRL-owskiej nomenklatury, zwykle żydowskiego pochodzenia. Jego znajomymi z tamtych czasów są m.in. Adam Michnik, Jan Tomasz Gross, Marek Borowski, Seweryn Blumsztajn czy Michał Kleiber.

W 1968 r. Blassowie wyjechali do USA. Tam Józef poślubił Ewę Schaff (córkę Adama Schaffa – szefa szkolenia kadr PZPR, czołowego ideologa marksizmu), wykładał matematykę i zajął się biznesem. Po 1989 r. doradzał polskim rządowi i inwestował. Jego pełnomocnikiem przy przejęciu w 1993 r. transportowej spółki Euroad (drugiej największej w kraju po Pekaesie) został właśnie Adam Schaff. A jej prezesem – Grzegorz Bielowski (wtedy 25-latek!), po protekcji posła UD Zbigniewa Janasa. Przy kolejnych licznych inwestycjach Blassa w Polsce jego pełnomocnikiem będzie już Bielowski.

Afery z 2001 r. nigdy nie wyjaśniono ani w Polsce, ani w USA. Gdy trwała, dochodziło do trzęsienia ziemi na najwyższych szczeblach – zmieniali się nie tylko prezesi Totalizatora Sportowego, lecz także ministrowie skarbu. Do dziś pozostaje nie wiadomą, kto „monitorował polski rząd” na zlecenie Józefa Blassa.

Pewnie mało kto by sobie o tym wszystkim przypominał, gdyby ci, którzy coś w tej sprawie muszą wiedzieć, nie inwestowali pieniędzy w Platformę Obywatelską. Czy takie wsparcie nie okaże się niedźwiedzią przysługą?





Polakom należy się prawda

Komisja ds. badania rosyjskich wpływów musi działać tak, żeby nikt nie mógł podważyć jej ustaleń. Potrzebujemy komisji – jak powiedział prezydent Andrzej Duda – która będzie działała nie tylko do jesiennych wyborów parlamentarnych, lecz także rzetelnie wyjaśni wszystkie sprawy dotyczące rosyjskich wpływów w Polsce. Tu chodzi bowiem o bezpieczeństwo państwa

**Z Grażyną Ignaczak-Bandyć, szefem Kancelarii Prezydenta RP,
rozmawia Dorota Łosiewicz**

Dlaczego prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę dotyczącą komisji ds. badania rosyjskich wpływów, a później zgłosił do niej poprawki?

Grażyna Ignaczak-Bandyć: Pan prezydent stoi na stanowisku, że transparentność wyjaśniania ważnych kwestii publicznych jest niezwykle istotna

i ważna dla właściwego funkcjonowania kraju, dlatego też zdecydował się na podpisanie ustawy, która umożliwi opinii publicznej poznanie prawdy. W tej sprawie trzeba odpowiednio ustawić proporcje – dominujący jest ważny dla państwa cel, a na dalszy plan schodzą pewne wątpliwości, które mogą roz-

wiązać Trybunał Konstytucyjny albo Sejm w drodze nowelizacji. Ten cel jest oczywisty i potrzebny, a pan prezydent wielokrotnie o tym mówił, a nawet wyraził żal, że komisja powstaje tak późno. Nie tylko w Polsce, lecz także w Europie wychodzą na światło dzienne fakty, które pokazują, że rosyjskie pieniądze i roz-

dawane stanowiska miały wpływ na podejmowane decyzje polityczne. Trudno uwierzyć, że Polska takim działaniom nie była poddawana. Polakom należy się prawda – głównie po to, by każdy mógł sam zobaczyć i wyrobić sobie opinię o tym, jak działały różne osoby, podmioty, partie czy organizacje. Tu chodzi bowiem o bezpieczeństwo państwa.

Ale?

Druga sprawa, to kwestie legislacyjne. Komisja musi działać tak, żeby nikt nie mógł podważyć jej ustaleń. Potrzebujemy komisji – jak powiedział pan prezydent Andrzej Duda – która będzie działała nie tylko do jesiennych wyborów parlamentarnych, lecz także rzetelnie wyjaśni wszystkie sprawy dotyczące rosyjskich wpływów w Polsce. W poprawkach pana prezydenta chodzi o to, by rozwiać wątpliwości natury prawnej i formalnej, tak by nie stracić z oczu tego najważniejszego celu. Pan prezydent patrzy dalej, rozumie dziejowe konieczności i zawsze tak działał, czasem podejmując decyzje wbrew swojemu obozowi politycznemu. Na końcu okazywało się jednak, że miał rację. Jestem przekonana, że teraz też tak będzie. Sejm podjął prace i komisja powinna zacząć działać jak najszybciej.

Czyli kiedy? Teraz poprawkami zajmie się Senat, potem znowu Sejm. Czy komisja zdąży się zebrać?

Jest to możliwe.

Sąd Najwyższy uchylił umorzenie sprawy Mariusza Kamińskiego i innych byłych szefów CBA – sprawa została przekazana do ponownego rozpoznania do sądu okręgowego. Zdaniem SN wyrok wydany kilka dni temu przez Trybunał Konstytucyjny po sześciu latach oczekiwania, że Sąd Najwyższy nie może wkraczać w prezydenckie prerogatywy do zastosowania prawa łaski, nie ma skutków prawnych. Co to wszystko znaczy?

Po pierwsze, w Polsce mamy potężny problem z funkcjonowaniem wymiaru sprawiedliwości. Po drugie, decyzje pana prezydenta wynikające z jego pre-

rogatyw nie podlegają kontroli innych organów, w szczególności sądów. Pan prezydent jest bardzo doświadczonym politykiem, jest też doktorem prawa, rozumie prawo, zna swoje uprawnienia i korzysta z nich w sposób świadomy i odpowiedzialny. Jako puentę cytuję prof. Dariusza Dudka – konstytucjonalistę, który tak podsumował tę sprawę: „Prawo łaski prezydenta w nielaskę Sądu Najwyższego”. Przy czym ta „nielaska” jest nietrafiona i niekonstytucyjna.

Wylączną prerogatywą prezydenta jest także nominowanie sędziów i na tę prerogatywę są zakusy.

Spór o funkcjonowanie sądów w Polsce trwa kilkadziesiąt lat. Trzeba pamiętać, że prawo do sądów to jedno z podstawowych praw obywatelskich. Dlatego

Decyzje prezydenta wynikające z jego prerogatyw nie podlegają kontroli innych organów, w szczególności sądów. Kwestionowanie przez sądy powołań prezydenckich to burzenie porządku prawnego w Polsce, droga do anarchii w państwie

prezydent Andrzej Duda wielokrotnie zabierał w tej sprawie głos. Składał propozycje rozwiązań. Pewne jest, że nie ustąpi z konstytucyjnych prerogatyw. Powtórzę raz jeszcze, że prerogatywy prezydenta nie podlegają żadnej kontroli ani innym decyzjom czy uchynom. Sędziowie nie mogą zajmować się sami sobą, bowiem mają się zajmować sprawami obywateli. Przypomnijmy, że trójpodział władzy precyzyjnie opisuje kompetencje trzech władz: sądowniczej, ustawodawczej i wykonawczej. Sądy administracyjne sprawują wymiar sprawiedliwości przez kontrolę administracji publicznej, a sądy karne i cywilne mają rozstrzygać sprawy zwykłych lu-

dzi. I powinny zajmować się tym, do czego są powołane. Kwestionowanie przez sądy powołań prezydenckich to burzenie porządku prawnego w Polsce, droga do anarchii w państwie.

Skoro przy sądach jesteśmy, to zapytam o decyzję Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, który uznał, że w sprawie dotyczącej kopalni Turów zachodzi niebezpieczeństwo wyrządzenia znacznej szkody w środowisku, i wstrzymał wykonanie decyzji środowiskowej dla przedsięwzięcia. W czym interes to było?

Kwestia Turowa jest niezwykle ciekawą, a zarazem bardzo złożoną sprawą. Zaczynijmy od początku: w 2021 r. Czechy złożyły przeciw Polsce pozew do TSUE w sprawie kopalni. Lecz już niecały rok później po rozmowach rządów polskiego i czeskiego skarga została wycofana. Więc teraz wydawało się, że kwestia przedłużenia koncesji na wydobywanie w Turowie, czyli jednej z kilkunastu elektrowni w tym regionie, bo są tam przecież także liczne elektrownie niemieckie i czeskie, nie powinno budzić wątpliwości. A jednak w czerwcu 2023 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uznał, że dalsze wydobywanie w Turowie stwarza niebezpieczeństwo wyrządzenia znacznej szkody w środowisku. Co warto wskazać, tylko ta jedna elektrownia z kilkunastu budzi zastrzeżenia. Jednocześnie jest to elektrownia będąca elementem bezpieczeń-

stwa energetycznego nie tylko Polski, lecz także całego regionu, elektrownia, która produkuje między 6 a 8 proc. polskiej energii. Decyzją sądu, choć nie jest ostateczna, wprowadza duży zamęt. Polskie państwo stanęło na stanowisku, że nie można wyłączyć elektrowni z dnia na dzień. Polska Grupa Energetyczna i Prokuratura Krajowa złożyły zażalenia na postanowienie WSA. Mamy do czynienia z działaniem destabilizującym, wymierzonym w nasze bezpieczeństwo energetyczne. Nie można wykluczyć, że może chodzić o wywołanie niepokoju społecznego, bo w grę wchodzi także sytuacja tysięcy ludzi zatrudnionych w Turowie.

Na początku listopada 2021 r. prezydent skierował do Sejmu dwa projekty zakładające wprowadzenie w Polsce instytucji sędziów pokoju: projekt ustawy o sądach pokoju oraz ustawy zawierającej przepisy wprowadzające. Co słysząc w sprawie tych projektów?

Polacy nisko oceniają funkcjonowanie sądów, zwłaszcza za opieszałość w działaniu. Projekt pana prezydenta ma na celu przyspieszenie rozpatrywania spraw. Ustawy zostały dopracowane, a prezydent Andrzej Duda jest przekonany, że wprowadzenie sędziów pokoju to dobre rozwiązanie, które ma na celu odciążenie wymiaru sprawiedliwości, przyspieszenie procedur sądowych, a także przybliżenie wymiaru sprawiedliwości do społeczności lokalnych. Pracowali nad nim eksperci pod kierunkiem prof. Piotra Kruszyńskiego, a z ramienia Kancelarii Prezydenta RP w pracach nad projektem uczestniczył mec. Paweł Mucha. Od chwili złożenia projektu ustawy w Sejmie stała się ona własnością parlamentu, i wiemy, że w parlamencie jest duża przychylność różnych sił politycznych, by wprowadzić te rozwiązania. Ten projekt pozwoliłby przyspieszyć rozpatrywanie prostych, zwykłych spraw. Sędziowie pokoju funkcjonowałiby w ramach polskiego systemu sądowego, a więc odwołanie od wyroków byłoby możliwe. Nieprawdziwy jest argument, że sędziowie pokoju działaliby poza polskim systemem sądownictwa.

Minister Zbigniew Ziobro twierdzi, że takie rozwiązanie byłoby destrukcyjne dla polskiego systemu sprawiedliwości.

Sytuacja wyglądałaby tak, że sędziów pokoju wybierałoby obywateli. Wybierałoby osoby sobie znane, z wykształceniem prawniczym. Wymiar sprawiedliwości byłby więc bliżej Polaków. Mandat społeczny jest mandatem najsilniejszym i nim cieszyliby się wybrani przez społeczeństwo sędziowie pokoju.

Dziś UE próbuje zmusić Polskę do przyjęcia nielegalnych imigrantów

z innych krajów lub płacić 22 tys. euro rocznie za nieprzyjętą osobę. Jak Polska powinna grać?

Polska od 2015 r. stoi na stanowisku, że przymusowe przesiedlenia są wbrew prawom człowieka. W Polsce bardzo źle się one kojarzą – z totalitaryzmami: komunistycznym i nazistowskim. Wtedy przesiedlenia odbywały się na masową skalę. Przypomnijmy także, że Polska przyjęła ok. 1,5 mln uchodźców wojennych z Ukrainy. Spójrzmy na liczby: UE chce relokować 120 tys. nielegalnych imigrantów rocznie. A polską granicę dziennie przekracza 25–30 tys. uchodźców wojennych

Prezydent Andrzej Duda już na początku 2022 r. złożył projekt ustawy, która miała umożliwić uruchomienie europejskich środków. Dziś ustawa oczekuje na wyrok TK. Pan prezydent liczy, że sprawa zostanie rozstrzygnięta w terminie wyznaczonym na koniec czerwca

z Ukrainy. Warto postawić pytanie, czy UE ma problem relokacji w skali roku takiej liczby uchodźców, która przekracza polską granicę w skali tygodnia? Polacy pokazali, że są otwarci na pomoc drugiemu człowiekowi w potrzebie, że potrafią błyskawicznie organizować się oraz nie szczędzą wysiłków i środków. Zapewniliśmy dzieciom z Ukrainy edukację, uchodźcom pomoc socjalną i medyczną. Poza tym trzeba zapytać, dlaczego Unia lepiej traktuje nielegalnych imigrantów ekonomicznych niż ludzi, którzy uciekają przed wojną. Polska jest dla Europy przykładem, a karanie nas za to, że nie przyjmujemy kolejnych imigrantów, najdelikatniej mówiąc, jest niesprawiedliwe.

Do listy problemów z UE trzeba dołączyć także te związane ze środ-

kami z KPO. Zostaną one uruchomione przed wyborami?

Prezydent Andrzej Duda już na początku 2022 r. złożył projekt ustawy, która miała umożliwić uruchomienie europejskich środków. Jako pierwszy zabrał głos w tej sprawie, bo widział potężne zagrożenie. Gdyby projekt jego ustawy został przyjęty od razu, nie byłoby dziś tematu. Ustawa prezydenta trafiła do łaski marszałkowskiej w chwili, gdy rozpoczynała się wojna na Ukrainie, gdy wystraszona Europa była w szoku. Ustawa prezydencka była procedowana kilka miesięcy, wprowadzono korekty, które stały się pretekstem dla KE do zmiany stanowiska. Rząd podjął drugą próbę zmian w prawie, dziś ustawa oczekuje na wyrok TK. Pan prezydent liczy, że sprawa zostanie rozstrzygnięta w terminie wyznaczonym na koniec czerwca.

A skąd tyle kontrowersji wokół prezydenckiego projektu ustawy, który ma określić ramy współpracy polskich władz – prezydenta, rządu i parlamentu – w kontekście przewodniczenia przez Polskę pracom Rady Unii Europejskiej w 2025 r.? Został on przyjęty w rządzie z dużym dystansem. Podobno prezydent ma się domagać zbyt daleko idących kompetencji.

Prezydent zapowiedział ten projekt 1 maja 2023 r. podczas wspólnej konferencji z premierem Mateuszem Morawieckim. Nie jest to więc żadne zaskoczenie. Ten projekt realizuje postanowienie TK z 2009 r. w związku z próbą ograniczania przez ówczesnego premiera rządu Donalda Tuska kompetencji prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Polska prezydencja w 2025 r. może mieć kluczowe znaczenie dla przyszłości Europy i zmian, które zachodzą w ramach struktur UE. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że współdziałanie władz jest dla Polski korzystne, a głowa państwa chciałaby usankcjonować zasady tej współpracy.

A jak Andrzej Duda ocenia kampanię? Jest gorąco. Lider opozy-

cji grozi i prezydentowi, i legalnie wybranym szefom państwowych instytucji. Oprócz tego pogłębia się konflikt w obozie władzy. Teraz działa wytoczyli byli spin doktorzy PiS, którzy twierdzą, że partia jest w defensywie.

Pan prezydent deklarował i deklaruje, że będzie wspierał dobre programy i dobre rozwiązania dla Polski. Martwi go poziom i jakość debaty publicznej w Polsce. Opozycja nie posiada programu, tylko gra na emocjach. Kieruje groźby i nieparlamentarne sformułowania pod adresem legalnie wybranej władzy. Toksyczne emocje nie zastąpią programu. Każde rozwiązanie proponowane przez rząd bez względu na to, jakiej dziedziny dotyczy, spotyka się z historyczną reakcją i negacją. To jest groźna sytuacja zwłaszcza w kontekście tego, co dzieje się wokół. Polacy powinni być dziś skoncentrowani na budowie siły swojego kraju w związku z tym, co dzieje się na Wschodzie. Polska zajmuje dziś ważną pozycję na arenie międzynarodowej. Przed szczytem NATO w Wilnie prezydent uczestniczy w spotkaniach Trójkąta Weimarskiego i Bukaresztańskiej Dziewiątki oraz licznych konsultacjach bilateralnych. Polska ma znaczącą rolę do odegrania i świat to widzi, a pozycja Andrzeja Dudy jest silna. Na arenie międzynarodowej prezydent, który pochodzi z bezpośredniego wyboru, a jego mandat został odnowiony na kolejną kadencję, bardzo się liczy.

A jak powinna się ułożyć współpraca polsko-ukraińska po wojnie?

Wszyscy liczymy, że Ukraina wyjdzie z tej wojny zwycięska. Nasz sąsiad walczy o bezpieczeństwo Polski i całej Europy – dlatego go wspieramy. Nie zapominamy, że jest między nami bolesna historia, która wymaga pracowania. Ten temat w agendach rozmów jest i będzie.

Już 10 września odbędzie się beatyfikacja Józefa i Wiktorii Ulmów oraz ich siedmiorga dzieci. Jak pan prezydent angażuje się w ten temat?

Beatyfikacja rodziny Ulmów, zamordowanej podczas II wojny światowej przez Niemców za ukrywanie Żydów, to dla Polaków bardzo ważny moment. Jest to z jednej strony wydarzenie religijne, a z drugiej okazja, by przypomnieć Polakom, a opowiedzieć światu, dlaczego rodzina Ulmów zachowała się tak, a nie inaczej. To moment, by pokazać polską historię, bohaterstwo, religijność i miłosierdzie. Dlatego pan prezydent powołał Komitet ds. Obchodów Towarzyszących Beatyfikacji Rodziny Ulmów, koordynujący najważniejsze działania wokół tego wydarzenia. Chcemy pokazać polską

Prezydent powołał Komitet ds. Obchodów Towarzyszących Beatyfikacji Rodziny Ulmów, koordynujący najważniejsze działania wokół tego wydarzenia. Chcemy pokazać polską piękną, tradycyjną, religijną rodzinę, która jednocześnie była bardzo nowoczesna

piękną, tradycyjną, religijną rodzinę, która jednocześnie była bardzo nowoczesna. Józef Ulma był pszczelarzem, miał pierwszą elektrownię wiatrową, dzięki której miał prąd. Hodował jedwabniki, zakładał spółdzielczość, a jego żona grała w teatrze. Mając gromadkę dzieci, będąc ludźmi świadomymi, podjęli wyzwanie ratowania swoich sąsiadów i razem z nimi zginęli, bo takie było prawo niemieckiego okupanta. Chcemy wokół uroczystości beatyfikacji zbudować dużo wydarzeń, dających wiedzę i skupiających aktywność społeczną. W ciągu kilku tygodni przedstawimy cały kalendarz, m.in. prawdopodobnie już w lipcu wyruszy pociąg relacji Przemysł-Berlin, którego lokomotywa będzie ozdobiona okolicznościową grafiką przedstawiającą rodzinę Ulmów. Będziemy też za-

chęcać do aktywności rodziny, większe i mniejsze środowiska. Co ważne, mamy nadzieję, że rozmowa o Ulmach nie zakończy się wraz z beatyfikacją, a komitet na pewno będzie działał do marca 2024 r., do 80. rocznicy mordu na rodzinie Ulmów i ukrywających się u nich Żydów.

Prezydent wraz z małżonką otrzymali tytuł Przyjaciela Polskiej Pediatrji. Jak to się stało?

Pan prezydent Andrzej Duda od niemal ośmiu lat inicjuje i wspiera działania na rzecz dzieci m.in. przez ustawę o Funduszu Medycznym, znoszącą limit przyjęć dzieci, finansującą rozwój szpitali pediatrycznych oraz szczenia przeciwko HPV. Małżonka prezydenta od lat inicjuje i wspiera liczne przedsięwzięcia prospołeczne, edukacyjne i dobroczynne. Przedmiotem szczególnej uwagi pani Agaty Kornhauser-Dudy są sprawy ochrony i promocji zdrowia oraz troska o chorych i niepełnosprawnych najmłodszych. Pani prezydentowa wiele uwagi poświęca również problematyce przedwczesnych porodów. Odwiedza oddziały neonatologiczne, zabiega o popularyzację wiedzy, wspiera rozwój opieki nad wcześniakami oraz ideę banków mleka. Pierwsza dama zwróciła uwagę na codzienne potrzeby oraz trudności dzieci i młodzieży, szczególnie wyostrzone lub spowodowane trudnym czasem pandemii. Chcąc zachęcić dorosłych do towarzyszenia najmłodszemu w procesie wychodzenia z izolacji i w radzeniu sobie z różnymi problemami, Agata Kornhauser-Duda zainicjowała akcję Usłyszeć Dzieci, w której psychologowie, pedagodzy, socjologowie i lekarze dzielą się swoją wiedzą i doświadczeniem, udzielając porad i wskazówek ułatwiających przyjrzenie się najważniejszym dziecięcym sprawom i problemom. Pamięamy też, że pani prezydentowa zaangażowała się również we wszechstronną pomoc dzieciom – ofiarom wojny za naszą wschodnią granicą. Organizowała pomoc, transporty medyczne, dostawy sprzętu i leków. W wielu tych działaniach uczestniczyła osobiście.

Trzecie bezdroże

Tusk chce unicestwić projekt Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, a ci nie mają wyjścia i muszą zaatakować lidera Platformy. Bo inaczej przepadną



STANISŁAW JANECKI

Trzecia Droga to największy wróg Donalda Tuska. Twarde deklaracje jej liderów, Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza, przeciwko jednej liście opozycji ośmieliły innych do sceptycyzmu i wysadziły w powietrze najważniejszy projekt przewodniczącego Platformy Obywatelskiej i „Gazety Wyborczej”.

Od czasu, gdy liderzy Polski 2050 i Polskiego Stronnictwa Ludowego odmówili udziału w projekcie Tuska, zaczęły się ostre ataki zarówno na nich, jak i na ich partię. Ze strony polityków Koalicji Obywatelskiej, a przede wszystkim ze strony mediów sprzyjających Tuskowi. Niektóre ataki, np. Tomasza

Lisa, miały odebrać liderom PSL i Polski 2050 godność i honor, szczególnie dotyczyło to Szymona Hołowni.

Od kwietnia 2023 r. Tusk upokarzał Hołownię i Kosiniaka-Kamysza, a oni nie bardzo wiedzieli, ani jak się odgrzyźć, ani co zrobić, żeby nie tracić we własnym elektoracie, bo „chłopcy do bicia” mogą tylko tracić. Tusk chce zniszczyć Trzecią Drogę, a w szczególności Polskę 2050 i Szymona Hołownię za krnąbrność, podważanie jego przywództwa i kwestionowanie politycznej mądrości. Szef PO uważa, że Polska 2050 ma jeszcze na tyle słabe struktury, że nie obroni się przed zmasowanym atakiem, że rozsadzają wewnętrzne konflikty, a działacze tej partii zaczną z niej występować, kwestionując przywództwo Hołowni. Przewodniczący Platformy liczy na to, że łatwo zniszczy Polskę 2050, a następnie tak upokorzy i przeczłoga PSL, że ta partia nie będzie miała innego wyjścia, jak błagać o łaskę i przyjęcie do Koalicji Obywatelskiej lub zawarcia z nią koalicji.

Od 2001 r., czyli od powstania Platformy Obywatelskiej, Tusk jest mistrzem destrukcji, a jedyne konstruktywne posunięcia, czyli powstanie Koalicji Obywatelskiej (szerszej formacji niż PO) oraz Koalicji Europejskiej (na wybory do europarlamentu w 2019 r.), były możliwe tylko dlatego, że to nie Tusk kierował wtedy Platformą, lecz Grzegorz Schetyna.

Błąd Hołowni i Kosiniaka-Kamysza polegał na tym, że na ataki odpowiadali nastawianiem drugiego policzka, co Tusk bezwzględnie wykorzystał i atakował jeszcze brutalniej. Ale to musi się zmienić, bo taka postawa grozi zniszczeniem Trzeciej Drogi. I jej liderzy mają świadomość, że czas objawiania ich przez Tuska oraz jego medialnych palkarzy powinien się natychmiast skończyć.

DYWERSANCI

Ataki na Szymona Hołownię i Polskę 2050 są wstępem do rozwalenia tej partii. To, czego Tusk nie może powiedzieć, robi np. sfrustrowany wuj chrzestny jednej listy, czyli Tomasz Lis, który już 21 stycznia 2023 r. napisał na Twitterze: „Kasując perspektywę wspólnej listy opozycji, pomaga się Kaczyńskiemu. Kałownia 2023”. Kilka miesięcy później Lis dodał, że „Hołownia to największy żart w polskiej polityce od czasu Kononowicza [Krzysztofa – w 2006 r. kandydata na prezydenta Białegostoku]”.

Od miesięcy jeździ po Szymonie Hołowni „Gazeta Wyborcza”. Agnieszka Kublik napisała (14 kwietnia 2023 r.): „Hołownia lubi się obrażać, a jeszcze bardziej kocha mówić o tym, że się wcale nie obraża. [...] Naczelnym fochmistrzem – tak sam siebie często nazywa, by żartobliwie rozbroić krytyków i zaprzeczyć, że tym fochmistrzem naprawdę jest. Lider Polski 2050 uwielbia wykłady, na któ-

rych opowiada, jak inni go obrażają, ale on jest ponad to. Oczywiście w tle i między wierszami tych opowieści jest wiele ataków na Tuska, na PO, bo Hołownia jest przekonany, że Platforma chce jego Polskę 2050 unicestwić, by przejąć jego elektorat”. Tyle tylko, że Tusk i PO faktycznie chcą zniszczyć projekt Hołowni. Z prostego powodu: Polska 2050 stała się pierwszym wyborem dla tych, których chciałby pozyskać sam Tusk. I byłby w stanie część z nich pozyskać, gdyby partia Hołowni nie istniała. A najcenniejsi w zasobach Hołowni są lokalni aktywiści, eksperci, wolontariusze, osoby stawiające pierwsze kroki w polityce.

Jak stwierdził Marcin Duma, prezes sondażowni IBRIS (w rozmowie z Grzegorzem Sroczyńskim na portalu gazeta.pl): „Żeby była mijanka i Platforma wyprzedziła PiS, Tusk musi »zabić« Hołownię. Sorry. Nie ma innej drogi. Teoretycznie Tusk mógłby pozyskać nowych wyborców, którzy dzisiaj są nieaktywni, i coś dosypać do opozycyjnego rynku, tyle że ci ludzie są dziś poza zasięgiem oddziaływania komunikacyjnego. [...] To są ludzie, którzy [...] rzygają tym wszystkim, a jeszcze teraz mają wakacje, trzeba gdzieś wyjechać, otworzyć browarek. [...] Co robią ludzie w niedzielę, jak jest ciepło? Grillują i piją piwko. Do nich nie dojdiesz z twardym komunikatem, że Polska się wali”.

Hołownia i Kosiniak-Kamysz chcieli zademonstrować, że się bardzo różnią od Platformy, zamkniętej na zmiany i nowych wyborców. Różnią się otwartością i gotowością do dialogu. „Zgodnie z obietnicą wspólnie z Kosiniakiem-Kamyszem zaprosiliśmy Koalicję Obywatelską, Konfederację, Prawo i Sprawiedliwość oraz Lewicę na konsultacje pierwszego wspólnego projektu ustawy Trzeciej Drogi: Przyszłość+. Celem Trzeciej Drogi jest wprowadzenie do polskiej polityki nowych wartości, takich jak rozmowa o konstruktywnych propozycjach na przyszłość” – napisał 9 czerwca 2023 r. Szymon Hołownia na Twitterze. „Przyszłość+ to propozycja zwiększenia wydatków na edukację do 6 proc. PKB. Zamiast rozrzucać pieniądze pod wybory, zgódźmy się ponad podziałami, by zainwestować je

w naszą przyszłość. Przyszłość nie jest ani lewicowa, ani prawicowa. Jest nasza wspólna” – dodał Hołownia.

I zaczęła się jatka. Donald Tusk odpowiedział, że „z PiS możemy konsultować warunki ich kapitulacji. O przyszłości będziemy rozmawiać w gronie patriotów”. Dołączył Borys Budka: „Zapraszanie – za naszymi plecami – na konsultacje o przyszłości Polski tych, którzy od ośmiu lat ją niszczą, jest niezrozumiałe. Tu nie ma trzeciej drogi”. Dosypał poseł PO Maciej Lasek: „Są granice, których przekroczenie jest niebezpieczne, przekroczywszy je bowiem, wrócić już niepodobna”. Swoje musiała dodać nawet posłanka Kinga Gajewska: „Nikt z Platformy nie będzie

Jak stwierdził Marcin Duma, prezes sondażowni IBRIS: „Żeby była mijanka i Platforma wyprzedziła PiS, Tusk musi »zabić« Hołownię. Sorry. Nie ma innej drogi...”

konsultował z PiS żadnych pomysłów programowych. [...] PiS ma prawo wziąć jedynie odpowiedzialność za zło, które wyrządził. I tak się stanie”.

Wśród rzucających kamieniami w lidera Polski 2050 nie mogło zabraknąć Tomasza Lisa: „Hołownia zaprezentował w ostatnich dniach cały pakiet: infantylizm i szczeniactwo. Ktoś musi Szymciovowi wyjaśnić, że Polska to nie piaskownica. [...] Póki dywersant Hołownia działa na tyłach opozycji, ta będzie atakowana z dwóch stron jak w zabawie w dwa ognie”. Politolog Marek Migalski apelował: „Tego, kto to [konsultacje] zaproponował, powinniście z W.K.-K. [Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem] znaleźć i rozstrzelać!”.

ODWET

Donald Tusk upokorzył liderów PSL i Polski 2050, nie przewidując ich wystą-

pienia 4 czerwca 2023 r. na pl. Zamkowym, a potem robiąc z nich niedojdy, które nie są w stanie przedrzeć się przez tłum, by zabrać głos. Reakcją na ataki była bardzo konciliacyjna (miało to odróżniać Trzecią Drogę od agresji PO i Tuska) propozycja Szymona Hołowni, potem naprędce autoryzowana także przez Kosiniaka-Kamysza, czyli ponadpartyjne konsultacje w Sejmie pod hasłem „Przyszłość”. Tylko że to jeszcze wzmogło ataki.

Zawielką krucjatą przeciwko Hołowni (mniej przeciwko Kosiniakowi-Kamyszowi) poszły zamawiane badania przez media związane z Tuskiem. Stosowane w nich „podprowadzenia” (tezy poprzedzające zadanie właściwego pytania o wyborcze preferencje) miały osmieszyć

Trzecią Drogę i pokazać ją jako wysoce szkodliwy projekt polityczny. Te sondaże miały nie tyle badać, jak jest, ile wskazywać trend, czyli odpływ poparcia dla Trzeciej Drogi. I to w jakiejś skali stało się faktem. Trzecia Droga zaczęła tracić.

Na to nie mogli już nie zareagować Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz. Stało się dla nich jasne, że muszą zaatakować Tuska i przypomnieć nie tylko jego błędy z przeszłości, lecz także jego „oszustwa” z rozmów o wspólnych przedsięwzięciach, prowadzonych w ostatnich miesiącach.

Wojna z Tuskiem i PO ma wzmocnić i uwiarygodnić Trzecią Drogę jako formację samodzielną. Tusk liczy jednak na to, że eskalacja konfliktu wypchnie kandydatów Trzeciej Drogi z paktu senackiego, który na tym nie straci, bo wypchniętych przedstawi się jako dywersantów. Dlaczego? Bo przez kilkanaście tygodni uniemożliwiali dopięcie paktu.

Ale konflikt z Trzecią Drogą może wysadzić pakt senacki w powietrze i utrudnić liderowi PO prowadzenie kampanii wyborczej. Wystarczy, że Tusk będzie przedstawiany jako ten, który dla własnych celów i z powodu złych cech charakteru poświęcił interes całej opozycji, a więc właściwie działa na korzyść PiS i Jarosława Kaczyńskiego. To ma wywołać spadek notowań Koalicji Obywatelskiej (PO), a wzmocnić Trzecią Drogę. Czy Hołownia z Kosiniakiem-Kamyszem twardo postawią się Tuskowi, zobaczymy.

Nie lubię, gdy ktoś mówi o mnie „artysta prawicowy”

Uważam, że jeśli plakat wzbudza emocje, to znaczy, że działa. Bardzo lubię, jeśli w odniesieniu do moich prac jest dużo skrajnych opinii, a nawet ekstremalne skrajnych



Z Wojciechem Korkuciem, polskim artystą i projektantem graficznym, rozmawia Goran Andrijanić

Już kolejny rok przygotowuje pan akcję artystyczną „Pierwszy transport”. Również w tym roku Warszawa jest oplakotwana obrazami przedstawiającymi ofiary Niemców. Jaki jest cel tego projektu oprócz tego oczywistego: przywrócenia pamięci o pierwszym trans-

porcie Polaków do niemieckiego obozu Auschwitz?

Wojciech Korkuć: Temat jest wielowątkowy. Po pierwsze, chciałem wywołać jakąś reakcję na falę kłamstw o „polskich obozach koncentracyjnych”. To były czasy, kiedy wszyscy jakoś się przejęzyczali, ale zawsze w jedną stronę.

Nikt nie mówił o „austriackich obozach koncentracyjnych” albo „czeskich obozach koncentracyjnych”, a niemieckie stały się „nazistowskimi”. Istniały tylko „polskie obozy”, prawda? Chciałem zareagować na fałszowanie historii. Drugi ważny aspekt to ten związany z reparacjami. Jeszcze w 2014 r., w rozmowie

z Dorotą Kanią, powiedziałem, że Polska powinna się upomnieć o reparacje od Niemców. Bo to wiele rzeczy uporządkuje. Kiedy wiemy, kto komu coś zrobił, wtedy i kłamstwa o „polskich obozach koncentracyjnych” nie będą możliwe. To powinno również weryfikować manipulacje medialne.

Była więźniarka Auschwitz, pani Barbara Wojnarowska-Gautier, i Chrześcijańskie Stowarzyszenie Rodzin Oświęcimskich skontaktowały się ze mną w sprawie obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Niemieckich Naziistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady. Polskie państwo ustanowiło ten dzień na 14 czerwca, ale wydarzenie nie miało należytej oprawy. Z tego powodu powstał projekt artystyczny, który trwa już cztery lata. Pierwszy został zrealizowany w 2020 r. Rok temu zorganizowaliśmy wystawę w Centrum Sztuki Współczesnej. Wtedy postacie najmłodszych więźniów z „Pierwszego transportu” ubrałem fotograficznie we współczesne ubrania i w ten sposób próbowałem je przenieść w czasie do współczesności. W projekcie 14 czerwca chodzi mi o to, żebyśmy zaczęli opowiadać o naszej historii własnym językiem, z własnej perspektywy. Jeżeli tego nie zrobimy, szybko znajdą się chętni, którzy zrobią to za nas. Niekoniecznie zgodnie z prawdą. Tych tematów do opowiedzenia na nowo jest bardzo wiele.

To z jednej strony smutne, że dopiero od 2006 r. mamy Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Obozów, ale z drugiej dobrze, że je zauważono, że są upamiętniane.

Przekonani, że data 14 czerwca 1940 r. jest ważna dla polskiej historii, postanowiliśmy zrobić w 2020 r. artystyczno-historyczną instalację i akcję plakatową. Nie wiem, czy to efekt naszego projektu, ale wtedy prezydent i premier postanowili osobiście oddać hołd w Auschwitz Polakom z pierwszego transportu. Nasze ówczesne działania nie były planowane jako coroczna, cykliczna akcja. Ale kiedy zobaczyłem reakcje pewnych środowisk, pewnych publicystów

– zostałem niejako zachęcony, by ten temat przypominać co roku.

Których publicystów?

Np. Jan Hartman napisał tekst pełny nienawiści, w którym oskarżył Po-

W projekcie 14 czerwca chodzi mi o to, żebyśmy zaczęli opowiadać o naszej historii własnym językiem, z własnej perspektywy. Jeżeli tego nie zrobimy, szybko znajdą się chętni, którzy zrobią to za nas. Niekoniecznie zgodnie z prawdą

laków, że ta rocznica jest absurdalnym zawłaszczeniem. Tak jakby się transport Polaków do Auschwitz w ogóle nie odbył. Uświadomiłem sobie wtedy, że skoro to tak bardzo nie pasuje pewnym środowiskom, to znaczy, że jest to ważna sprawa i że powinniśmy ją robić cyklicznie. Każda ofiara niemieckiego obozu KL Auschwitz zasługuje na upamiętnienie. Dotyczy to ofiar bardzo wielu nacji, które zostały tam zamordowane.

Porozmawiajmy teraz o Międzynarodowym Biennale Plakatu w Lublinie. Wywołał pan tam niemałe zamieszanie. Pana plakat nawiązujący do katastrofy smoleńskiej, na którym jest słynne zdjęcie Donalda



Tuska i Władimira Putina, został wycofany z konkursu.

Zaprotestował artysta, pedagog z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, Szymon Szymaniewicz. Oświadczył, że nie życzy sobie, żeby jego praca była prezentowana obok mojej na tej samej wystawie. „Gazeta Wyborcza” natychmiast napisała o słusznym proteście artysty, po czym dołączyło do niego jeszcze kilku innych plastusi, a może jego podopiecznych. I zrobił się mały bojkot. Swoją drogą, to zainteresowani powinni zobaczyć, jakie plakaty projektuje pan Szymon. Jest on ostatnią osobą, który ma prawo recenzować przyzwoitość prac innych artystów. Mieliliśmy więc sytuację, w której pedagog uczy młodych ludzi, jak się zakłada kaganiec innym artystom i jak się cenzuruje ich prace. To jest niebawale, że pedagog, który jest wykładowcą uniwersyteckim, jest na tyle bezczelny, by domagać się działań cenzorskich. On się trochę za późno urodził. W czasach stalinizmu zrobiłby zapewne błyskotliwą karierę w szeregach jedynie słusznej, wtedy zjednoczonej partii. A tak na prawdę to mentalnie jako pedagog i jako artysta strzelił sobie w stopę. A efekt bojkotu jest odwrotny od spodziewanego. Cała Polska zamawia koszulki z tym plakatem!

Czy ten plakat jest naprawdę aż taką wielką prowokacją?

Moim zdaniem plakat ma charakter dokumentalny, a nie prowokacyjny. Nie jest to jakaś odkrywca kreacja. Plakat powstał w sposób bardzo spontaniczny, właściwie sam chciałem się zaprojektować. Zdjęcie użyte do tego plakatu było już wielokrotnie publikowane na okładkach wielu periodyków. Miałem je w formie negatywowej i jakoś mi po prostu zabłysnęło, że to można jakoś inaczej ująć.

Jednak plakaty pana Szymaniewicza są pełne prowokacyjnych przesłań politycznych.

Jeśli mój plakat został wycofany z konkursu z powodu zewnętrznej presji na przewodniczącą jury, to znaczy, że w ten sam sposób można presją zdecydować, który z plakatów dostanie nagrodę. Jury w interesie prestiżu takiego konkursu nie powinno ulegać jakiegokolwiek zewnętrznej presji. To jest niedopuszczalne

Ten pan ma obsesję na punkcie szefa partii rządzącej i robi plakaty, które są zwykłą, tendencyjną manipulacją polityczną. On ma jakieś projekcyjne omamy. Decyzja o wycofaniu jednego z moich plakatów jest niebezpiecznym precedensem na tego typu konkursie. Międzynarodowe jury dokonało wstępnej selekcji z niemal 3 tys. prac na wystawę, z których miały być wyłonione prace

Nie mam charakteru osoby, która się godzi na mentalne kompromisy. Jestem po prostu sobą. To lewackie środowisko ma pewien ograniczony sposób patrzenia na rzeczywistość, a mój jest szerszy, bo niczym nieograniczony. Najpierw jestem sobą, a potem artystą. I proszę mi żadnego kagańca nie nakładać, bo to jest niemożliwe

nagrodzone i wyróżnione. Jeśli plakat został wycofany z takiego konkursu z powodu zewnętrznej presji na przewodniczącą jury, to znaczy, że w ten sam sposób można presją zdecydować, który z plakatów dostanie nagrodę. Jury w interesie prestiżu takiego konkursu nie powinno ulegać jakiegokolwiek zewnętrznej presji. To jest niedopuszczalne. Jakikolwiek werdykt tego jury będzie kwestionowany. To gremium z szacunku do reguł konkursu powinno się samorozwiązać. I to by było jakieś honorowe wyjście z tej sytuacji.

W każdym razie uważam, że jeśli plakat wzbudza emocje, to znaczy, że działa. Bardzo lubię, jeśli jest dużo skrajnych opinii, a nawet ekstremalnie skrajnych. Tak się stało z tym plakatem. Pojawiły się obraźliwe inwektywy, były też skrajne zachwyty. Wiele osób na różnych forach internetowych napisało, że to jest najlepszy plakat, jaki kiedykolwiek zrobiłem.

Czy jest pan zmęczony walką ze środowiskiem zdominowanym przez jeden światopogląd i jeden pogląd na rzeczywistość?

Jestem w takiej sytuacji, że z tego środowiska zostałem wykluczony już jakiś czas temu i podchodzę do tego z dużym dystansem, a nawet politowaniem. Po paru dowcipnych projektach, które zafunkcjonowały publicznie, środowisko polskich plastusi obdarzyło mnie zbiorowym ostracyzmem. Najpierw mnie to dziwiło i nie chciało mi się w to wierzyć, że to się rzeczywiście dzieje. Nie sądziłem, że niby-inteligentni ludzie są tak ograniczeni i mają taką lekkość wyznawania ideologicznej papki. Trzeba się było na nowo zorganizować. Szybko odkryłem, że znalazłem się w nowej przestrzeni, która już niczym nie jest ograniczona. Uświadomiłem sobie, że teraz mogę sobie zrobić każdy projekt, jaki mi tylko do głowy przyjdzie. A oni nie mogą nawet pomyśleć o takich pomysłach, bo to będzie dla nich my-

ślozbrodnia. Mam wolność, której wcześniej nie dostrzegałem. A oni nie mogą mnie bardziej wykluczyć, bo już nie mają skąd.

Cena tej wolności jest duża?

Na dwoje babka wróżyła. „Gazeta Wyborcza” pisze o mnie źle, by mnie piętnować. Ktoś to przeczyta i u mnie nie zamawia plakatu, bo się obawia reakcji środowiskowej. Pewne zlecenia się pokończyły, ale się pojawiły nowe

i całkiem sporo jest tych atrakcyjnych. Bo się okazuje, że tylko ja mogę im sprostać – jak twierdzą ci, którzy te prace zamawiają. Nowa przestrzeń jest, ale trzeba ją sobie wywalczyć. Ona jest dla odważnych ludzi. Kiedy chodzi o sztukę plakatu, momentami czuję się jak mjr Henryk Dobrzański w filmie „Hubal” Bohdana Poręby. Jest taka scena, kiedy major, którego gra Ryszard Filipiak, dowiaduje się, że tylko jeszcze jego oddział walczy prze-

ciwko Niemcom. I mówi: „Panowie, w całej Polsce tylko my”.

W tzw. środowisku jest mocna presja na pewne tematy, które są wręcz wyklęte. I Smoleńsk jest chyba takim tematem, którego nie wolno dotykać, bo z jakiegokolwiek strony się go poruszy, to uderza się w lidera opozycji. Przewodnicząca jury lubelskiego biennale dostała tak wiele telefonów i mejli z tego środowiska, że poczuła się tą reakcją zaszczytana. Była doprowadzona do rozpacz, parę razy płakała. Zajął jej w oczy ten sam ostracyzm, którego smak poznałem. Ja się nie po dałem. Wprost przeciwnie. Mnie to na nowo zbudowało. Ale ona uległa.

Nie ma pan dosyć? Nie czuje pokusy, by też ulec?

Nie mam charakteru osoby, która się godzi na mentalne kompromisy. Jestem po prostu sobą. To lewackie środowisko ma pewien ograniczony sposób patrzenia na rzeczywistość, a mój jest szerszy, bo niczym nie-ograniczony. Najpierw jestem sobą, a potem artystą. I proszę mi żadnego kagańca nie nakładać, bo to jest niemożliwe. We mnie to działa wręcz przeciwnie: jeśli coś jest zakazane albo zakazywane, to mnie jeszcze bardziej interesuje. Bo to jest elitarne.

Według tego środowiska fellatio na figurze Jana Pawła II w spektaklu Olivera Frłjcia jest czymś w porządku. Z kolei prowokacja na plakacie już nie!

To jest hipokryzja. Jeśli im coś nie odpowiada, robią absolutnie wszystko, żeby to ocenzurować. Nie lubię, jak ktoś mówi o mnie „artysta prawicowy”. To lewacka terminologia. Ja jestem sobą i artystą niezależnym. Nigdy nie dopuściłem się tego, żeby cenzurować albo ograniczać innych artystów, nawet jeśli robią złą sztukę albo kogoś obrażają. To, co robią inni, to ich odpowiedzialność i oni muszą uzasadnić swoją sztukę przed publicznością. Ja biorę odpowiedzialność za swoją, a oni niech robią swoje prowokacje na swoją odpowiedzialność. Sztuka jest dobra albo zła. I nie sfiksowani artyści o tym decydują, ale zwykli ludzie, dla których się to robi!



Fot. Andrzej Wiktor



Zwiad bojem, czyli pierwsza faza kontruderzenia

Nie możemy spodziewać się szybkich postępów ukraińskiej ofensywy, nie będzie ona przebiegała w stylu hollywoodzkim. Bo jak powiedział Michael Kofman, ekspert głównego think tanku amerykańskiej marynarki wojennej, ta ofensywa potrwa kilka tygodni, może nawet około dwóch miesięcy

Roman Switan, ukraiński ekspert wojenny, napisał w portalu NV, że obecnie trwają operacje sondowania i siły ukraińskie wyrównują front, by Rosjanie nie byli w stanie – kiedy ruszy główna ofensywa – wejść na flanki atakujących. Jak napisał: „Mamy trzy fronty. Na każdym z nich istnieje co najmniej siedem rzeczywistych kierunków, w których można atakować. A który z tych siedmiu Załóżny wybierze i w jakim momencie – to jest tylko jemu znane i to jest bardzo dobrze, że rosyjscy generałowie łamią sobie głowę, szukając odpowiedzi na to pytanie”.



MAREK BUDZISZ

Inni analitycy zwracają uwagę na fakt, że intensywne walki trwają obecnie właściwie wyłącznie w rejonie miejscowości Welyka Nowosilka, przy granicy obwodów donieckiego i zaporoskiego, co oznacza, że linia starcia wynosi maksymalnie 90 km, co stanowi 1/10 długości frontu wojny rosyjsko-ukraińskiej.

Aleksander Kowalenko, ekspert grupy Wotjennoje Soprotiwienie, jest zdania, że obecną fazę ukraińskiego kontruderzenia można określić mianem rozpoznania bojem. Dlatego że obecnie działają małe, mobilne grupy ukraińskich sił zbrojnych, których głównym zadaniem

jest zmuszenie Rosjan do ujawnienia stanowisk artyleryjskich i ruszenie odwodów. Jak mówi, „artyleria ma amunicję polową. Ale kiedy zaczyna się jej aktywne użycie, to wówczas ten zasób zużywany jest bardzo szybko. Wówczas trzeba ją dowieść. Zaczyna działać logistyka, zaczynają działać składy amunicji. W ten sposób odsłaniają się te magazyny z amunicją, które wcześniej były nam nieznane. Podobnie jak pozycje artyleryjskie, które były utrzymywane w tajemnicy”. I obecnie jesteśmy w tej fazie działań, o czym świadczą choćby informacje na temat celów intensywnie atakowanych przez stronę ukraińską.

ROSYJSKA LINIA MAGINOTA

Za linią frontu działają też siły specjalne. W pierwszych dniach kontruderzenia udało się wysadzić obydwie linie kolejowe, przy wykorzystaniu których zaopatrzenie docierało na Krym. Rosyjskie pociągi wyleciały w powietrze ostatnio także w Melitopolu. Jewgienij Prigożyn, właściciel Grupy Wagnera, ostro krytykując rosyjskie dowództwo, zapytany o to, co się dzieje na froncie, powiedział, że Ukraińcy zaczęli ofensywę, którą w jego opinii prowadzą bardzo rozsądnie i w sposób zorganizowany. Julia Mendel, była rzeczniczka prasowa prezydenta Zelenskigo, podała informację, potwierdzoną przez Walerego Szerszenia z sił ukraińskiego frontu taurydzkiego, która może świadczyć, że uderzenie powoli, ale się posuwa, co w konsekwencji stawia dowództwo niektórych rosyjskich oddziałów w trudnej sytuacji.

Pisałem już o tym w ubiegłym tygodniu w tygodniku „Sieci”, że wysadzenie tamy na Dnieprze w Nowej Kachowce miało przede wszystkim na celu skrócenie frontu, uniemożliwienie siłom ukraińskim przeprowadzenie ataku na Chersońszczyznę, na południowym brzegu rzeki. Teraz mamy do czynienia z analogiczną sytuacją w obwodzie donieckim, gdzie Rosjanie, po to by opóźnić postępy kontruderzenia, wysadzili zaporę na rzece Jał. Skala powodzi jest znacznie mniejsza, ale panika po stronie Moskali chyba porównywalna.

Nie możemy spodziewać się szybkich postępów ofensywy, nie będzie ona przebiegała w stylu hollywoodzkim, bo – jak powiedział w podcaście specjalistycznego portalu wojskowego „War on the Rocks” Michael Kofman, ekspert głównego think tanku amerykańskiej marynarki wojennej – ta ofensywa potrwa kilka tygodni, może nawet około dwóch miesięcy.

Powód jest oczywisty. Jak napisali w specjalnym raporcie eksperci CSIS – amerykańskiego think tanku strategicznego – Rosjanie zbudowali najdłuższe od II wojny światowej linie umocnień polowych, których celem jest spowolnienie, a może nawet zatrzymanie ukraińskiego uderzenia. System ten składa się z rozległej sieci okopów, pól minowych, zarówno min przeciwpiechotnych, jak i przeciw pojazdom, drutu kolczastego, nasypów ziemnych i smoczych zębów – ściętych piramid ze zbrojonego betonu, które mają utrudniać poruszanie się czołgom i piechocie zmechanizowanej.

Najsilniej – bo specjaliści wojskowi doliczyli się ponad 1,5 tys. rozmaitych systemów fortyfikacji, Rosjanie umocnili Zaporozże – czyli tam, gdzie spodziewają się ukraińskiego uderzenia, którego celem miałyby być rozcięcie sił rosyjskich na dwie części i po dojściu do Morza Azowskiego izolowanie Krymu. Na Zaporozżu zbudowali oni trzy linie umocnień na głęboko-

ści do 50 km od obecnego frontu. Dodatkowo najważniejsze miejscowości o znaczeniu strategicznym, takie jak ważne węzły komunikacyjne Tokmak czy Mychajliwka mają własne systemy umocnień. Ich celem jest – po pierwsze – spowolnienie ukraińskiego marszu, a po drugie, dzięki systemowi pól minowych jego skanalizowanie, czyli zmuszenie strony ukraińskiej do przemieszczania się w długich kolumnach, które będzie można łatwo atakować. Rosyjscy sztabowcy chcą odwrócić rolę, które obserwowaliśmy wiosną ub.r. pod Kijowem.

STRATEGIA UKRAINY

Zdaniem ukraińskich komentatorów plan gen. Żaluznego jest czytelny. Chodzi nie tylko o to, by rosyjskie plany się nie powiodły, lecz także o powtórzenie sytuacji z jesieni ub.r., kiedy Rosjanie wycofywali swoje siły, jeśli zachodziło ryzyko ich okrążenia. Zamknięcie przez stronę ukraińską kotła, w którym znalazłyby się większe siły Moskali, równałoby się kolosalnej porażce wizerunkowej, bo z pewnością światowe media wielokrotnie pokazywałyby nagrania przedstawiające poddających się żołnierzy „drugiej armii świata”. Trudno byłoby w takiej sytuacji uniknąć analogii z kotłem debalcewskim, którego zamknięcie przez Rosjan zmusiło prezydenta Poroszenkę do podpisania niewygodnych dla Kijowa porozumień w Mińsku w 2015 r. Dlatego zawsze do tej pory rosyjscy dowódcy, jak zauważa Roman Switan, nawet jeśli znajdowali się w półokrążeniu, to nie ryzykowali i dawali rozkaz wycofania się.

REKLAMA



"Ślubuję Ci miłość.
Radiowy kurs małżeński"

Paweł Zuchniewicz
środa, godz. 22.05

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

Żeby zrozumieć, co planuje gen. Syrski, dowodzący ukraińskimi siłami lądowymi, trzeba odwołać się do teorii operacji zaczepnych. Ogólnie wszystkim kojarzą się one z szybkim przemieszczaniem się po przełamaniu linii obrony nacierających sił. Ale zanim ta faza następuje, mamy do czynienia z typową walką na wyniszczenie potencjału przeciwnika. Chodzi o to, by zmusić go do zaangażowania odwodów, co osłabi linie obrony. Źródłem sukcesu jest to, czyje siły będą się szybciej „ścierać”, jak to mówią wojskowi. Jak na razie wydaje się, że to Rosjanie mają większy problem. Jednak jak stwierdził w rozmowie z „Financial Times” Roman Kuzan, ukraiński analityk wojskowy, „to jest jak rozpoczęta właśnie partia szachów. Przejmując inicjatywę, kažemy im zgadywać, gdzie użyjemy naszych najlepszych jednostek. Próbujeśmy wyczerpać ich rezerwy i uderzyć w inne miejsce. Ale ta gra będzie długa, potrwa miesiące”.

Petr Pavel, prezydent Republiki Czeskiej i generał armii, powiedział, że „to jest dopiero początek. Uważam, że prawdziwej kontrofensywy nie widzieliśmy. Nastąpi w przyszłości. To, co widzimy teraz, można nazwać kształtowaniem teatru przyszłych działań”. Podobnego zdania jest gen. Ben Hodges, były dowódca amerykańskich sił lądowych w Europie. Jego zdaniem strona ukraińska nie rozpoczęła jeszcze nawet niezbędnej koncentracji, by przeprowadzić skuteczne przełamanie. Napisał on w opinii dla think tanku strategicznego CEPA, że operacje uderzeniowe o skali, jaka jest niezbędna na rosyjsko-ukraińskim froncie, przeprowadza się siłami co najmniej trzech brygad pancernych i zmechanizowanych. Każda z ukraińskich brygad wchodzących w skład sformowanej niedawno gwardii przełamania ma co najmniej 250 pojazdów, w tym ok. 100 czołgów. „Kiedy zobaczymy dwie lub trzy z tych brygad (ok. 500–750 pojazdów opancerzonych) koncentrujących się na wąskim froncie, to wówczas będziemy mogli powiedzieć, że główny atak prawdopodobnie się rozpoczął i gdzie to nastąpi – napisał Hodges. – Ale nawet wtedy bądźmy ostrożni. Ukraiński Sztab Generalny będzie chciał jak najdłużej trzymać Rosjan w niepewności co do lokalizacji głównego ataku i nie będzie się zbyt przejmował tym, że Twitter się pomylił”. Konrad Muzyka, na którego opinie powołuje się Reuters, jest zdania, że siły ukraińskie zaangażowały do tej pory 3 z 13 brygad sformowanych na potrzeby obecnej ofensywy, co oznacza, że jeszcze nie mamy do czynienia z jej kulminacją.

Z pewnością strona ukraińska w obecnej fazie walk będzie chciała zmusić rosyjskie dowództwo do popełnienia błędów, a także sprawdzić, na ile profesjonalnie są zbudowane rosyjskie umocnienia. Już po pierwszych kilku dniach pojawiły się informacje, że linie smoczych zębów, betonowych blocków ciągnących się kilometrami, na które Moskale wydali 10 mld rubli, nie są – a powinny być – trwale związane z gruntem. Powoduje to, że zamiast przeszkody nie do przejścia dla czołgów i pojazdów opancerzonych są zawalidrogą, która relatywnie łatwo ominąć lub po prostu odsunąć. Ukraińcy liczą też zapewne na typowy dla

Rosjan zamordyzm i łut szczęścia. Jeśli chodzi o to pierwsze zjawisko, to rosyjscy korespondenci wojenni z wściekłością donieśli już o znacznych stratach – od 100 do 200 żołnierzy i kilkadziesiąt sztuk sprzętu w okolicy Kremlowej na froncie ługańskim.

O innym zdarzeniu, tym razem w okolicach Marjinki na froncie donieckim, również donieśli rosyjscy korespondenci. Tam stronie ukraińskiej miało się udać uderzenie rakietowe w rosyjski punkt dowodzenia, w którym – jak się uważa na podstawie niepotwierdzonych informacji – miał znajdować się Adam Delimchanow, prawa ręka Kadyrowa, który jest też rosyjskim senatorem. Kiedy piszę te słowa, jeszcze nie jest znany jego los, ale już pojawiły się doniesienia, że czeczeński przywódca wydał dowództwu batalionu Achmat rozkaz natychmiastowego opuszczenia pozycji

frontowych, po to by szukać zaginionego współpracownika. Takich zdarzeń może być więcej, bo stała presja strony ukraińskiej będzie zmuszała rosyjskich dowódców do szybkiego podejmowania decyzji, a wówczas o wiele łatwiej popełnić błędy.

POLITYCZNA WYGRANA

Ukraińska ofensywa ma też oczywisty wymiar polityczny. O jej rozpoczęciu, jak się mówi w Kijowie, miał zdecydować osobiście prezydent Zełenski, mimo że gen. Żaluzny chciał jeszcze poczekać. Ale kalendarz działań na froncie musi być podporządkowany rytmowi polityki, zwłaszcza temu, co się dzieje po stronie sojuszników Ukrainy. Nie ulega wątpliwości, że przed szczytem NATO, który rozpocznie się w Wilnie za trzy tygodnie, wśród państw członkowskich żywo jest dyskutowana kwestia gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy ze strony państw NATO. Hanna Malar, ukraińska wiceminister obrony, powiedziała, że jej ojczyzna nie przetrwa bez nich. Co oznacza, iż być może właśnie teraz przesądza się zarówno kwestia zakończenia wojny, jak i trwałości przyszłego pokoju.

Ale jest też druga strona tego medalu. Otóż jak zauważył Ołeksij Reznikow, kierujący resortem obrony, obecnie Ukraina spełnia już rolę wschodniej flanki NATO, powstrzymując rosyjską inwazję i osłabiając potencjał Moskali. Teraz, jak oświadczył, „cały kraj oczekuje jasności, jak i kiedy staniemy się pełnoprawnym członkiem”. Wydaje się, że rozpoczęta ofensywa, której efektów nikt dzisiaj nie może ocenić, ma przede wszystkim służyć temu celowi. Jeśli strona ukraińska przełamie rosyjskie linie i odniesie kolejny sukces, to udowodni w ten sposób partnerom z NATO, że jest wiarygodnym i potrzebnym sojusznikiem. Jeśli zaś Rosjanie okażą się trudniejszym przeciwnikiem i postępy będą mniejsze od oczekiwanych, to tym bardziej państwa paktu północnoatlantyckiego staną wobec kwestii umocnienia obrony wschodniej flanki, co bez udziału Ukrainy będzie zadaniem znacznie trudniejszym. Można nawet w związku z tym zaryzykować pogląd, że rozpoczynając ofensywę, Ukraina politycznie już wygrała, nawet jeśli nie uda się jej zwyciężyć w polu bitwy.

Można nawet w związku z tym zaryzykować pogląd, że rozpoczynając ofensywę, Ukraina politycznie już wygrała, nawet jeśli nie uda się jej zwyciężyć w polu bitwy

Przyroda na wojnie

Wysadzenie przez Rosjan tamy w Nowej Kachowce i zalanie olbrzymich połaci Ukrainy jest ze względu na swoją skalę bezprecedensowym zdarzeniem o skutkach katastrofalnych dla przyrody i ludzi

Dniepr, na którym znajduje się wysadzona zaporą, łączy trzy kraje. Źródłiska rzeki znajdują się na zalesionym torfowisku mszystym, położonym na wysokości 253 m n.p.m. w obwodzie smoleńskim w Rosji. Płynąc następnie przez Białoruś i Ukrainę, uchodzi limanem, czyli wąską zatoką będącą zatopioną doliną rzeczną, do Morza Czarnego.

Dniepr jest jedną z trzech największych rzek naszego kontynentu. Większe od niego są Wołga i Dunaj. Ural, chociaż dłuższy, niesie od Dniepru czterokrotnie mniej wody.

Przyrównajmy Dniepr do Wisły. Wisła ma długość 1047 km, przepływa przy ujściu to 1046 m³ wody na sekundę, powierzchnię zlewni 194 424 km².



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dniepr jest długi na 2201 km, przy ujściu niesie 1670 m³ wody na sekundę, a powierzchnia jego zlewni to aż 504 000 km².

Analizując wysadzenie tamy w Nowej Kachowce, trzeba wziąć pod uwagę nie tylko parametry samej rzeki, lecz także zbiornika powstałego na skutek jej przegrodzenia. To przenosi sprawę w zupełnie inną skalę.

WIĘKSZE OD WIELKICH JEZIOR

Przegradzanie Dniepru rozpoczęto w ZSRS jeszcze w latach 30. XX w. Prace kontynuowano po wojnie – zaporę w Nowej Kachowce powstawała w latach 1950–1956. Skutkiem tych gigantycznych działań było stworzenie wielkich zbiorników i totalne, niekorzystne przekształcenie rzeki.

Dla zobrazowania skali konsekwencji wysadzenia zapory można porównać Zbiornik Kachowski z największym polskim jeziorem – ze Śniardwami. Pojemność Śniardw to 6,6 km³, Zbiornik Kachowski, który zalał Ukrainę, był prawie trzy razy większy i mieścił 18,1 km³ wody.

W rzeczywistości w momencie wysadzenia tamy wody było znacznie,

znacznie więcej. Olbrzymi zbiornik był nie tyle napelniony, ile katastrofalnie przepełniony. Jeżeli ktoś chciałby wybrać najdogodniejszy moment na wyrządzenie szkód, nie mógłby lepiej trafić albo lepiej tego przygotować. Tego roku bowiem nie spuszczano wiosennych wezbrań, doprowadzając tuż przed wysadzeniem wodę do takiego poziomu, że nie mieściła się w zbiorniku, zalewając tereny położone w górze rzeki i przelewając się górami przez 30-metrową tamę. Tyle wody w zbiorniku nie było od trzech dekad.

Wielkie, zawsze źle kończące się operacje na środowisku naturalnym nie od dziś są rosyjską specjalnością, nie pierwszy raz też dotyczyły tego zbiornika. W listopadzie ub.r. Rosjanie dla odmiany spuścili niemal całą wodę, zagrożając setkami tysięcy hektarów pól uprawnych suszą, a ludziom brakiem wody pitnej. Stanowiło to też zagrożenie dla chłodzenia reaktorów Zaporoskiej Elektrowni Jądrowej, największej elektrowni w Europie. Konieczność dopełniania zbiornika z zapór położonych powyżej spowodowała podobne problemy w górze rzeki. Niedawne wysadzenie tamy nie jest więc jednorazowym wydarzeniem, ale kulminacją działań prowadzonych przez Rosję od początku wojny.

EKOSYSTEM I ŚRODOWISKO

Wpływ wysadzenia zapory na Dnieprze trzeba rozpatrywać wieloaspektowo. Obszar zalany wodą to szacunkowo ok. 600 km², w większości na lewym, niższym brzegu. Nagłe zalanie przez rzekę to zupełnie coś innego niż okresowe, naturalne wezbrania.

Po pierwsze, wody z opróżnionego Zbiornika Kachowskiego sięgnęły znacznie dalej, niż mogłyby sięgać wiosenne przybory – pamiętając, że zjawisko takie na pętanym od niemal 100 lat zaporami Dnieprze już dawno przestało występować w skali naturalnej dla rzeki tych rozmiarów. Innymi słowy, przyroda zapomniała, że w pobliżu jest wielka rzeka i straciła dostosowania pomagające przetrwać zalewanie. Wody pokryły więc siedliska i ekosystemy zupełnie nieprzystosowane do zalania, zabijając na nich znaczną część fauny i flory. To, co nie zginie w powodzi, zostanie przykryte na-



Chersoń zalany zanieczyszczoną wodą



mulę. Warunki przyrodnicze zmieniają się diametralnie.

Nawet jednak dla miejsc i organizmów z natury związanych z wodą nagłe zalanie jest zabójcze. Natychmiastowe uwolnienie tak wielkich mas wód w jednym momencie zmienia temperaturę wody. Jest to też zjawisko niezwykle gwałtowne. Niszczy koryto rzeki, wymiata je, miazdży naturalne schronienia i zabija nawet ryby, dla których przecież rzeka jest naturalnym środowiskiem życia. Podobny efekt nagłego spuszczenia wody bywał obserwowany niejednokrotnie. Zbyt gwałtowne otwarcie zapory na niedużej rzece Nidzie spowodowało niedawno śmierć tysięcy ryb. Nie wspominając o niezliczonych drobnych stworzeniach, niezbędnych do funkcjonowania ekosystemu rzeki, które zginęły niezauważone. Niezauważone przez ludzi, jednak ich nieobecność odbiła się negatywnie na rzece. Początkowo podejrzewano zatrucie rzeki, przyczyną okazała się jednak nagła fala – fala, której nie można przyrównać do skali tego, co uwolniono ze Zbiornika Kachowskiego.

Wysadzenie tamy spowodowało szkody w środowisku naturalnym, które w pomyślnych warunkach – z zaawansowaną pomocą ludzi i zaangażowaniem wielkich środków – mogłyby zostać naprawione po długim czasie. Odtworzenie populacji niektórych zwierząt, którym woda nie tylko zalała terytorium, lecz także fizycznie pozbawiła je życia, trwałoby we wspomnianych pomyślnych warunkach latami. Wojna jednak trwa i trudno się spodziewać, żeby w obliczu wroga mordującego ludzi dało się podjąć szeroko zakrojone działania na rzecz ochrony przyrody.

W innych przypadkach, dotyczących stanowisk gatunków endemicznych czy lokalnych, gdzie indziej niewystępujących odmian, straty przyrodnicze są nieodwracalne – tego typu unikatowe taksony nie mają skąd powrócić i ponownie zasiedlić odradzającego się terenu.

Przy okazji określenia „odradzający się” należy poczynić pewne spostrzeżenie. W sytuacji wojny nie ma co spodziewać się, że będzie możliwa pomoc przyrodzie. Należy za to spodziewać się dalszych, celowo wywołanych katastrof i ich skutków, czyli pogarszania się sytuacji i drastycznego redukowania naturalnego potencjału przyrody do regeneracji.

PO POWODZI SUSZA

Wielki wylew wód będzie w następnej kolejności wiązać się z suszą. Nagłe, ekstremalnie skrajne zwroty warunków są typowe dla sytuacji, w których ludzie zmienili przyrodę na wielką skalę. Im większa skala zmian, tym drastyczniejsze są zakłócenia, które zawsze – prędzej czy później – wystąpią.

Utrata naturalności Dniepru rozpoczęła się od wspomnianych regulacji i przegród sowieckich, zapoczątkowanych niemal 100 lat temu. Przyroda na rozległym obszarze musiała dostosować się do tego, że wielka rzeka nie jest już naturalna. Takie dostosowania zawsze są okupowane stratami. To był pierwszy cios dla naddnieprzańskiej przyrody. I każdy kolejny powoduje nie tylko straty, np. wymieranie gatunków, lecz także stopniowo zmniejsza odporność środowiska.

Następnie przyroda została uzależniona od sztucznego systemu nawadniania. Zarówno ta dzika, jak i kontrolowana przez człowieka, czyli w pierwszej kolejności uprawy rolne.

Teraz, po wysadzeniu tamy, opróżnieniu zbiornika i katastrofalnym, dewastującym zalaniu, sztuczny system nawadniania został zaburzony – o ile nie zniszczony. Więcej nawet. Zbiornik Kachowski nawadniał wielkie tereny. M.in. Kanałem Północnokrymskim dostarczał wodę na Krym i w inne rejony, w których znajdują się wymagające wody uprawy rolne. Niektóre bardzo wymagające: na tych terenach zlokalizowane są m.in. rozległe ukraińskie uprawy ryżu. Żeby zapewnić wodę, której zabrakło w zbiorniku, i częściowo uratować rolnictwo, będzie trzeba ją zabrać z innych terenów.

Sytuację środowiska przyrodniczego na tym terenie można przyrównać do człowieka, który mając odpowiedni zawód i pracując w korzystnych dla siebie warunkach, był w stanie utrzymać się, a także miał wystarczającą ilość czasu, by rozwijać się w innych kierunkach, tworzyć itp. (to etap, na którym Dniepr był rzeką naturalną). Następnie człowiek ten zostaje pozbawiony możliwości pracy, a warunki, w których żyje, są niekorzystne (to etap uregulowania rzeki). Żeby utrzymać go przy życiu,

przydziela mu się zapomogę, wystarczającą na vegetację, niepozwalającą jednak nawet myśleć o tym, żeby rozwijać się i przyczyniać do powstawania nowych wartości (to etap uzależnienia od sztucznych dostaw wody). Jeszcze jeden krok to odebranie zapomogi człowiekowi, który bez niej nie potrafi już żyć (wysadzenie tamy). Jeżeli tego nie wystarczy, dochodzi kolejny krok, czyli dodatkowe pogorszenie wszystkich jego warunków życia (czyli etap zabierania wody na pilniejsze potrzeby). Czy człowiek uzależniony od pomocy, następnie jej pozbawiony i do tego zeprchnięty w gorsze warunki może przetrwać? Czy może przetrwać przyroda w miejscu, gdzie tak bardzo stara się ją zniszczyć? Zapewne tak krytyczny moment jeszcze nie nadszedł, ale nie wiemy, ile dzieli nas od katastrofy na dużo większą skalę.

Punkt graniczny, z którego bardzo trudno zawrócić, zawsze istnieje i niejednokrotnie mieliśmy okazję się o tym przekonać. Kilkadziesiąt lat temu w Górach Izerskich rozsypał się las. Zaczęło się jeszcze w czasach zaburzeń, kiedy w górach wycinano lasy bukowe-jodłowe właściwe dla niższych położań górskich i zastępowano je monokulturami świerkowymi, często sadząc drzewa z nizin, w ogóle nieprzystosowane do warunków górskich. Po wojnie rejon ten należał do jednych z najsilniej zanieczyszczonych rejonów Europy. Słaby, nienaturalny las zaczął słabnąć jeszcze bardziej. Pojawiły się owady i grzyby atakujące drzewa. W normalnym ekosystemie leśnym są jego naturalnym składnikami. W osłabionym i pozbawionym mechanizmów obronnych (np. owadożernych ptaków, nietoperzy, mrówek) atakują na masową skalę. Wszystkie te czynniki zaczęły nakręcać się wzajemnie – dlatego zagłada lasu w Górach Izerskich została nazwana spiralną chorobą lasu. Im bardziej zanieczyszczenia uszkadzały drzewa, tym mniejsze miały możliwości obrony przed owadami i grzybami, a im bardziej atakowały je owady i grzyby, tym bardziej były podatne na zanieczyszczenia.

W końcu las rozpadł się i została pustka. Dziś, po kilkudziesięciu latach, Góry Izerskie wielkim wysiłkiem zostały zalesione, wciąż jednak nie

wyglądają jak kompletny ekosystem leśny i wciąż jeszcze nim nie są. Nie zapominajmy, że odbudowa lasu była prowadzona w warunkach pokojowych, a nie w obliczu wojny, kiedy przyroda z konieczności schodzi na dalszy plan.

CO JESZCZE?

Sama woda – dziesięciolecia zaburzeń, potem jej nagły nadmiar, a później brak – to nie wszystko. Powódź nie działa selektywnie. Wymywa wszystko, co jest po drodze w zalanych miastach, wsiach, na wysypiskach śmieci, w zakładach przemysłowych itp. Pomyślmy, do jakich katastrof ekologicznych dochodzi w bogatych państwach, mimo że miały czas i pieniądze, żeby się przygotować. Ukrainie nikt tego czasu nie dał ani nie pozwolił, żeby naprawiła błędy ZSRS. Woda uderzyła więc w miejsca, które i bez tego zapewne były zagrożeniem dla środowiska.

Możliwości rozprzestrzenienia się zasięgu katastrofy są duże. Z wodami Dniepru zanieczyszczenia docierają do Morza Czarnego. I bez tego – a także bez wojny, która cały czas dokłada swoje (tonące jednostki, amunicja, niebezpieczne substancje – a wszystko to na masową skalę) – morze jest bardzo obciążone zanieczyszczeniami zbierającymi się od lat. Na razie ratuje je jego duża głębokość – średnio to 1315 m, maksymalna to 2258 m. Dla porównania średnia głębokość Bałtyku to zaledwie 52 m, a maksymalna to tylko 459 m. Głębokość może jednak w końcu nie wystarczyć, zwłaszcza że Morze Czarne jest zbiornikiem w dużym stopniu zamkniętym, o powolnej wymianie wody.

Kolejne konsekwencje wysadzenia zapory mogą dotyczyć Zaporoskiej Elektrowni Jądrowej, która była chłodzona przez wody dostarczane z właśnie opróżnionego zbiornika.

Teoria Ryana-Pitmana mówi, że tereny wokół notabene Morza Czarnego zostały zalane na skutek naturalnej katastrofy ok. 5600 r. p.n.e. Według tej teorii konsekwencje tego zjawiska, utożsamianego przez niektórych z biblijnym potopem, pozostawily trwałe, na zawsze odcisnięty ślad w zbiorowej pamięci ludzkości. Jaki ślad na naszej planecie i w naszej pamięci pozostawia działania rosyjskie?



DEMITOLOGIZACJA, CZYLI MISTYFIKACJA

Bronisław Wildstein

o książce Cezarego Łazarewicza

Przez media przetoczyła się kampania promocyjna książki Cezarego Łazarewicza „Na Szezwskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa”. Służy ona również promocji tezy jej autora, że śmierć tytułowego bohatera była efektem nieszczęśliwego wypadku



Stanisław Pyjas i Bronisław Wildstein

Próbą obrony tej PRL-owskiej interpretacji była podejmowana w III RP wielokrotnie. Nigdy jednak nie miała za sobą tak rozbudowanych uzasadnień, których wydaje się dostarczać książka Łazarewicza. Nigdy także nie miała tak zmasowanego poparcia środowisk opiniotwórczych III RP. Jak często w tym systemie w tego typu kampaniach siłę argumentów zastępuje argument siły, czyli powtarzanie i potwierdzanie tego samego, co tworzy pozór nieodpartych dowodów, które w rzeczywistości są arbitralnymi deklaracjami.

Książka Łazarewicza to sporo ponad 400 stron, dużo wypowiedzi i relacji, które sprawiają wrażenie solidnej dokumentacji. Trzeba dokładnego czytania i znajomości tamtych czasów, by odsłonić brak uzasadnienia mocno sformułowanych tez. I temu – siłą rzeczy bardzo skrótowno – ma służyć niniejszy tekst.

W swoich publicznych wypowiedziach Łazarewicz posuwa się znacznie dalej niż w książce. Np. w rozmowie w „Kulturze Liberalnej” deklaruje: „Wiemy na pewno, że Pyjas nie został



BRONISŁAW WILDSTEIN

pobity, a przyczyną śmierci był upadek z wysokości. Te rzeczy są bezdyskusyjne”. Ma to stwierdzać m.in. prokuratura IPN.

Wszystko to jest nieprawdą.

TROCHĘ HISTORII

Stanisław Pyjas został znaleziony martwy w Krakowie w bramie na ul. Szewskiej 7, 7 maja 1977 r. Miał 23 lata, był studentem piątego (ostatniego) roku polonistyki i drugiego roku filozofii, a także jednym z liderów studenckiej opozycji w Krakowie. Było to środowisko osaczane, inwigilowane i zastraszane przez komunistyczną Służbę Bezpieczeństwa. Nie długo przed śmiercią Pyjasa jego bliscy znajomi i on sam

otrzymali anonimy szkalujące go i nawiązujące do rozprawy z nim jako agentem SB. Uznali, że zgodnie z ówczesną strategią potraktują poważnie PRL-owskie pozory państwa prawa i przekażą prokuraturze anonimy, w których znajdowały się karalne groźby. W III RP okazało się to, co było dla nas oczywiste od początku – że anonimy te pisali esbecy.

Bezpośrednio po śmierci Pyjasa w krakowskich gazetach na (nieoficjalne, oczywiście) żądanie SB ukazała się notatka, że Stanisław P., w którego krwi znajdowało się 2,6 promila alkoholu, spadł ze schodów i zmarł na miejscu. Było to zaskakujące, gdyż nie została wykonana żadna oficjalna ekspertyza ani nie zostało zakończone śledztwo. Można nawet powiedzieć, że nie zostało ono rozpoczęte.

W dniu śmierci Pyjasa z moją narzeczoną i nieżyjącym już przyjacielem Jackiem Nowackiem udaliśmy się do prosektorium, gdzie podałem się za brata Pyjasa i dałem łapówkę pracownikowi. Nie wiedział on jeszcze o kontekście sprawy i pozwolił nam obejrzeć

zwłoki przyjaciela. Jego twarz nosiła ślady ciężkiego pobicia.

Pogrzeb Pyjasa w jego rodzinnych Gilowicach był manifestacją siły SB, której funkcjonariusze w dużej liczbie usiłowali straszyć uczestników, sztychowali z nich, filmowali i fotografowali.

Grupa zaangażowanych w opozycję przyjaciół Pyjasa, wspieranych przez działaczy Komitetu Obrony Robotników, który powstał dziewięć miesięcy wcześniej i z którym współpracowaliśmy już od jakiegoś czasu, zorganizowała bojkot juwenaliów i serię manifestacji. Ogłosiliśmy powstanie Studenckiego Komitetu Solidarności, który miał działać na rzecz powołania niezależnej, apolitycznej organizacji studenckiej, a także stanowić ośrodek obywatelskiego zaangażowania studentów. Kolejne SKS powstały w innych większych miastach akademickich. W Krakowie, a także np. we Wrocławiu stały się one najważniejszymi ośrodkami przedsierpniowej opozycji, a w 1980 r. organizowały Solidarność i NZS.

Śmierć Pyjasa już we wrześniu 1977 r. została uznana za wypadek na podstawie ekspertyzy zespołu kierowanego przez prof. Zdzisława Marka. Jednak nawet ówczesne badania wykazały, że ciało zabitego nie mogło leżeć tam, gdzie zostało znalezione, gdyby spadł ze schodów. Przyjęto więc karkołomną interpretację, że przewrócił się na równym gruncie, jego obrażenia pochodzą od uderzenia twarzą o nierówności posadzki, a śmierć nastąpiła na skutek uduszenia się krwią.

To, że sprawa nie do końca została zamknięta po myśli SB i odrzucono wersję upadku ze schodów, zawdzięczamy mecenasowi Andrzejowi Rozmarynowiczowi, jednemu z bardziej znanych wówczas adwokatów Krakowa, prawnikowi kurii. Na prośbę przyjaciół Pyjasa, skierowaną do krakowskiego Kościoła, Rozmarynowicz zaproponował swoje usługi rodzinie i podjął się roli jej rzecznika. Protestował przeciw ówczesnemu orzeczeniu prokuratury i zamknięciu sprawy.

W skutek presji przyjaciół Pyjasa pytanie o przyczynę jego śmierci zostało na nowo postawione po 1990 r. Nowa

ekspertyza sporządzona w 1991 r. przez profesorów Władysława Nasiłowskiego z Katowic i Andrzeja Jakilińskiego z Lublina uznała, że wszystko wskazuje na to, iż przyczyną śmierci było pobicie, a ciało najprawdopodobniej zostało podrzucone na ul. Szewską.

Ponowne śledztwo w skrajnie nieprzychylnych warunkach podjął prokurator Krzysztof Urbaniak. Choć ogromna większość dokumentów

Według Łazarewicz Stanisław Pyjas nie był nikim ważnym. Ale w meldunkach SB do Warszawy jest on definiowany jako jeden z liderów krakowskiego środowiska opozycyjnego. Jeśli był tak nieważny, to po co inwigilowało go kilku agentów?

została zniszczona i ciągle jeszcze obowiązywały klauzule tajności zarówno wobec pracowników SB, jak i ich agentów, mimo stałej obstrukcji zarówno ze strony starych funkcjonariuszy, jak i nowej władzy udało się mu zrekonstruować przekonującą hipotezę zabójstwa Pyjasa, najprawdopodobniej dokonanego przez SB albo na jej zlecenie. Udało mu się również oskarżyć ważnych pracowników tej instytucji w Krakowie o sprowadzanie śledztwa na fałszywe tory. Dwóch z nich stanęło przed sądem (w pozostałych przypadkach odstąpiono od ich ścigania z powodu wieku) i zostało skazanych prawomocnymi wyrokami na karę w zawieszeniu.

W 2010 r. dokonano ekshumacji zwłok Pyjasa i obok obrażeń zidentyfikowanych wcześniej stwierdzono również złamanie kości szyjki udowej oraz pęknięcie miednicy. Biegli uznali, że to uszkodzenia typowe dla upadku z wy-

sokości. Dlatego znowu przychylił się do wniosku o wypadnięciu z wysokości dwóch i pół piętra klatki schodowej jako o przyczynie śmierci. Z tym że nie przesądzi, czy nie uczestniczyły w tym osoby trzecie, które mogły zepchnąć Pyjasa ze schodów.

W 2021 r. IPN zakończył śledztwo w sprawie śmierci Pyjasa z powodu nie wykrycia sprawców.

Ostatnią ekspertyzę Łazarewicz traktuje jako niekwestionowaną, uznając jednocześnie, że przesądza ona o przypadkowym charakterze zgonu. Pomija wszelkie wątpliwości zgłoszone pod jej adresem choćby przez prok. Urbaniaka. To niestety metoda autora „Na Szewskiej”. Książka służy uzasadnieniu określonej tezy. Wszystko, co ją wspiera, jest ekspozowane i niepoddane żadnej krytycznej analizie, wszystko, co jej przeczy, jest niezauważane albo lekceważone.

CZEGO NIE WYJAŚNIA OSTATNIA EKSPERTYZA

Przede wszystkim ułożenia ciała. Nie mogło ono spaść ze schodów i leżeć w miejscu, w którym zostało znalezione. To 24 maja 1977 r. po wizji lokalnej Marek napisał: „Trzeba wykluczyć, aby upadek denata nastąpił z któregoś z pięter (przez poręcz klatki schodowej) na posadzkę”.

Wyjaśnienie, że po upadku z wysokości ciało odbija się i przemieszcza na inne miejsce, jest niezgodne z prawami fizyki. Inne, któremu hołduje Łazarewicz, że Pyjas spadł, a następnie przeczołgał się na miejsce, gdzie został znaleziony, wyklucza ekspertyza z 1977 r., której nikt nie podważył. Obrażenia głowy Pyjasa dowodzą, że musiał on całkowicie utracić przytomność w momencie ich odniesienia. Ten stan rzeczy powodował, że ewentualni sprawcy musieli uznawać niedające znaku życia ciało za martwe. Przeczy to podnoszonemu wielokrotnie przez Łazarewicza argumentowi, że ci, którzy zmasakrowali Pyjasa, nie pozostawiliby go przecież przy życiu. Teza ta jest w ogóle wątpliwa, gdyż mogliby oni chcieć wyłącznie zastraszyć jego i środowisko, a to, że SB miałyby się

obawiać oskarżenia o pobicie, może formułować wyłącznie człowiek, który nie znał tamtych czasów albo świadomie je mistyfikuje. W tym konkretnym przypadku nie ma to jednak znaczenia, gdyż Pyjas nie dawał oznak życia i ewentualni sprawcy byli przekonani o jego śmierci.

Dodatkowo na w klatce schodowej nie ma śladów krwi, które tego typu przedśmiertne przemieszczenie się Pyjasa musiałoby zostawić.

Notabene Łazarewicz uznaje zgodnie z ekspertyzami z 1977 r., że możliwe jest, iż brak śladów krwi jest spowodowany wsiąknięciem jej w podkoszulek i zarost Pyjasa. Równocześnie za dowód, który przekreśla wersję o podrzuceniu jego ciała do bramy, uznaje... brak śladów krwi na posadzce. Jak widać, te same dowody interpretuje radykalnie odmiennie zależnie od tego, co miałyby być ich efektem.

Eksperci zakładający upadek w klatce schodowej nie potrafia wyjaśnić wielu obrażeń na ciele Pyjasa oraz otarć na jego ubraniu, które nie mogły być efektem upadku. Zakładają więc, że powstały one na skutek zderzeń spadającego ciała ze ścianą i poręczami schodów. Przeczy temu bardzo dokładne badanie zarówno schodów, jak i ściany w 1977 r., które nie doprowadziło do znalezienia śladów takich otarć. Śledczym w 1977 r. bardzo na tym zależało, gdyż takie pozostałości uprawdopodobniałyby wersję wypadku.

Dodatkową przyczyną wątpliwości wobec wersji ekspertów z Wrocławia są znaki na ciele Pyjasa: pod pachą i na ramieniu, które powstały przed jego śmiercią. Nie potrafili ich wyjaśnić. Urbaniak wskazywał, że są charakterystyczne dla obezwładniania i prowadzenia siłą człowieka.

Kluczowym argumentem jest brak odcisków palców Pyjasa w klatce schodowej. Eksperci z Wrocławia zakładają, że upojony do nieprzytomności Pyjas wspina się na wysokość dwa i pół piętra i wylatuje przez barierki. Jest noc. Stroma klatka schodowa jest zupełnie ciemna: zepsuto oświetlenie, inne światło tam nie dochodziło. Każdy trzeźwy człowiek, wchodząc po scho-

dach na Szewskiej, trzymał się poręczy albo ściany. Zgodnie z wersją biegłych nieprzytomnie pijany wbiega, nie dotykając ani ściany, ani poręczy i potem spada, nadal nie dotykając niczego.

Jedną z kluczowych przesłanek wskazującą udział osób trzecich w śmierci Pyjasa jest wytarcie śladów palców na poręczy, ścianie i w całej klatce schodowej. Zostało tam jedynie kilka odcisków zatartych tak, by nie można ich było zidentyfikować, ale nie wystarczająco dokładnie, by zniknęły. Jedyne wyraźne odcisk należy do Mieczysława Czubaka, który mieszkał na Szewskiej 7 i tego dnia

Dodatkową przyczyną wątpliwości wobec wersji ekspertów z Wrocławia są znaki na ciele Pyjasa: pod pachą i na ramieniu, które powstały przed jego śmiercią. Nie potrafili ich wyjaśnić. Urbaniak wskazywał, że są charakterystyczne dla obezwładniania i prowadzenia siłą człowieka

wyszedł bardzo wcześniej. Poprzednie zostały wytarte.

Łazarewicz twierdzi, że nie znaleziono ich dlatego, iż milicja wzięła się niechlujnie do roboty, a kiedy dowiedziała się, że ma działać intensywnie – tego samego dnia, parę godzin później – odciski zostały już zatarte. To niepoważne tłumaczenie jednoznacznie odsłania intencje Łazarewicza. Za wszelką cenę usiłuje on wymyślić wersję, która broniłaby interpretacji nieszczęśliwego wypadku, nawet jeśli przeczy jej zdrowy rozsądek.

Odciski palców nie anihilują się po kilku godzinach. Ktoś musiał je świadomie wytrzeć: większość definitywnie, niektóre częściowo, ale wystarczająco, by uniemożliwić identyfikację.

Człowiek, który spada, zawsze krzyczy – nikt nie słyszał tam krzyku ani uderzenia ciała o posadzkę. A uderzenie musiałoby być głośnie, klatka jest mocno akustyczna, a kilku jej mieszkańców nie spało. Jedna z mieszkańek słyszała o tej właśnie porze, ok. drugiej w nocy, odgłos „jakby osypującego się tynku”, co prokurator Urbaniak zestawiał z dźwiękiem, który mogło wydać ciało położone na posadzce.

Nie wiadomo, dlaczego eksperci z Wrocławia nie wzięli pod uwagę jego wersji, która przekonująco zestawia oraz tłumaczy wszystkie okoliczności.

Urbaniak założył, że sprawcy usiłowali upozorować upadek Pyjasa w sieni kamienicy przy ul. Szewskiej 7 po uprzednim pobiciu go w piwnicy tej posesji. Wchodzi się do niej z podwórka, na które wahadłowe drzwi znajdowały się dwa metry od miejsca znalezienia ciała Pyjasa. W głąb piwnicy prowadziły strome, wysokie, kamienne schody. Upadek z nich mógłby spowodować te same obrażenia, które zdaniem ekspertów z Wrocławia spowodował upadek na klatce schodowej. W piwnicy bardzo głośno pracował generator uniemożliwiający usłyszenie przez osoby postronne dobiegających stamtąd krzyków czy innych dźwięków.

Na rzecz tej hipotezy świadczy relacja dawnej właścicielki kawiarni Kropka, która znajdowała się na Szewskiej 7. Piwnica należała do kobiety. Generator służył mrożeniu lodów. Właścicielka zeznała już w latach 90., że pracownica opowiedziała jej o znalezieniu okularów w tej piwnicy. Właścicielka obawiała się poruszać sprawę. Nie wiemy, czy po prostu bała się SB jak wszyscy w tamtym czasie, czy była straszona. W każdym razie bardzo szybko po śmierci Pyjasa dostała zgodę na przeniesienie swojej działalności gdzie indziej, o co bezskutecznie zabiegała długi czas.

Pyjas potrzebował okularów do pisanie i czytania, a więc swojej podstawowej aktywności. Ponieważ złamały mu się parę dni przed śmiercią, skleił je plastrem i zawsze nosił w kieszonce bluzy jako niezbędną rzecz. Nie zna-

lezione ich przy jego zwłokach. Nad tymi okolicznościami Łazarewicz się nie pochyła.

Nie pochyła się również nad świadectwem Czubaka, który zeznał, że ktoś „bardzo dyskretnie” starał się otworzyć drzwi jego mieszkania ok. godz. 1.50, a więc w czasie, kiedy według opinii biegłych z Wrocławia Pyjas miał już nie żyć, po czym zorientowawszy się, że drzwi są zamknięte na łańcuch, delikatnie je domknął. Wcześniej rano Czubak znalazł obok swoich drzwi chlebak Pyjasa. Jeżeliby pokrzywdzony miał wypaść przez barierkę, dlaczego chlebak leżałby w miejscu od niej oddalonym? Dlaczego ktoś późno w nocy w nieomal idealnej ciemności usiłuje dostać się do mieszkania Czubaka? Ktoś absolutnie trzeźwy, o czym świadczy jego zachowanie. Łazarewicz się tym nie zajmuje, ale pewnie uznalby to za jeden ze zbiegów okoliczności, które w jego wersji przyrastają w trybie geometrycznym. Ich nawarstwieniem się wyjaśnia m.in. śmierć Stanisława Pietraszki.

DRUGA ŚMIERĆ

Ten kolega Pyjasa zeznał, że widział go pod akademikiem Żaczek, w którym obaj mieszkali, ok. 17.30 w dniu jego śmierci. Widział także kogoś, kto wyglądał, jakby śledził Pyjasa. Na podstawie relacji Pietraszki został sporządzony portret pamięciowy owego człowieka.

Dwa miesiące później na zaproszenie świeżo poznanej dziewczyny Pietraszko jedzie nad Zalew Soliński. Nie zastaje jej, nocuje na ławce i wtedy zostaje mu ukradziony dowód osobisty, co zgłasza na milicji. Rozmarynowicz uznawał, że była to metoda identyfikacji Pietraszki. Bezpośrednio potem zostaje on znaleziony martwy w zalewie w czepku i kąpielówkach. Pietraszko nie umiał pływać i miał alergiczny wodostręt. Powodowało to naturalne podejrzenia co do tego, że jego śmierć nie miała charakteru naturalnego i była związana ze śmiercią Pyjasa. Co na to

Łazarewicz? Czytelnicy mogli już odgadnąć. To seria zbiegów okoliczności.

Pierwotnie sądzono, że to Pietraszko ostatni widział Pyjasa. Łazarewicz odnajduje świadków, którzy pili z nim piwo później. Ogłasza, że podważa to znaczenie świadectwa Pietraszki. Dlaczego? Przecież wartość tego zeznania nie polega na czasie, w którym świadek widział Pyjasa, ale na identyfikacji kogoś, kto prawdopodobnie go śledził na kilka godzin przed śmiercią. Łazarewicz wyciąga więc kolejny argument, który ma podobno dezawuować swia-

We wrześniu 1977 r. w knajpie Pod Filarkami agent MO, były bokser Marian Węclewicz, spotyka się z byłym funkcjonariuszem UB Tadeuszem Sową. Ten jest konfidentem SB, ale Węclewicz o tym nie wie. Wpijają po pięćdziesiątce, bo nie mają na więcej. Węclewicz idzie po pieniądze do Jana Knapika, który – jak mówi – jest mu je winien za pobicie Pyjasa. Sowa informuje o tym SB, ale jej naczelnik Jan Bill twierdzi, że była to konfabulacja, a Łazarewicz... naturalnie mu wierzy

dektwo Pietraszki. Na milicję zgłosił się mieszkaniak Żaczka podobny do mężczyzny z portretu pamięciowego, by oświadczyć, że to nie on. Zdaniem Łazarewicza ma to kluczowe znaczenie. Czy fakt, że ktoś podobny do portretu pamięciowego nie jest osobą, o którą chodzi, podważa zeznania, na podsta-

wie których podobizna została sporządzona? Czy portret pamięciowy jest wiarygodny tylko wtedy, gdy do nikogo nie jest podobny? Przecież to nonsens.

Ale podobno Pietraszko naprawdę nie byłby w stanie rozpoznać osoby, którą identyfikował jako śledzącą Pyjasa. Skąd Łazarewicz to wie? Od PRL-owskich prokuratorów. Twierdzą, że te zeznania nie odpowiadają prawdzie.

Pozostają jednak dziwne okoliczności śmierci Pietraszki. Łazarewicz ma na wszystko precyzyjną odpowiedź. Skąd? Od świadka, którego odnalazł po 45 latach.

Wersja, że Pietraszko uległ wypadkowi i sam się utopił, w „Na Szewskiej” jest oparta na jednym świadku, chociaż zwykły czytelnik raczej tego nie zauważy. Świadek objawił się Łazarewiczowi 45 lat po śmierci Pietraszki, deklaruje się jako jego przyjaciel, zna i pamięta wszystkie okoliczności. Tylko o jednym Łazarewicz nie pisze – jak to się dzieje, że przez 45 lat świadek, podobno przyjaciel Pietraszki, milczał i po raz pierwszy o wszystkim mówi jemu, prawie pół wieku później. Przez 45 lat, gdy publicznie były podnoszone wszelkie kontrowersje związane ze śmiercią Pietraszki, nie zabierał głosu. Po czym, kiedy Łazarewicz wydobywa go jak królika z kapelusza, wszystko wie i pamięta.

Mówi np., że Pietraszko zawsze chodził się myć w czepku, żeby chronić włosy. Podobno wszyscy w akademiku o tym wiedzieli. Dlaczego nikt o tym wcześniej nie mówił, kiedy zastanawiano się nad tym, że znaleziono go w czepku? Po przeczytaniu książki Łazarewicza rozmawiałem z osobami, które znały Pietraszkę – nic nie wiedziały o tym jego podobno powszechnie znanym obyczaju. Można założyć, że 45 lat upłynęło i zapomniano, a tylko ten świadek to pamięta, ale dlaczego przez tyle lat nic o tym nie mówił?

Ja byłem – mówi ten świadek, który nie istniał przez 45 lat – w pierwszej ekipie, która weszła do pokoju Pietraszki zapieczetowanego w domu akademickim i od razu znalazłem jego dowód

osobisty. Dowód, który został ukradziony Pietraszce, kiedy ten nocował na ławce nad Soliną. Ukradziono mu wyłącznie dokument. Odkryty przez Łazarewicza świadek twierdzi, że skoro dowód znalazł się w akademiku, to znaczy, że Pietraszko go zapomniał, a ponieważ nie chciało mu się go szukać, poszedł zameldować na milicję o jego zagubieniu. Dla znających PRL brzmi to nieprawdopodobnie. Oszukiwanie milicji było wtedy poważną i ryzykowną sprawą, a Pietraszko nie miał w sobie nic z desperata. Clou znajduje się jednak potem. No bo przecież – mówi ów wszystkowiedzący świadek – jeżeli naprawdę bezpieczeństwa ukradła dowód Pietraszce, to musiałaby włamywać się do zaplombowanego pokoju, żeby go podrzucić. Dzisiejszy czytelnik może potraktować to poważnie, ale ktoś, kto zna PRL... Wynika z tego, że milicja i esbecja były niezależnymi instytucjami, i jeśli MO zaplombowała pokój, to SB musiałaby się do niego włamywać, by coś podrzucić. Nie będę tłumaczył absurdu tej interpretacji. MO we wszystkim musiała słuchać SB. Na jej polecenie dowolną liczbę razy plombowała i odplombowywała pomieszczenie. Najprawdopodobniej zresztą dowód został tam zostawiony w momencie pieczętowania pokoju, po śmierci Pietraszki. Jeśli w ogóle się tam znajdował, a wszystkowiedzący świadek go widział.

Podsumujmy: całą sprawę Pietraszki relacjonuje Łazarewiczowi jeden świadek, który milczał przez 45 lat, mimo że w sferze publicznej wątpliwości na ten temat były bez przerwy eksponowane, a ten zapomina go zapytać: dlaczego mówi o tym dopiero teraz. Jednak jego relację traktuje jako dowód. Jeśli świadek jest dla niego wygodny, pomija wszystkie wątpliwości, broń Panie Boże ich nie draży ani nie zadaje na ten temat niewygodnych pytań. Odwrotnie jest ze świadkami niepotwierdzającymi jego wersję.

PRL JAKO PAŃSTWO PRAWA

Z książki Łazarewicza wynika, że była nim bardziej niż III RP. Zeznania ubeków i ich agentów, prokuratorów i ich biegłych są traktowane przez Łazare-

wicza jako niepodważalne świadectwo. PRL-owscy prokuratorzy pod wodzą Henryka Solgi starali się, jak mogli, by ustalić okoliczności śmierci Pyjasa – twierdzi Łazarewicz. A skoro ich uczciwe śledztwo wykazało, że był to wypadek, trzeba przyjąć to do wiadomości.

Sęk w tym, że każdy, kto wtedy żył, doskonale wiedział, że nie było żadnej niezależnej prokuratury w PRL. Stano-
wiła ona element tego samego układu co SB i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Szczególnie my, obserwując śledztwo w sprawie śmierci Pyjasa. Jeśli

Książka służy uzasadnieniu określonej tezy. Wszystko, co ją wspiera, jest eksponowane i niepoddane żadnej krytycznej analizie, wszystko, co jej przeczy, jest niezauważane albo lekceważone

prokuratorzy chcieli się od nas czegoś dowiedzieć, to z pewnością nie jego realnych okoliczności. Robili wszystko, byśmy potwierdzili, że to był wypadek. Próbowali nas zastraszyć. Wmawiali alkoholizm i narkomanię Pyjasa. Nikt z nas wtedy nie miał do nich żadnego zaufania.

Główny prokurator Solga po śmierci Pyjasa wypytywał mnie głównie o to, z kim się spotykam i o czym rozmawiam. Kiedy odmówiłem odpowiedzi i poprosiłem, by wyjaśnił, jaki związek ze sprawą mają te pytania, podsunął mi zaciśniętą pięść pod nos i wrzasnął: „My się z wami rozprawimy! Z wami wszystkimi się rozprawimy!”

I na podstawie świadectw tych „bezsronnych” prokuratorów Łazarewicz twierdzi, że Pietraszko nie potrafiłby rozpoznać osobnika, którego widział za Pyjasem.

Rozmarynowicz powtarzał, że Pietraszko jest pewny, że może rozpoznać

tego człowieka. Adwokat mówił mi to osobiście wielokrotnie i powtarzał w latach 90. Być może powodowany strachem Pietraszko powiedział prokuratorom co innego. Być może wymusili to na nim. W każdym razie Pietraszko bardzo się bał. Rozmarynowicz miał wyrzuty sumienia, bo był pewien, że wiedza Pietraszki na temat człowieka, który śledził Staszka, spowodowała jego śmierć.

Łazarewicz przyjmuje świadectwa funkcjonariuszy PRL za prawdziwe, a więc wychodzi mu ich wersja. Stwierdza np., że w dzień śmierci Pyjas nie był śledzony. Wyłącznie na podstawie relacji esbeków. Tych samych, którzy w latach 70. zeznawali, że Pyjas w ogóle nie był obiektem zainteresowania SB.

Dokumenty z tamtego czasu zostały dokładnie zniszczone. Zachowało się wyłącznie to, co z powodu biurokratycznej manii komunistycznego systemu, który reproduktował bez końca dokumenty, przechowało się w innych zbiorach związanych z innymi sprawami. Łazarewicz pisze, że na zlecenie centrali SB zaczęła rozpaczliwie szukać danych o tym, co działo się z Pyjasem w dniu jego śmierci, i znalazła jeden dokument: relację agenta, który zobaczył Pyjasa Pod Blachą.

Oczywiście przypadkowo. A może przypadkowo zachowała się ta relacja?

Z kolei w IPN znajduje się inna relacja z inwigilacji Pyjasa niedługo przed jego śmiercią. Agenci opisują precyzyjnie i bez wyjątku wszystkie jego posunięcia, posiłek, który zjada, czas, który spędza w każdym miejscu, nawet na przystanku czekając na tramwaj.

Jeśli inwigilacja Pyjasa niedługo przed śmiercią była tak dokładna, to dlaczego nagle została zdjęta? Zdrowy rozsądek wskazuje, że nic takiego nie nastąpiło i trwała ona cały czas, a ponieważ dokumenty zostały zniszczone, to znalezienie wspomnianego opisu wskazuje jej metodę. Jeśli Pyjas był tak nieważny, to po co jednego dnia, w którym nic specjalnego się nie działo, tak dokładnie był inwigilowany przez kilku agentów?

Do tego, kim był Pyjas dla SB, jeszcze wrócę. Teraz opiszę kolejną śmierć związaną ze sprawą.

EKSPLOZJA PRZYPADKÓW

We wrześniu 1977 r. w knajpie Pod Firlarkami agent MO (milicja „wypożyczała” ich na żądanie SB), były bokser Marian Węclewicz spotyka się z byłym funkcjonariuszem UB Tadeuszem Sową. Ten jest konfidentem SB, ale Węclewicz o tym nie wie. Wypijają po pięćdziesiątce, bo nie mają na więcej. Węclewicz idzie po pieniądze do Jana Knapika, który – jak mówi – jest mu je winien za pobicie Pyjasa. Węclewicz dokładnie opisuje to Sowie, który nie zna Knapika. Ten przyjmuje nieproszonego gościa, poi wódką, a kiedy się ona kończy, wychodzi w towarzystwie gościa, by nabyć kolejną porcję. To, co działo się u Knapika, wiemy z zeznań jego i jego żony. Bezpośrednio po wyjściu Węclewicz spada ze schodów i ginie na miejscu. Sprawa zostaje uznana za wypadek i natychmiastowo umorzona. Jednak Knapikowa w latach 90. zeznaje, że jej mąż bezpośrednio po śmierci Węclewicza wraca do mieszkania i zakazuje jej o spotkaniu opowiadać, po czym ucieka wraz z nią z mieszkania. Ukrywa ją i siebie. Zostaje znaleziony na melinie.

Sowa przekazuje do SB informację o rozmowie z Węclewiczem, ale z tym dokumentem nic dalej się nie dzieje. To zresztą jeden z dowodów matactw SB, na podstawie których jej dwaj funkcjonariusze zostali skazani. Naczelnik SB Jan Bill twierdzi, że to była konfabulacja, a Łazarewicz... naturalnie mu wierzy. Nie docieka, dlaczego zapłacono za nią Sowie 5 tys. zł, co stanowiło ekwiwalent bardzo dobrej miesięcznej pensji.

Do SB zgłasza się podobno zupełnie nie zrównoważony człowiek, którego nikt nie traktuje poważnie, żąda za swoje absurdalne konfabulacje 10 tys. zł, a funkcjonariusze SB... obiecują mu je, z tym że na początku wpłacają połowę.

W informacji Sowa przekazuje prawdziwe dane Knapika, którego nie znał, a dowiedział się o nich od Węclewicza. Knapik był pracownikiem francuskiego konsulatu w Krakowie i dużo wskazuje, że też agentem wywiadu PRL. Papiery na jego temat zostały dokładnie zniszczone. Tymi sprawami Łazarewicz się nie zajmuje. Żeby podważyć relację Sowy, zbiera dane, które

mogłyby uprawdopodobnić jego niestabilność mentalną. Właściwie bezkrytycznie powtarza wersję SB, mimo że nie wygląda ona poważnie.

Argumentem przeciw uczestnictwu Węclewicza w zabójstwie Pyjasa ma być to, że boksował w lżejszych wagach, a więc nie cechował się potężną posturą, a w ogóle był już zniszczony przez alkohol. Tyle że Węclewicz nie mówił, że Pyjasa pobił samotnie.

KIM BYŁ STANISŁAW PYJAS

Według Łazarewicza nikim ważnym. Tym bardziej ma to odbierać uzasadnienie ataku na niego. Łazarewicz wie to z relacji esbeków. Szokujący, choć specyficznie ukryty w książce jest fakt, że opiera się prawie wyłącznie na ich zeznaniach głównie w III RP, a nie bierze pod uwagę dokumentów sporządzonych przez nich i ich agentów w trakcie, kiedy sprawa była rozpatrywana. Odnawia je w książce, by przejść nad nimi do porządku dziennego. Dotyczy to np. meldunku konfidenta Jarosława Reszczyńskiego, który został wprowadzony do naszej grupy, by ją rozpracować na początku 1976 r. W jego raporcie Pyjas jest wymieniony jako jeden z dwóch mózgów grupy. W meldunkach SB do Warszawy jest on definiowany jako jeden z liderów krakowskiego środowiska opozycyjnego. Ale tego Łazarewicz nie bierze pod uwagę, bo pytani przez niego esbecy powiedzieli mu, że Pyjas nie był nikim ważnym. Wywody Łazarewicza wielokrotnie przebiegają w poprzek cytowanych przez niego dokumentów, ale ponieważ tych ostatnich jest dość dużo, zwyczajny, czyli niespecjalnie uważny, czytelnik nie będzie zajmował się wychwytywaniem niekonsekwencji, ale przyjmie, że wnioski autora wypływają z zebranych przez niego świadectw. A tak nie jest.

Pyjas chciał wycofać się z działalności politycznej – stwierdza Łazarewicz. Uważny czytelnik zorientuje się, że na potwierdzenie tej mocno sformułowanej przez autora tezy ma on jedno świadectwo, agenta SB Lesława Maleszki. Zaiste, niezwykle wiarygodna to relacja. Z tym że w książce błyskawicznie zmienia się ona po prostu w fakt. I znowu zwykły czytelnik nie musi za-

uważyć, jak bardzo nikle jest jego uzasadnienie. Nikomu innemu Pyjas tego nie mówił. Również mnie, który byłem wtedy jego najbliższym przyjacielem, zdecydowanie bliższym niż Maleszka. No, ale czytelnik książki będzie miał na ten temat inne zdanie. To, że Pyjas mógł mieć chwile wątpliwości w sens ówczesnego działania jak każdy z nas, to jedna sprawa, ale to, że chciał się wycofać, to już konfabulacja.

O tym, że Łazarewicz nie bierze pod uwagę tego, co sam pisze, zwłaszcza jeśli kłóci się to z relacjami jego najbardziej wiarygodnych świadków, czyli funkcjonariuszy i agentów SB, i jeśli przeczy to hipotezie wypadku, uważny czytelnik jest w stanie wychwycić stosunkowo łatwo. Oto – pisze on – że SB zajęła się naszą grupą jesienią 1976 r., gdy nieco wcześniej opisuje wymierzoną w nas prowokację: wprowadzenie do naszej grupy agenta (Reszczyńskiego), który przedstawia nam możliwość stworzenia i redagowania artystycznego pisma. Działo się to na początku 1976 r. W kwietniu byliśmy przesłuchiwani, a ja pierwszy raz zatrzymany na 48 godzin.

Łazarewicz eksponuje, usiłuje znaleźć albo wymyśla to, co mogłoby minimalizować naszą rolę.

Istotnym elementem demitologizacji śmierci Pyjasa jest powtarzana wielokrotnie przez Łazarewicza konstatacja, że to, co ja, moja narzeczona i Nowaczek wzięliśmy za ślady pobicia, było efektem sekcji, a nasza interpretacja była efektem ignorancji. Ciekawe, że to samo usiłowali nam wmówić PRL-owscy prokuratorzy, ale bardziej publicznie ze względu na obecność Rozmarynowicza stanowisko to nie było podtrzymywane. Co więcej, sam Łazarewicz przytacza w książce wypowiedzi fińskich specjalistów, których Jarmo Jääskeläinen pytał o przyczyny śmierci Pyjasa, pokazując im zdjęcia jego zwłok. Jarmo Jääskeläinen był fińskim dziennikarzem, znany dokumentalistą, który przebywał wtedy w Polsce i w 1977 r. zrobił dokument roku „Śmierć studenta” o Pyjasie. Pisze Łazarewicz: „Jääskeläinen przemycił je [zdjęcia Pyjasa] do Finlandii i pokazał dwóm fińskim medykom sądowym, którzy niezależnie od siebie orzekli, że takie obrażenia nie mogły



powstać przy upadku i jedynym ich wytłumaczeniem jest pobicie. Ich zdaniem chłopaka ktoś trzymał za włosy i uderzał jego głową o ścianę”.

W 1991 r. przeprowadzono nową ekspertyzę, której dokonali bardzo znani specjaliści: profesorowie Nasiłowski i Jakubiński. Uznali oni, że śmierć nastąpiła najprawdopodobniej na skutek pobicia. W takich sprawach nigdy nie formułuje się jednoznacznej odpowiedzi, bo jest ona niemożliwa. Pozostaje stopień prawdopodobieństwa. Wszystko wskazywało, że Pyjas zginął na skutek pobicia.

Czyli według Łazarewicz ja z powodu swojej ignorancji podtrzymywałem wersję, którą niezależnie uznawali za najbardziej prawdopodobną eksperci z dwóch krajów. Z tym że w moim przypadku – co wielokrotnie podkreśla – nie można jej traktować poważnie.

KIM BYLIŚMY

Im bardziej zagłębialiśmy się w „Na Szewskiej”, tym bardziej musimy odnosić wrażenie, że nie tylko Pyjas nie był ważny, ale całe jego środowisko z nim na czele, to w gruncie rzeczy alkoholicy, drugorzędna artystyczna bohema, którą SB zainteresowało się z braku innych zajęć. Jak się stało, że ci nieudacznicy w ówczesnych warunkach byli w stanie współorganizować główny ośrodek opozycyjny w Krakowie, tego Łazarewicz nie tłumaczy.

Kim byliśmy: Staszek, ja, niestety Maleszka, inni z naszej grupy? Owszem, byliśmy naiwni politycznie, co szybko nadrabialiśmy w opozycji, ale zdecydowanie nie byliśmy idiotami, a jako takich przedstawia nas Łazarewicz. Przytaczany przez niego – nie wiem, za kim – „płacz po Baaderze”, to

groteskowy nonsens. Z jego opowieści wynika, że czytaliśmy wyłącznie „Grę w klasy”, no jeszcze Wojaczka, bo był poetą przeklętym.

Może zamiast protestować, przytoczę lektury, które omawialiśmy przez kilka ostatnich miesięcy do śmierci Pyjasa i które jeszcze jestem w stanie wyluskać z pamięci. A więc nie tylko Wojaczek (skądinąd świetny poeta), lecz także Herbert, Eliot, Rilke, Dylan Thomas. Nie tylko Cortázar, lecz także Dostojewski, Kafka, Mann, a z tekstów teoretycznych: Nietzsche, Husserl, Wittgenstein, Eliade, Levi-Strauss, Bachtin, semiotycy z Tartu. Mógłbym wymienić więcej, bo pochłanialiśmy żarłocznie słowo pisane i spieraliśmy się o nie, ale chyba nie ma potrzeby. Rozumiem, że Łazarewicz nie ma do mnie zaufania, ale może to potwierdzić u Maleszki.

Nie zastanawia się nad tym, jak skończony alkoholik taki jak Pyjas studiował dwa fakultety, dostawał nagrody rektorskie i był jednym z najlepszych studentów. Nie zastanawia się, bo jak zawsze znajduje właściwego świadka. Jest nim tym razem Adam Jastrzębski, który rzeczywiście później działał w SKS, ale wcześniej słabo go znaliśmy, a z Pyjasem miał sporadyczne kontakty.

Nie przeszkadza mu to obficie opowiadać o jego degeneracji i alkoholizmie. Dlaczego Łazarewicz eksponuje relacje kogoś, kto tak mało miał do czynienia z Pyjasem i nie zestawia ich z wypowiedziami tych, którzy znali go lepiej? Odpowiedź jest chyba oczywista. Trzeba docenić umiejętność znajdowania świadków, którzy zawsze potwierdzają wcześniej założoną interpretację i dbałość o to, by żadni inni nie zepsuli w ten sposób uzyskanego efektu.

Jastrzębski mówi jeszcze, że nigdy nie wierzył w zabójstwo Pyjasa. Znowu trzeba docenić kunszt Łazarewicza. Nie pyta Jastrzębskiego, dlaczego przez blisko pół wieku nie podzielił się z nami swoimi wątpliwościami.

Przy okazji pozwolę sobie więc również na swoje wątpliwości. Jastrzębski jest przykładem gorączki politycznej, która w naszym kraju trawi dziś wszystko. Zażarty KOD-owiec zaczyna interpretować również przeszłość w duchu obecnej walki. Trzeba uderzyć w „godnościowe podstawy PiS”, a więc zakwestionować powagę walki z komunizmem i jego zło.

Oto przykład. W „Na Szewskiej” Seweryn Blumsztajn wręcz twierdzi, że Jacek Kuroń instrumentalnie wykorzystał śmierć Pyjasa, by stała się ona amunicją w walce z systemem PRL. Dlaczego nie protestował przeciw temu, Blumsztajn nie tłumaczy, a Łazarewicz nie pyta.

Jeśli to, co mówi, miało być prawdą, kolejnym krokiem powinna być demitologizacja Kuronia i w ogóle podważenie jego wizerunku. Instrumentalne wykorzystanie czyjejś śmierci w politycznej grze jest sprawą kompromitującą.

Oczywiście ani Blumsztajn, ani Łazarewicz do tego się nie posuwają. To typowy przykład braku konsekwencji obecnych demitologizatorów. Nie uderza się w swoich idoli. „Gazeta Wyborcza” jest centrum wojny kulturowo-politycznej, jednym z głównych uczestników walki z prawicą rządzącą w Polsce. Jednocześnie cały jej prestiż ma pochodzić z tego, że jej twórcy dzielnie opierali się komunie. Jeśli była ona niespecjalnie opresyjna, a różniła się od opozycji tylko tym, że jej przedstawi-

Zeznania ubeków i ich agentów, prokuratorów i ich biegłych są traktowane przez Łazarewicza jako niepodważalne świadectwo. PRL-owscy prokuratorzy pod wodzą Henryka Sołgi starali się, jak mogli, by ustalić okoliczności śmierci Pyjasa – twierdzi Łazarewicz. A skoro ich uczciwe śledztwo wykazało, że był to wypadek, trzeba przyjąć to do wiadomości

cieli w inny sposób działali na rzecz Polski, to cóż za wielki powód do chwały? Jeśli represje komunistów były mitem, to jaką odwagą było występowanie przeciw nim?

Trzeba powtórzyć raz jeszcze – to nie siła argumentów, to argument siły. Mnogość nawet najbardziej nonsensownych wywodów powoduje, że biedny odbiorca nie orientuje się w ich niespójności i braku fundamentów. Dziś „Wyborcza” sytuuje się na czele walki o przywrócenie przywilejów SB. To zresztą wspólny postulat całej obecnej opozycji, w której nastąpiło zjednoczenie byłych komunistów i antykomu-

nistów. Ale to ci pierwsi narzucili ton. Polityczny interes ponad wszystko.

Kuroń był jednym z liderów KOR, ale nie był jedyny. Jak to się stało, że wszyscy bez oporu pogodzili się z jego manipulacją? Była tam również Aniela Steinsbergowa, znana z uczciwości legenda polskiej palestry o niezwykłym prawniczym doświadczeniu. Ona i inni znani z niezależności dali się tak wodzić za nos Kuroniowi?

To wszystko nieważne. Ważna jest wojna przeciw PiS, a więc demitologizacja, bo przecież swoją historię partia Kaczyńskiego opiera na mitach.

APOLOGIA MARKA

Doskonałym przykładem tego zabiegu ze strony Łazarewicza jest uczynienie z Marka nieskazitelnej postaci. Kim był ten profesor medycyny sądowej? Rozmarynowicz oburzał się na jego postępowanie i uznawał go za współnika esbeków. Tak jak my wszyscy.

Łazarewicz przytacza wypowiedź obecnego szefa ZMS, który rozwodzi się nad kryształową szlachetnością Marka i ostentacyjnie kłamie, twierdząc, że wypowiedź tegoż w audycji dla Radia Kraków została zmontowana. Otóż nie była ona w ogóle montowana, a ma znaczenie kapitalne.

Gdy objąłem stanowisko dyrektora w Polskim Radiu Kraków w 1990 r., zleciłem dwóm dziennikarkom realizację reportażu o sprawie Stanisława Pyjasa. Zgodnie z moją rekomendacją zadzwoniły do Marka, w czasach PRL szefa Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie, który nadal piastował to stanowisko. To na podstawie sporządzonej przez niego oraz innych biegłych ekspertyzy śledczy uznali, że śmierć Pyjasa była nieszczęśliwym wypadkiem – powtarzam. Tymczasem w rozmowie ze wspomnianymi dziennikarkami, nie wiedząc, że jest nagrywany, Marek trzykrotnie powtórzył, że to oczywiście, że ktoś Pyjasowi dał w mordę. W ten sposób jasno wskazał, że Staszek został pobity, równocześnie zaprzeczając w ten sposób informacjom, które



Pogrzeb Stanisława Pyjasa

zostały zawarte w wydanej przez niego ekspertyzie.

Jeśli ktoś, kogo ekspertyzy były podstawą do uznania śmierci Pyjasa za wypadek, nie posiadając żadnych nowych danych – audycja została nagrana, zanim jeszcze wrócono do sprawy, i była pierwszym tego aktem – twierdzi: „To jasne, że ktoś Pyjasowi dał w mordę” i na pytanie reporterki dwukrotnie (!) jeszcze to powtarza, to nie jest to żadna kolokwialna wątpliwość, ale mocne i świadome stanowisko. Jeśli więc Marek był przekonany, że Pyjas został pobity, to musimy spróbować to wyjaśnić. Łazarewicz zamiast tego bez komentarza cytuje kłamliwe dywagacje następcy Marka. W innych przypadkach Łazarewicz obficie interpretuje wypowiedzi,

które mu nie pasują. Wprawdzie gdzie indziej zauważa wypowiedź Marka wyemitowaną w Radiu Kraków, ale nie odwołuje się do niej, gdy świadek kwestionuje fakty. To jego metoda.

18 maja br. na łamach „Wyborczej” ukazał się list dr. Adama Grossa, byłego pracownika CM UJ w Krakowie. Przedstawia on zabójstwo Pyjasa jako nieoparty na żadnych dowodach mit, o czym dobitnie ma świadczyć ekspertyza Marka z 1977 r. Nie wspomina o jego wypowiedzi z 1990 r.

Oto puenta listu: „W tym miejscu chciałem upomnieć się o przywołanie pamięci dobrego imienia i szacunku dla śp. prof. Zdzisława Marka, ówczesnego kierownika Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej, który przez kilka-

dziesiąt lat był publicznie piętnowany i poniżany przez zwolenników tezy o morderstwie. Od początku twierdził bowiem, że było inaczej nie dlatego, że był partyjny i wysługiwał się reżimowi, jak twierdzono, ale po prostu dlatego, że był specjalistą medycyny sądowej”.

Redaktorzy, którzy puszczają to bez komentarza, są świadomi, że mają do czynienia ze skrajnie stronniczą relacją, która deformuje znany również im stan rzeczy. Choćby to, że w zmieniających się okolicznościach w latach 90. Marek wycofywał się ze swojej dawnej wersji, twierdząc, że nie przesądzał niczego, lecz tylko prezentował dane.

Swoją drogą apologia Marka, którą prezentuje obecny szef ZMS w Krakowie czy jego były pracownik, każe



została umorzona, a podstawą do tego była ekspertyza Marka, który wywodził, że ksiądz przeżył atak epilepsji i poparzył się sam. Sprawa wywołała wówczas wielkie oburzenie zarówno niezależnej opinii publicznej, jak i kurii krakowskiej. Marek był pokazywany jako postać wyjątkowo paskudna. Dziś o tym wszystkim zapomniano.

Nieżyjący już Jan Józef Lipski, który stanowi ikonę „Wyborczej”, w 1983 r. opublikował książkę „KOR”, w której przedstawia Marka jako usługowego esbeckiego rzeczoznawcę. Przywołuje nie tylko sprawę zabójstwa Pyjasa, lecz także śmiertelne pobicie w czerwcu 1976 r. w Radomiu Jana Brożyny. Marek robił wszystko, by odciążyć milicjantów, którzy tego dokonali

raz jeszcze zastanowić się nad ciągłością personalno-instytucjonalną między PRL a III RP. Może ona tłumaczyć ostatnią wrocławską ekspertyzę i dziwne zachowanie jej autorów.

Nieżyjący już Jan Józef Lipski, który stanowi ikonę „Wyborczej”, w 1983 r. opublikował książkę „KOR”, w której przedstawia Marka jako usługowego esbeckiego rzeczoznawcę. Przywołuje nie tylko sprawę zabójstwa Pyjasa, lecz także śmiertelne pobicie w czerwcu 1976 r. w Radomiu Jana Brożyny. Marek robił wszystko, by odciążyć milicjantów, którzy tego dokonali.

W 1985 r. został napadnięty i poparzony w swojej piwnicy ważny wówczas dla Solidarności krakowskiej kapłan, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Sprawa

Po emisji reportażu o śmierci Pyjasa wysłałem do „Wyborczej” list z pytaniem, jak można utrzymywać na stanowisku szefa Zakładu Medycyny Sądowej kogoś, kto był współnikiem morderców, tzn. zabójstwo przedstawiał jako wypadek, a tym samym uniemożliwiał pociągnięcie do odpowiedzialności jego sprawców. Udało się mi opublikować list, choć były z tym już poważne kłopoty. Nie sądzę, by miał je dziś z publikacją swojego dr Gross.

W efekcie rektor Akademii Medycznej prof. Andrzej Szczekliki, któremu podlegało ZMS, powołał komisję senacką, która zdjęła Marka ze stanowiska i odsunęła od kontaktów ze studentami. Powodem nie była nawet sprawa Pyjasa czy Isakowicza-

-Zaleskiego, ale interwencja Marka uniemożliwiająca obdukcję studentów pobitych przez ZOMO niedługo przed upadkiem komunizmu. Marek kazal zniszczyć dokumentację, a ofiary przepędził. Łazarewicz naturalnie wbrew świadectwom przychyliła się do wersji Marka, że winny był jego podwładny. W jego sprawie to on okazuje się zawsze instancją ostateczną dla Łazarewicza. Sprawę Isakowicza-Zaleskiego wspomina tak, że żaden czytelnik nie będzie wiedział, o co chodzi. Robi, co może, by obronić dobre imię Marka.

W tym celu ekspozuje sprawę sądową, którą poniekąd zmuszony przez komisję senacką Marek wytoczył mi o pomówienie. I znowu: wprowadzie Łazarewicz wspomina kwestię z mojego listu, w którym definiuję, co rozumiem przez współnictwo, ale w tekście powtarza, że skazał mnie bezstronny sąd za pomówienie Marka o współudział w morderstwie. Sprawę wydaje się pokazywać chyba tylko po to, żeby udokumentować bezpodstawny upór słusznie skazanego. Nie odnotowuje więc, że sąd odmówił wprowadzenia do listy dowodów audycji z wypowiedzią Marka, czyli koronnego argumentu, co jest prawniczym skandalem, nie przytacza wypowiedzi sędziego apelacyjnego, który powiedział:

„Wolno było panu [mnie] tak na temat Marka myśleć, ale nie mówić”.

Łazarewicz odwołuje się do sprawy Grzegorza Przemyka, w której akurat Marek zachował się przyzwoicie. Mało kto jest w pełni integralny, nie znam zresztą dokładnego kontekstu tamtych wydarzeń. W niczym nie kwestionuje to nieakceptowalnego zachowania w przytoczonych przykładach. Łazarewicz napisał dobrą książkę o sprawie Przemyka. Teraz opublikował „Na Szewskiej”.

Poświęcam tyle miejsca Markowi, gdyż podejście do niego pokazuje zarówno metodę Łazarewicza, jak i klimat intelektualny jego środowiska, który doskonale widać po tym, kto przez nie jest nie tylko rehabilitowany, ale wręcz dowartościowany.

BOHATEROWIE KSIĄŻKI
ŁAZAREWICZA

Pisałem już, że Łazarewicz uznaje za wiarygodne służby PRL, a więc i ich relacje. W efekcie jego wnioski muszą być identyczne z tym, co ogłosiła prokuratura w 1977 r. Ale w szminkowaniu PRL posuwa się znacznie dalej. Szczególnym świadectwem tego jest jego stosunek do SB.

Według Łazarewicza w Krakowie były dwie frakcje tych służb. Starzy ubecy po paru klasach podstawówki, którzy pamiętali stalinizm i potrafili tylko wyrwać paznokcie, oraz młodzi inteligenci po Uniwersytecie Jagiellońskim. Czytając książkę, można odnieść wrażenie, że kwestią przypadku było to, czy ktoś zostawał opozycjonistą, czy szedł do SB.

Łazarewicz twardo deklaruje, że nowe pokolenie ubeków wierzło w PRL. W rzeczywistości jego obraz młodych esbeków – tak jak i innych funkcjonariuszy PRL oraz całego tamtego państwa – jest głęboko fałszywy. Nikt wówczas nie wierzył w PRL. Opowieści na ten temat pojawiły się dopiero w III RP. Ci, którzy służyli komunizmowi, tłumaczyli, że jeżeli nie oni, przyszliby gorsi. Nawet wysoko postawieni w aparacie partyjnym usprawiedliwiali się, że jesteśmy skazani na fatalny system, musimy robić, co chce Moskwa, więc chodzi o to, by robić to możliwie łagodnie.

SB była prostą kontynuacją UB i wszyscy, a szczególnie jej funkcjonariusze, o tym pamiętali. Była to organizacja terrorystyczna, która miała zastraszyć Polaków i zmusić ich do uległości. Ci, którzy godzili się na służbę w niej, byli skrajnymi cynikami. Szli tam, bo oferowano lepsze warunki i różne możliwości, których nie mieli zwykli poddani PRL. Ci, którzy zaciągali się do SB, wiedzieli, że działają przeciwko wspólnotce. Wręcz to demonstrowali. Ci, którzy zapisywali się do partii, tłumaczyli, że w inny sposób nie mogliby zrobić nic sensownego. Ale i tak czuli potrzebę usprawiedliwienia. Do esbecji szli najgorsi, którzy niczym się nie przejmowali. Uznawali, że ich interes uzasadnia wszystko, a funkcjonowanie w SB dawało władzę.

Ci młodzi esbecy mówili niekiedy wprost, że chętnie by nas tłukli, ale chwilowo (co podkreślali) jest to zakazane. Zakaz nie był aż tak rygorystyczny, toteż zdarzało się, że potrafili kogoś z nas ciężko pobić. To przecież to samo środowisko, które wyprodukowało zabójców ks. Jerzego Popiełuszki z Grzegorzem Piotrowskim na czele, matematykiem, absolwentem studiów podyplomowych, naszym rówieśnikiem.

Dla przedstawicieli pewnego typu kultury ciekawsi zawsze wydają się

Próba dowartościowania PRL, a jednocześnie umniejszania znaczenia środowiska krakowskich opozycjonistów wręcz bije z książki Łazarewicza. Nawet tak wyjątkowe wydarzenia jak bojkot juwenaliów i manifestacje, które były ewenementem w historii PRL, ogląda on przez szkło pomniejszające

przestępcy niż ich ofiary. Właściwym bohaterem „Na Szewskiej” jest Maleszka. Nie twierdzą, że nie jest to postać interesująca, ale opisy głębszych przyczyn jego agenturalnego wyboru, które Łazarewicz eksponuje, nabierają znamion usprawiedliwienia. Taka metoda pozwala uniewinnić każde zło, które zawsze ma przecież jakąś genezę. W książce najbardziej odrażające donosy Maleszki są pomijane, jego próby niszczenia tych, którzy traktowali go jak przyjaciela ledwie wzmiankowane. Kłamstwa takie, jak np. stwierdzenie Maleszki, że jego spowiedź w „Wyborczej” była w pełni prawdziwa (była inteligentnie i gruntownie zmistyfikowana), o czym Łazarewicz powinien wiedzieć,

są przyjmowane przez niego na wiarę. Jego zaufanie do konfidenta mogłoby wzruszać, gdyby nie konsekwencje, które się z tym wiązały.

W wywiadach, by dowartościować Maleszkę, potrafi powiedzieć rażąco nieprawdę. Cytuję: „On jednocześnie niezwykle skutecznie pomagał walczyć z komunizmem. Był kreatywny po obu stronach barykady. Przecież to on wpadł na pomysł, że najlepiej będzie, kiedy koledzy Pyjasa, którzy dostali anonimów szkalujących go, poszli z nimi do prokuratury. I to on zaniósł tam tę skargę”.

Ani nie był to pomysł Maleszki, ani nie uczęstniczył w dostarczeniu anonimów do prokuratury. Na wszelkie możliwe sposoby usiłował blokować albo chociaż pacyfikować naszą działalność.

Próba dowartościowania PRL, a jednocześnie umniejszania znaczenia środowiska krakowskich opozycjonistów wręcz bije z książki Łazarewicza. Nawet tak wyjątkowe wydarzenia jak bojkot juwenaliów i manifestacje, które były ewenementem w historii PRL, ogląda on przez szkło pomniejszające.

W niedzielę, ostatni dzień juwenaliów, kiedy miały miejsce naprawdę duże demonstracje i zostało ogłoszone powołanie SKS, zabawa mimo wysiłków działaczy SZSP właściwie zamarła. W wersji Łazarewicza wygląda, że raczej nasze demonstracje były mało znaczącym wtargnięciem w juwenaliowy żywioł.

Wieczorem, kiedy z Szewskiej 7 ruszyła manifestacja pod Wawel, na rynku trudno było uświadczyc przebierańców. Z kolei wylot z Szewskiej na rynek zablokowała zwarta grupa esbeków głęboka na jakieś 10, jeśli nie więcej rzędów. Pierwsza grupa manifestantów przedarła się przez ten kordon, ale potem nie było już sposobu, by przejść. Zawróciliśmy więc tłum kłębiący się na Szewskiej i poszliśmy pod Wawel Plantami.

W wersji Łazarewicza to bawiący się studenci zablokowali marsz i dlatego musiał on zmienić swoją trasę. Ten obraz zasadniczo różni się od rzeczywistości.

Jak cała książka.



BIERZ ŻYCIE ZA ROGI

BANK, KTÓRY STAWIA NA INNOWACJE

Zapraszamy do naszych placówek
oraz na pekao.com.pl

Jak przeżyć w dżungli? Spytajcie 13-letnią Lesly

Niezwykła historia czwórki małych dzieci ocalałych z katastrofy awionetki, które przeżyły samotnie 40 dni w dżungli Amazonii, z pewnością zostanie wkrótce opowiedziana filmowym językiem przez którąś z wielkich wytwórni. Znając jednak pokusy filmowców, postawią na obraz kasowy i poprawny politycznie, ale niekoniecznie rzetelnie oparty na faktach

Można obejrzeć kilkadziesiąt reportaży w kolumbijskich mediach i przeczytać setki artykułów o tej dziecięcej odysei, a i tak jedynym słowem, które może wyjaśnić, co zaszło, pozostaje to najkrótsze: cud.

Rankiem feralnego 1 maja 33-letnia Magdalena Mucutuy Valencia wraz z czworgiem dzieci: Lesly (13 lat), So-leiny (9 lat), Tien (4 lata) i Cristin Neriman (właśnie skończyła roczek) wsiada na pokład awionetki Cessna C206, by przebyć dziewiczą dżunglę z Caquetá do San José del Guaviare i dołączyć wkrótce do męża mieszkającego w Bogocie. Pilot zgłosił problemy z silnikiem samolotu na kilka minut przed zniknięciem maszyny z radarów. Władze Kolumbii dość szybko uznały, że nikt nie mógł przeżyć katastrofy. O tym, jak groźnym i niedostępnym żywiołem dla człowieka pozostaje ten odcinek dziczy kolumbijskiej, uświadamia fakt, że choć samolot rozbił się 1 maja, to dopiero po 15 dniach dotarli do wraku pierwsze jednostki sił specjalnych z psami ratownikami. Jakim cudem więc dzieci nie tylko ocalały, lecz także przeżyły 40 dni w najbardziej wilgotnej i ciemnej puszczy na planecie?

PRAWA DŻUNGLI

„Dżungla jest nieprzenikniona. Czasami GPS wariuje i trzeba go uruchomić ponownie, by zorientować się w sytuacji. I tylko tutaj zdarzają się takie kło-



MAŁGORZATA WOŁCZYK

poty z GPS” – informował jeden z ponad setki doświadczonych żołnierzy elitarnego korpusu Kolumbijskich Sił Zbrojnych. Na szczęście od początku poszukiwań funkcjonariuszom pomagali Indianie, którzy intuicyjnie i zmysłami wspomagali bezradne niekiedy siły specjalne w dotarciu do wraku samolotu. Na miejscu odnaleziono szczątki trzech dorosłych osób: matki i dwóch pilotów, których uszkodzenia zwłok sugerowały o śmierci w chwili katastrofy. A jednak widoczne tuż obok wraku prowizoryczne schronienie, porozrzucone przedmioty, nadgryziona marakują stały się dowodem na przeżycie katastrofy przez czworo dzieci. Okazało się więc, że choć rodzina traciła już nadzieję, ślady potwierdzały, że dzieci wciąż mogą żyć. Cała Kolumbia zaczęła śledzić doniesienia medialne z nadzieją na odnalezienie choćby jednego żywego dziecka w puszczy, którą omijają z niechęcią nawet plemiona Indian nomadów.

Jeśli powstanie film oparty na faktach, to z całą pewnością jego bohaterem nie zostaną ludzie z brygad spe-

cialnych, którzy przeczesywali każdy milimetr dżungli w odległości 20 km od wraku, ale prawdziwa heroina tych wydarzeń, czyli 13-letnia Lesly, która wzięła na siebie ciężar bycia matką, ojcem, przewodnikiem, lekarzem, ochroniarzem i dietetykiem.

W czwartym dniu daremnego oczekiwania na pomoc Lesly, widząc, że odór rozkładających się ciał trójki dorosłych stał się trudny do zniesienia i zaczął przyciągać dzikie zwierzęta, zarządziła wyprawę w nieznane. Nie wolno zapominać, że tamtejsza dżungla jest tak gęsta, że przez listowie nie widać nawet nieba. Nie był to jednak obcy świat dla rezolutnej 13-latki.

Ona i trójka rodzeństwa wychowała się w Araracuara, w sercu amazońskiej dżungli, gdzie w latach 30. XX w. prezydent Kolumbii nakazał budowę więzienia dla najgroźniejszych przestępców. Tamtejsze warunki uniemożliwiają jednak wznoszenie budowli, więc postawiono prowizoryczny obóz pod gołym niebem, pośrodku podmokłego i dziewiczego terenu. Ucieczka z niego była właściwie aktem samobójstwa przynajmniej dla kogoś, kto nie wychował się pośród trujących roślin czy dzikich zwierząt.

PRZYWÓDCA I CZUŁA OPIEKUNKA

Lesly dorastała w tym nieprzyjaznym krajobrazie. Umiała nie tylko nawigować w obcym terenie na podstawie



ruchów promieniami słońca przebijających się przez drzewa, lecz także interpretować setki innych sygnałów, które wysyła swoim zaszyfrowanym językiem przyroda: nadłamane gałęzie, tropy zwierząt, zapach owoców i grzybów jadalnych, odgłosy ptaków informujące o zagrożeniu.

Dziewczynka dorastała w kulturze zapomnianej zarówno w Europie, jak i wśród mieszkańców kolumbijskich z Bogoty czy większych miast tamtego rejonu, którzy – nawiasem mówiąc – mają skłonność do traktowania plemion autochtonów w ten sam pogardliwy sposób, w jaki polski establishment traktuje ludzi z Podlasia czy małych wiosek. Dzieci, które rodzą się w kulturze schrystianizowanych Indian, wciąż żyją według tradycyjnych reguł: przywileje i prawa ma dopiero ten, kto spełnia swoje obowiązki i dorasta do wyzwań dorosłości. Starsze dzieci opiekują się młodszymi i pomagają w gospodarstwie domowym, ucząc się

swoich naturalnych ról, przynajmniej dokąd genderowe wynalazki i bezstresowe wychowanie nie przedrze się także do amazońskiej dżungli. Zmartwienia i problemy indiańskich dzieci są wciąż te same co ich pradziadów, nawet jeśli czasem rozładowuje im się smartfon, a tablet zawiesza.

13-latka zachowała się, jakby była rodzicem trójki maluchów i przez 40 dni dbała, by byli cali i zdrowi. To Lesly nosiła na rękach najmłodszą siostrę, a dwójce pozostałych kazała kroczyć cały czas blisko siebie. W tym gęstym widoczność jest zaledwie na 15 m, więc jeśli ktoś z dzieci oddaliłoby się od niej – nie przetrwałoby samotnie. Dbiała o ich ducha i ciało, obiecując szybki koniec udręki, opatrując rany po wypadku i te od ukąszeń zwierząt. Maluchy żywiły się tym, co mogły znaleźć i co ona uznała za zdatne do jedzenia. Udało im się też raz odnaleźć jedną ze skrzyń z owocami zrzuconymi z samolotu przez ratowników

w nadziei, że w ten sposób przedłużą życie rozbitków. W tym czasie ponad 100 żołnierzy kolumbijskich sił specjalnych i 70 Indian prowadziło poszukiwania i napotykało kolejne ślady, dziwiąc się, że dzieci radzą sobie w tych skrajnie okrutnych warunkach nawet dla dorosłego.

STRATEGIE POSZUKIWAŃ

Po wielu dniach do dzieci przyłączył się niespodziewany kompan – Wilson – pies służb ratowniczych, który niestety finalnie przepadł w dżungli. Jak twierdzą dziennikarze, odnalezienie go stało się sprawą honoru dla prezydenta Gustavo Petro. Tym bardziej że za sprawą afery podsłuchowej i oskarżeń o sponsorowanie jego kampanii przez kartele narkotykowe Petro usiłował skierować emocje rodaków wyłącznie na sprawę zaginionych dzieci, a teraz także psa. Mimo zaangażowania najwyższych władz to jednak w opinii

większości Indianie mają największy udział w odnalezieniu dzieci. Odprawiali swoje tajemnicze rytuały, prosząc matkę naturę o pozwolenie na każde wejście w dżunglę. Żołnierze z jednostek specjalnych stosowali się do ich zaleceń, bo autochtoni okazywali się lepszymi tropicielami. A skoro dla nich dżungla była żywą istotą obdarzoną racjonalnością i wolą, to nie śmieli podważać doświadczenia, które okazywało się kluczowe w podążaniu śladem dzieci i interpretowaniu sygnałów w tej nierównej walce z zielonym żywiołem.

Dowódca poszukiwań, Pedro Sánchez, był zdecydowany odnaleźć dzieci żywe lub martwe. Wśród zastosowanej strategii jedna była dość nietypowa: nagrano babcię dzieci Fatimę, a następnie puszczano z helikopterów jej głos przez głośniki. Wiadomość brzmiała: „Tu wasza babcia Fatima. Nie ruszajcie się, bo was szukają. Słuchajcie głosu z mikrofonu, stańcie wyprostowani, by mogli was odnaleźć i przywieźć. Bóg jest z wami, nie bójcie się”.

MATERAC UTKANY Z LIŚCI

Mimo wszystko głód i wycieńczenie sprawiły, że dzieci, słysząc hałas zbliżających się ludzi, pochowały się w zaroślach. Jako pierwsi znaleźli je Indianie z plemienia Jirijiri, a ich oczom ukazały się cztery wynędzniałe od głodu i ran, ale żywe i reagujące dzieci. Czujna Lesly w chwili odnalezienia tuliła dwójkę najmłodszych – roczną Cristin i 4-letniego Tiena. Miały podarte ubrania, przegniłe od wilgoci klapki, w których z trudem stawiały kroki. Na miejscu znaleziono taszczonego z wraku samolotu plastik i materac utkany z liści. Najmłodsza owinięta była w liście bananowca niczym w pokrowiec chroniący ją od deszczu.

Mimo radości dzieci nie miały nawet siły jej okazać. Natychmiast podano im wodę i niezbędne leki, choć oczywiście jak przystało na tubylców, u których wiara miesza się z magią, odprawiono rytuał uzdrowienia za pomocą wody święconej, kadzidła i tytoniu. Według relacji Indianie nieśli dzieci przez dwie

godziny na rękach, po czym oddali je w ręce najbliższej stacjonującej brygady służb. Stamtąd samolotem przetransportowano je do szpitala wojskowego w Bogocie, gdzie do dziś otrzymują niezbędną pomoc medyczną i dochodzą do siebie pod czułym okiem dziadków.

NIESKOŃCZONA UDRĘKA DZIECI

Trzeba wspomnieć też o religijności rodziców zmarłej Magdaleny, którzy nie ustawali w modlitwach, i dodajmy, że do naszego Boga, a nie Pachamamy. Zarówno pani Fatima, jak i jej mąż Narciso Mucutuy to praktykujący katolicy.

W czwartym dniu daremnego oczekiwania na pomoc Lesly, widząc, że odór rozkładających się ciał trójki dorosłych stał się trudny do zniesienia i zaczął przyciągać dzikie zwierzęta, zarządziła trójce rodzeństwa wyprawę w nieznane

Ten ostatni okazał się najbardziej elokwentnym i wiarygodnym świadkiem, który codziennie dementuje też różne fake newsy przekazywane przez wybujałą wyobraźnię dziennikarzy. To on opowiadał szczegółowo o odysei dzieci, ponieważ to on towarzyszył im w szpitalu po udanej akcji ratunkowej.

W pierwszym głosnym wywiadzie przemówił następująco: „Jestem szczęśliwy z powodu odnalezienia wnuków. Muszę przede wszystkim podziękować mojemu Bogu, który jest w niebie, Jezusowi Chrystusowi, aniołom i apostołom”. Porównał też tułaczkę dzieci do 40-dniowego postu Chrystusa na pustyni. Dopiero później skierował podziękowania do Indian, żołnierzy i władz oraz wszystkich zaangażowa-

nych w akcję. To również on złożył już długo wcześniej skargę do opieki społecznej na zięcia – Manuela Ranoque, co komplikuje obecną sytuację dzieci i sprawia, że państwo przejęło kuratelę nad nimi.

Ojciec starszej dwójki dziewczynek już nie żyje, a Ranoque jako ojciec dwójki młodszych (na którego spotkanie leciała kobieta z dziećmi) jest już objęty dochodzeniem za maltretowanie żony i molestowanie Lesly. Pierwszemu oskarżeniu nie zaprzecza, podkreślając, że znęcał się nad żoną głównie werbalnie, podczas gdy odrzuca zupełnie zarzut seksualnego wykorzystania pasierbicy. Ranoque

wyduje się typowym Latynosem, hołdującym tradycyjnemu „machismo”, ale trudno na obecnym etapie zgadnąć, czy nie chodzi też przypadkiem o rodzinną walkę o opiekę nad dziećmi, którą chcą przejąć dziadkowie ze strony matki. Faktem jest, że to właśnie z troski o dwie pasierbice, których śladem mieli podążać terroryści werbujący dzieci do zbrojnej kolumbijskiej marksistowskiej organizacji FARC, Ranoque zarządził wyprowadzkę rodziny z rodzinnego Caquetá do Bogoty. On sam wspomina, że partyzanci FARC dali mu godzinę na zniknięcie i przez to nie mógł się nawet pożegnać z rodziną. Udało mu się uciec do Bogoty, znaleźć pracę i posłać pieniądze na feralny lot awionetką.

Powszechną radość w Kolumbii z odnalezienia żywych dzieci przyćmiewa teraz seria newsów i reportaży o rzekomych czy prawdziwych zbrodniach ojczyma, choć śledztwo wciąż się toczy. Szkoda tylko, że odbija się to kolejnym niezawinionym cierpieniem dzieci, które już okazały sobie ogrom miłości i solidarności. Można bowiem słusznie zadawać pytania, czy Lesly dałaby radę tak walczyć i chronić przyrodną dwójkę maluchów, gdyby traktowanie ojczyma rzeczywiście odbijało się na niej traumatycznym bólem?

Skończyła się jedna udręka dzieci, rozpoczęły się inne... Miejmy nadzieję, że miłość znów pomoże im przetrwać najgorsze chwile.

Wystawa „24.02” na PHotoESPAÑA w Madrycie

2 czerwca w Centrum Kultury Galileo w Madrycie odbył się wernisaż zdjęć Macieja Biedrzyckiego „24.02”, zaprezentowany w ramach międzynarodowego festiwalu fotograficznego PHotoESPAÑA



Fot. Materiały prasowe

„24.02” to nazwa symboliczna. To właśnie 24 lutego 2022 r. ruszyła rosyjska inwazja na Ukrainę, odciskając piętno na życiu milionów jej obywateli. Jak opowiada autor wystawy Maciej Biedrzycki, pierwsze zdjęcia do reportażu powstały już trzy dni po rozpoczęciu konfliktu.

– Wraz z mnożącymi się od 24 lutego przerażającymi relacjami z przebiegu konfliktu pojawiły się apele i informacje w sprawie pilnego organizowania pomocy dla ukraińskich uchodźców, masowo napływających w poszukiwaniu schronienia w Polsce. Podobnie jak tysiące Polaków w jednej chwili załadowaliśmy z żoną samochód najpotrzebniejszymi rzeczami i ruszyliśmy nad polsko-ukraińską granicę – wspomina Maciej Biedrzycki.

Wystawa to fragmenty ludzkich opowieści, poskładane w jedną, spójną całość. Na fotografiach można dostrzec kalejdoskop często skrajnych emocji, jak smutek, strach, niepokój, zmęczenie czy tęsknotę, a także życzliwość, współczucie, miłość i troskę. Prezentowane prace z jednej strony są próbą odzwierciedlenia dramatycznej sytuacji ukraińskich uchodźców, z drugiej – ukazaniem pomocy i ludzkiej solidarności.

Zdjęcia zostały dobrane i ułożone w taki sposób, by widz mógł poczuć choćby namiastkę emocji, które towarzyszyły ukraińskim rodzinom, uciekającym przed rosyjską agresją.

– Wystawa „24.02” opowiada o dramacie, tragedii, bólu, lękach tych, którzy chroniąc się w obcym kraju, zostawiają wszystko na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela, wroga. Ale opowiada też o tym, co jest piękne, szlachetne, wręcz heroiczne, czyli o bezinteresownej pomocy, zdolności do empatii, solidarności międzynarodowej. Zdecydowaliśmy się na konwencję czarno-białych zdjęć, by podkreślić dramat wojennej sytuacji, podtrzymywać pamięć o krwawej wojnie na Ukrainie – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

Polska Fundacja Narodowa – jeden z mecenasów wystawy – od pierwszych dni konfliktu bierze aktywny udział we wsparciu Ukrainy w walce o wolność. Do zadań podejmowanych z udziałem fundacji należą m.in. zakup profesjonalnych zestawów ochrony osobistej, pomoc chorym dzieciom z Ukrainy, w tym ewakuacja małoletnich pacjentów onkologicznych do Polski, transporty darów dla ofiar działań wojennych, zabezpieczenie lokalnych zabytków, stypendia dla ukraińskich pracowników medycznych czy wsparcie logistyczne, udzielane zagranicznym mediom przy dokumentowaniu sytuacji na granicy.

– Jednym z obszarów działalności Polskiej Fundacji Narodowej jest dostarczanie opinii publicznej informacji wolnej od przekłamań. Prezentując wystawę „24.02” w Madrycie podczas jednego z największych wydarzeń fotograficznych, chcieliśmy przypomnieć światu o dramacie, który rozgrywa się za naszą wschodnią granicą, oraz pomocy udzielonej przez Polaków ukraińskim uchodźcom – powiedział kurator wystawy i wiceprezes zarządu PFN Michał Góras.

Wystawa jest dedykowana walczącym bohatersko o wolność Ukrainy i ofiarom tej walki, uchodźcom oraz wszystkim ludziom dobrej woli. Przez jej prezentację Polska Fundacja Narodowa pragnie dać wyraz solidarności z walczącą Ukrainą. Obok PFN w organizację wydarzenia włączyły się także: Ambasada RP w Hiszpanii, Polski Instytut Kultury i Narodowe Centrum Kultury, a po stronie hiszpańskiej Rada Miasta Madrytu oraz Centrum Kultury Galileo. Wystawa będzie czynna do 2 lipca.



Meloni dyktuje Europie prawo azyłowe



JAN ROKITA

To, co już na pierwszy rzut oka uderza w unijnym porozumieniu azyłowym, to wrażenie nieistnienia naszego środkowo-wschodniego regionu Europy z jego interesami i kłopotami migracyjnymi

Projekt porozumienia azyłowego uchwalony 8 czerwca przez Radę Unii Europejskiej jest kompromisem między – z jednej strony – grupą północnych, najbogatszych krajów, nie radzących sobie mimo swojego bogactwa z nadmiarem obcych kulturowo imigrantów z Afryki i Azji. A z drugiej – najbardziej wysuniętymi na południe krajami śródziemnomorskimi, znów narażonymi na drastycznie rosnący napływ Azjatów, Arabów i Murzynów. Symbolicznie można by rzec, że ów projekt unijnej dyrektywy to nic innego jak swoisty traktat, który Niemcy, Szwecja i Niderlandy podpisują z Włochami i Grecją.

Nie dziwota zatem, że *spiritus movens* w doprowadzeniu do decyzji Rady UE były dwie Szwedki: działająca jako unijna prezydencja szefowa tamtejszego MSW Maria Stenergard oraz unijna komisarz ds. wewnętrznych Ylva Johans-

son. A choć formalnie decyzję podjęli w czwartek wieczorem ministrowie spraw wewnętrznych w Luksemburgu, to *de facto* zapadła ona tego dnia, ale kilka godzin wcześniej w rzymskim Palazzo Chigi (siedzibie włoskiego premiera), gdzie osobiście premier Giorgia Meloni dogadała się z odwiedzającym ją kancle-rzem Olafem Scholzem. A prawdę mówiąc, Scholz poszedł na rękę Meloni, zabiegając o to, by Włochy wycofały swoje weto, które leżało na stole w Luksemburgu jeszcze w czwartek w godzinach popołudniowych.

MIĘDZY POŁUDNIEM A PÓŁNOCĄ

Interesy obu stron tego traktatu są jasno zdefiniowane. Szwedzi, Niemcy i Holendrzy chcą od dawna ograniczyć nadmierne swobodne ich zdaniem poruszanie się po Europie nielegalnych imigrantów, któ-

rych kraje graniczne nie powstrzymują dość gorliwie. Ci więc masowo najeżdżają (trudno im się dziwić!) najbogatsze państwa. Scholz skarżył się niedawno nie bez racji, że tysiące przybyszów składających w Niemczech wnioski o azyl nigdy wcześniej nie zostało odnotowanych w żadnym kraju granicznym Unii, a przecież jako „nielegalowie” musieli dostać się do Niemiec drogą lądową. To jasno wskazuje na powszechne lekceważenie przez państwa graniczne ich obowiązków, wynikających z tzw. systemu dublińskiego.

Na to Włosi i Grecy (bo ich głównie dotyczy owa krytyka) odpowiadają, że sami nie radzą sobie z falą imigrantów, a Unia nie okazuje im solidarności. A na domiar złego, że są coraz mocniej sekowani przez proimigranckich obrońców praw człowieka, zwłaszcza w Parlamencie Europejskim, którzy zarzucają im działania niemal zbrodnicze, kiedy

próbują zawracać, odsyłać albo wypływać nielegalnych imigrantów. Południe zatem chce większej swobody w traktowaniu imigrantów, więcej pieniędzy na ich utrzymanie, umów z krajami Afryki i Azji gwarantujących pilnowanie południowego wybrzeża Morza Śródziemnego oraz odbierania imigrantów przez kraje najbogatsze.

To napięcie interesów między unijnym Południem i Północą utrzymuje się nie od dziś. A wszelkie koncepty reformy polityki azylowej dodatkowo komplikował do tej pory pryncypialny sprzeciw Europy Środkowo-Wschodniej wobec całej polityki przyjmowania obcych kulturowo imigrantów.

INTERESY EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

Bo też sama natura problemów migracyjnych naszego regionu jest odrębna, a nasze interesy nie pokrywają się ani z interesami Północy, ani Południa.

Od Północą różni nas to, że nie mamy ani nie chcemy mieć obcych kulturowo imigranckich gett, ani też imigranci wcale nie myślą u nas się osiedlać. Na tym tle w 2015 r. polityka niemiecka poniosła sporą porażkę, bo choć na siłę przeforsowała system obowiązkowej relokacji (przy sprzeciwie Rumunii, Węgier, Czech, Słowacji, ale nie Polski), to system ów w krótkim czasie okazał się fikcją i uległ załamaniu.

Ale nasz region ma też odmienne interesy od Południa. O ile bowiem Włosi i Grecy – choćby nie wiem, jak tego chcieli – nie są w stanie zamknąć swoich granic dla płynących po morzu i masowo tonących uciekinierów, o tyle nasz region, a zwłaszcza Polska, postawił na silną blokadę wschodniej granicy, otwierając się za to na wojennych uciekinierów z Ukrainy. W jakimś sensie ułatwił nam to białoruski tyran, który wpadł na pomysł, by użyć nasyłania imigrantów jako metody na hybrydową wojnę z naszym krajem. Na domiar złego Włosi i Grecy zawsze życzliwie patrzyli na niemieckie pomysły relokacji po całej Europie tych, którzy do nich przyłynęli, a my nie. I zawsze chcieli specjalnych na ten cel funduszy, na które my nie chcielibyśmy płacić.

KOMPROMIS I JEGO WYGRANI

Kompromis luksemburski uwzględnia interesy Południa i Północy, ale nie nasze. Głównymi wygranymi są Włosi, którzy dzięki uporowi i groźbom Meloni dostali w zasadzie wszystko, co chcieli.

Obok normalnej procedury azylowej będą mogli stosować teraz procedurę specjalną wobec tych, którym nie mają ochoty dawać azylu. To znaczy wypływać ich, zamykać w aresztach detencyjnych i wyrzucać nawet do obcych dla nich krajów, w których nie przestrzega się praw człowieka. Zwłaszcza Berlin przez długi czas odrzucał ten ostatni postulat Meloni, nie chcąc rezygnować z humanitarnych zasad, wedle których status imigranta miał być różny od statusu więźnia, a deportacja możliwa tylko do bezpiecznego

Krajom naszego regionu kierujące negocjacjami dwie Szwedki obiecały (zapewne za zgodą Berlina), że nie muszą ani brać imigrantów, ani na razie płacić na nowy „fundusz Meloni”

kraju. Na to ustępstwo Scholz zgodził się dopiero z bólem w czwartek w Rzymie. Także wtedy przystał na żądanie Meloni, żeby Unia wyasygnowała kolejne wielkie pieniądze na swoją śródziemnomorską granicę. Kując żelazo, póki gorące, premier Włoch wymusiła, by zaraz po układzie z Luksemburga szefowa Komisji Europejskiej von der Leyen towarzyszyła jej w wyprawie do Tunisu, gdzie w imieniu Brukseli wspólnie obiecały tamtejszemu reżimowi szybki 1 mld euro w zamian za przyjmowanie „ludzkich transportów” deportowanych z Italii. Trzeba przyznać, że włoska „faszystka”, tak znieprawdzone na europejskich salonach, wykazuje talent w dyplomatycznej walce o włoskie interesy.

Ale i druga strona – Sztokholm, Berlin i Haga – wyglądają na zadowolone. Przede

wszystkim dlatego, że udało im się w ogóle przeforsować projekt nowego prawa azylowego Unii, co przez kilka ostatnich lat wydawało się niepodobieństwem.

Wszyscy w Europie byli świadomi, że tzw. system dubliński jest fikcją, a imigranci krążą po unijnej Europie, jak chcą i gdzie chcą. Teraz nowe reguły mają utrudnić życie imigrantom, wprowadzić unijne limity ich przyjęć, a przede wszystkim zasadniczo zwiększyć szanse na to, że ich procedurą azylową zajmą się kraje graniczne. A do tego szwedzkiej prezydencji udało się powrócić w nowej wersji do systemu relokacji, teraz nazwanego obowiązkową solidarnością. Nikt co prawda nie wraca do skompromitowanego pomysłu z 2015 r., by relokacja była przymusowa. Ale kraje prowadzące politykę antyimigracyjną mają płacić z tego tytułu kontrybucje do funduszu przeznaczonego (znów na żądanie Meloni) na granicę śródziemnomorską. Kontrybucje niewielkie – 20 tys. euro za głowę, w porównaniu z niegdyśszym planem Junckera – 250 tys. euro. I płacone tylko przez tych, którzy nie ponoszą własnych kosztów w ochronie Unii przed napływem „nielegalów”.

Sprytna szwedzka prezydencja potrafiła przekonać do takich łagodnych reguł relokacji całą Europę Środkowo-Wschodnią, która osiem lat temu stała okoniem za wyjątkiem Polski i Węgier.

Krajom naszego regionu kierujące negocjacjami dwie Szwedki obiecały (zapewne za zgodą Berlina), że nie muszą ani brać imigrantów, ani na razie płacić na nowy „fundusz Meloni”. Zaraz po powrocie z Luksemburga do Pragi to właśnie obwieścił bardzo zadowolony czeski wicepremier Vít Rakušan. Wygląda na to, że tego rodzaju nieformalne obietnice złożono tym krajom naszego regionu, które były skłonne wyłamać się z polsko-węgierskiego frontu odmowy. Całkiem możliwe, że obietnice zostaną dotrzymane, choć nie ma takiej pewności. Zrećznie prowadzona szwedzka dyplomacja skutecznie rozbiła blok śródokoeuropejski. Ale na faktyczne wyeliminowanie z gry naszego regionu istotny wpływ miała również bezsiła i brak dyplomatycznej operatywności ze strony Polski.



Polska, a wraz z nią państwa graniczne z unijnej flanki wschodniej miały przy tej okazji trojakiego rodzaju interes. *Primo* – by za poparcie „funduszu Meloni” uzyskać wieloletnie zwolnienie z wpłat na jego rzecz, argumentując to kosztami ochrony wschodniej granicy Unii. Tymczasem zamiast jasnej i wynegocjowanej reguły w Luksemburgu widzieliśmy mechanizm przekupywania poszczególnych krajów nieformalnymi obietnicami. *Secundo* – by wraz ze zwiększaniem funduszy na radzenie sobie z afroazjatyckimi imigrantami proporcjonalnie zwiększyć fundusze na wojennych uchodźców z Ukrainy. Wreszcie *tertio* – i to rzecz zapewne najważniejsza – by w nowym unijnym prawie azylowym zalegalizować wyjątkową praktykę blokady granicy, jeśli wroga dyktatura po drugiej stronie posługuje się imigracją jako namiastką wojny. Z tym kłopotem mają do czynienia zwłaszcza Polska i Litwa wobec reżimu Łukaszenki. A praktyka niewpuszczania potencjalnych azylantów stawia nasz kraj nieustannie pod prężeniem łamania praw człowieka.

STRATEGIA POLSKI

Nic nie wiadomo o tym, by szefostwo PiS albo kierownictwo rządu prowadziło jakieś negocjacje tego typu przed zebraniem luksemburskim. Niestety, można domniemywać, że kanały tego rodzaju rozmów z Berlinem prawdopodobnie dzisiaj nie istnieją. Ale z pewnością zarówno prawicowy rząd Szwecji, jak i zwłaszcza obecny rząd Włoch nie byłyby głuche na polską perswazję. Nie tak dawno szef PiS cieszył się, że „w Rzymie będziemy teraz mieć sojusznika”. A zarówno rządzący

w Rzymie Bracia Włosi, jak i Szwedzcy Demokraci, na których wisi rząd w Sztokholmie – to bratnie partie PiS z prawicowej międzynarodówki EKR. Tymczasem oba te rządy całkowicie zignorowały tym razem istotne polskie czy – szerzej – wschodnioeuropejskie interesy. Warto by wiedzieć, czy liderzy PiS zrobili cokolwiek, by uniknąć w Luksemburgu tego rodzaju sytuacji.

Co więcej, na kluczowe zebranie Rady UE, na którym państwa reprezentowali wicepremierzy od bezpieczeństwa bądź szefowie resortów spraw wewnętrznych, z Warszawy wysłano... urzędnika w randze podsekretarza stanu nadzorującego Urząd ds. Cudzoziemców. Całkiem możliwe, że Bartosz Grodecki, który ma za sobą karierę w MSZ, jest zdolnym dyplomata. Tyle tylko, że nawet gdyby był dyplomata wybitnym, nie miałby szans na wprowadzenie do gry polskich interesów, w sytuacji gdy owa gra toczyła się w trójkącie: szwedzka prezydencja – włoska premier – niemiecki kanclerz. Prawdę mówiąc, nie sposób pojąć, dlaczego na tak ważnym zebraniu Rady UE nie reprezentował nas albo szef MSW Kamiński, albo szef Komitetu ds. Bezpieczeństwa, wicepremier Błaszczak. Praktyka obarczania najtrudniejszymi misjami urzędników i uciekania czołowych polityków przed trudnymi negocjacjami jest w najwyższym stopniu niewłaściwa.

Grodeckiemu w dodatku dano instrukcję, żeby domagał się rzeczy tyleż niemożliwej, co nieuzasadnionej: zdjęcia sprawy z porządku zebrania ministrów i przekazania jej do rozstrzygnięcia w gronie przywódców państw. Z faktu zignorowania tego polskiego żądania propaganda rządowa czyni teraz zarzut, że dla przefer-

sowania nowego prawa azylowego Unia zastosowała znów prawnicze sztuczki. Tym razem to jednak nieprawda. Unijne rozporządzenia są normalnie i w zgodzie z traktatami uchwalane przez Radę UE (czyli zebranie kompetentnych ministrów) oraz Parlament Europejski. I odbywa się to za pomocą mechanizmu tzw. podwójnej większości (czyli bez prawa weta), na co – niestety – Polska zgodziła się swego czasu, akceptując traktat lizboński. Dokładnie tak samo uchwalana była w 2015 r. nieszczęsna dyrektywa o relokacji, gdy przegłosowano Czechy, Słowację, Węgry i Rumunię.

Luksemburski przypadek obnaża jakąś dziwną nieporadność rządu Morawieckiego w rozegraniu sprawy nowej dyrektywy azylowej. Nie daje się tego łatwo zinterpretować, bo polski rząd, jak tylko chciał, wykazywał się ostatnimi czasy całkiem niezłą skutecznością w unijnych negocjacjach. A przecież tym razem kluczowymi współtwórcami unijnych decyzji byli potencjalni przyjaciele PiS z rządzącej prawicy włoskiej i szwedzkiej. Nie sposób zatem wykluczyć hipotezy, iż polski rząd od początku nie był zainteresowany forsowaniem polskiego stanowiska w nowym prawie azylowym, szukając okazji do podniesienia przed wyborami temperatury wokół sporu o afroazjatycką imigrację. Trzeba przyznać, że piętnowanie teraz Unii i Niemców, że znów chcą nas zmusić do brania od nich imigrantów, jest dla propagandy PiS czystą przyjemnością. Tym bardziej gdy wiadomo dobrze, że przymusowej relokacji nie będzie. A prawdopodobnie nikt w Brukseli – ani tym bardziej w Rzymie – nie zażąda od nas nawet rychłych wpłat na „fundusz Meloni”.

IST FILM PRODUCTION

FILM MARIUSZA PILISA



HISTORIA JEDNEJ ZBRODNI

W KINACH OD 9 CZERWCA

SCENARIUSZ I REŻYSERIA: MARIUSZ PILIS ZŁOŻENIA: ANDRZEJ JASKOWSKI, WOJCIECH JACHYMIK, PIOTR ZBOROWSKI, MARIUSZ PILIS DŹWIĘK: MARIUSZ PILIS, ANDRZEJ JASKOWSKI MUZYKA FOTOGRAFIE: WŁODZIMIERZ PLANETA
MONTAŻ: MARGIN DULEMBA GRAFIKA I ANIMACJE: WITOLD WNUK POSTPRODUKCJA DŹWIĘK: WOJCIECH GRUSZCZYŃSKI MUZYKA: PARIS MUSIC, AUDIONETWORK PRODUCENT WYKONAWCZY: IST FILM PRODUCTION

MECENASI FILMU:



FUNDACJA STEFCZYKA

OPIEKUN POLSKIEJ TRADYCJI

eprasa.pl/2932f5eaad

Praworządny jak Reynders

Komisarz ds. sprawiedliwości UE Didier Reynders jest zaniepokojony stanem praworządności w Polsce. Tymczasem jako belgijski minister musiał się mierzyć wielokrotnie z podejrzeniami o korupcję, a nawet z zarzutami, że próbował wpływać na sędziów oraz chciał uchronić kazachskich oligarchów przed wymiarem sprawiedliwości



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Kilkanaście lat temu zastanawiał się, czy nie rzucić polityki. „Chcieli moją głowę. Przeżyłem chwilę wahania, silnego napięcia” – mówił Reynders w 2009 r. w rozmowie z dziennikiem „La Libre Belgique”. Wówczas był ministrem finansów Belgii. A jego głowę chcieli m.in. socjaliści pod wodzą Elio Di Rupo. Reynders się zachwiał, ale wytrzymał presję.

Powodem politycznego polowania na człowieka wywodzącego się z frankofońskiego liberalnego Ruchu Reformatorskiego, który w czasie trwającej od lat 80. XX w. kariery politycznej był wicepremie-

rem, szefem resortów sprawiedliwości, finansów, obronności, a także spraw zagranicznych, było tzw. Fortisgate, czyli skandal związany z likwidacją belgijskiej grupy bankowo-ubezpieczeniowej Fortis, która zbankrutowała w następstwie kryzysu finansowego. Fortis został podzielony przez rządy Holandii, Belgii i Luksemburga, a francuski BNP Paribas kupił belgijskie operacje po tym, jak zastrzyk gotówki w wysokości 11,2 mld euro nie uspokoił inwestorów. Drobnymi akcjonariuszami byli jednak przeciwni sprzedaży i poszli do sądu. Afera wybuchła, gdy pojawiły się oskarżenia, że rząd premiera Yvesa Letermé'a próbował wpłynąć na sąd gospodarczy, który zamroził czasowo proces likwidacji upadłej spółki, oraz na prokuratora Paula Dhaeyera, który miał wydać opinie w tej sprawie, a okazywał zrozumienie dla drobnych akcjonariuszy. Jak twierdził prokurator, kilkakrotnie dzwonił do niego wysłannik premiera, który twierdził, że rząd jest zaniepokojony jego zachowaniem, a później, by uważał, bo „czasami statki toną z tymi, co

znajdują się na pokładzie”. Didier Reynders miał być jednym z ministrów, który miał otrzymywać poufne informacje na temat postępowania sądowego.

Fortisgate doprowadziło do upadku rządu Letermé'a 19 grudnia 2008 r. Po tym była komisja parlamentarna, która odnotowała „problematiczne kontakty między politykami a przedstawicielami sądownictwa”. Do podobnych wniosków doszedł Sąd Najwyższy. Fortis nazywa się dziś Ageas, a sprawa się przedawniła.

OD BRUKSELI DO KINSZASY

Reynders jest od 2019 r. komisarzem UE ds. sprawiedliwości. Z tej pozycji krytykuje m.in. reformę sądownictwa w Polsce. Ostatnio ostrzegł przed planowaną przez rząd PiS komisją ds. badania wpływu rosyjskich. Według niego jest szkodliwa dla interesu publicznego. Tymczasem on sam musiał się mierzyć wielokrotnie z podejrzeniami o korupcję czy konflikt interesów.

Jak twierdzi belgijski dziennikarz śledczy Philippe Engels w swojej książce „Klan Reyndersa” (Le Clan Reynders) za politykiem o najdłuższej karierze w powojennej Belgii ciągnie się cały sznur skandali. Weźmy choćby moment, gdy Reyn- ders miał zostać komisarzem. Belgijskie media ujawniły, że podczas gdy ówczesny minister spraw zagranicznych starał się o stanowisko w Brukseli, był agent służb specjalnych Nicolas Ullens de Schooten poszedł do prokuratury złożyć na niego doniesienie. Jak twierdził de Schooten, który był pracownikiem służb w latach 2007–2018, sumienie mu tak nakazało, ponadto chciał zapobiec, by Reyn- ders uniknął odpowiedzialność karnej. Był to początek afery Kinshasagate wokół bu- dowy ambasady Belgii w Kinszasie, stolicy Demokratycznej Republiki Konga.

Jak pisze Engels w swojej książce, w grudniu 2011 r., w chwili gdy wciąż trwała arabska wiosna, Japonia walczyła ze skut- kami katastrofy w Fukushima, a Belgię trapił kolejny kryzys polityczny, Reyn- ders uznał, że najważniejszą sprawą dla MSZ jest budowa ambasady w Kinszasie. Reyn- ders udali się więc tam w towarzystwie swojej prawej ręki, byłego dyrektora kolei Jeana-Claude’a Fontinoya, nazywanego w belgijskich mediach „macherem” i „czło- wiekiem cienia”. W 2014 r. rusza budowa. Fontinoyowi udało się zdobyć dotąd nie- dostępny grunt w najbardziej prestiżowej lokalizacji. Według de Schootena dzięki procederowi korupcyjnemu, czyli przy- mowaniu łapówek za korzystne rozstrzyga- nie przetargów i przyznawanie kontraktów odpowiednim firmom. W proceder korup- cyjny mieli być zaangażowani handlarze bronią i jeden z kandydatów na prezydenta Demokratycznej Republiki Konga.

Łapówki zostały następnie wyprane przez sprzedaż tanich antyków i dzieł sztuki po wysokich cenach. Proceder, który – jak twierdzi Engels w swojej książce – został wymyślony przez Fon- tinoya i był stosowany także przy okazji prywatyzacji prestiżowych budynków publicznych, gdy Reyn- ders na początku lat 2000. jako minister finansów nadzo- rował mienie państwowe. Reyn- ders uznał wówczas, że centrum administracyjne Brukseli nie ma znaczenia strategicznego. W sprawie ambasady w Kinszasie śledz- two, po tym jak chwilowo nabrało tempa, zostało umorzone.

KAZACHSTAN RZĄDZI

Podobnie było w przypadku tzw. Ka- zakhgate, afery francusko-belgijskiej. A w jej sercu: znów komisarz Reyn- ders. Centralną postacią jest jednak kto inny: belgijsko-kazachski biznesmen Patokh Chodiew, oskarżany o korupcję w związku z umową zawartą w 1996 r. między bel- gijską firmą Tractebel a Kazachstanem. Tractebel zapłacił rządowi kazachskiemu łapówkę w wysokości 30 mln euro, by uzy- skać dostęp do tamtejszych pól gazowych. 55 mln euro popłynęło dodatkowo do kie- szeni miejscowych pośredników. Belgia miała zbudować i zarządzać infrastruk- turą gazową, czerpiąc zysk z tranzytu. Gaz nigdy nie popłynął. Za to Chodiew, właściciel firmy wydobywczej zareje- strowanej w Belgii i miliarder, zaczął mieć problemy z prawem. Podobnie jak dwóch współpracujących z nim kazach- skich biznesmenów.

Kiedy wyglądało na to, że nie unikną wymiaru sprawiedliwości, belgijski par- lament w rekordowym tempie przyjął ustawę, która pozwalała wszystkim oskar- żonym o korupcję i oszustwa finansowe zapłacić grzywnę, zamiast odsiedzieć wyrok. Wywołało to oburzenie w Belgii, bo nie było wątpliwości, że ustawa została napisana dla Chodiewa. Miliardera bronił jako adwokat dwukrotny przewodniczący Senatu Armand De Decker, partyjny kolega Reyn- dersa, który zresztą miał ich z sobą zapoznać – De Deckera i Cho- diewa, tak brzmi w każdym razie zarzut, któremu Reyn- ders oczywiście stanowczo zaprzecza. 10 lat śledztwa, postępowań. Inic. „Trzech kazachskich biznesmenów zmanipulowało dwa państwa założyciel- skie UE – Belgię i Francję – dla swoich osobistych korzyści i nikt nie jest zszoko- wany” – czytamy w „Klanie Reyn- dersa”.

PARTIOKRACJA

Zagorzały miłośnik praworządności i komisarz europejski Reyn- ders ma oczywiście więcej cieni na życiorysie. W 2012 r. odwiedził saudyjskiego księcia Nayefa Al Shaalana, skazanego w 2007 r. przez francuski sąd zaocznie na 10 lat więzienia za handel kokainą i podej- rzanego o powiązania z organizacjami terrorystycznymi w Syrii. A w kwietniu 2017 r. Belgia opowiedziała się za wej-

ściem Arabii Saudyjskiej do Komisji ONZ ds. Statusu Kobiet rzekomo pod presją Reyn- dersa. On przetrwał jednak wszystkie te kontrowersje, podobnie jak aferę związaną z nową siedzibą policji federalnej w Brukseli czy tę wokół fun- duszy libijskich odnalezionych w jed- nym z belgijskich banków. Reyn- ders wydaje się z tefflonu. Ale raczej scena polityczna w Belgii jest mała, zdomi- nowana przez kilka postaci. Premierzy się zmieniają, ministrowie też, jednak są to jakby wciąż ci sami, choćby klan Michelów – Louis był wicepremierem, jego syn Charles premierem, a teraz piastuje stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej.

„Belgia to partiokracja. Tak było przed Reyn- dersem, a teraz jest jeszcze gorzej. Nie ma zasad etycznych, brakuje reguł dotyczących lobbingu, konfliktu intere- sów, co skrytykowała w raporcie z 2020 r. GRECO – Grupa Państw przeciwko Ko- rupcji przy Radzie Europy” – twierdzi En- gels. Według niego Reyn- ders w aferach Fortisgate i Kazakhgate brutalnie narzucił wolę egzekutywy systemowi sprawiedli- wości. W 2016 r. pierwszy przewodniczący Sądu Kasacyjnego Jean de Codd oświad- czył wręcz w telewizji RTBF, że Belgia nie jest państwem prawa, ale państwem bandyckim.

EPILOG

Podobnego zdania jest Michel Claise, sędzia śledczy prowadzący dochodzenie w sprawie afery Katargate w Parlamen- cie Europejskim. W 2020 r. Claise udzielił głośnego wywiadu „La Libre Belgique”, w którym stwierdził, że Belgia jest kra- jem skorumpowanym. A politycy albo nie chcą tego zrozumieć, albo sami są skorumpowani. Trzy lata później Claise nie zmienił zdania. Przeciwnie. Jak po- wiedział w rozmowie z „L’Echo” – dziś jest jeszcze gorzej. Belgia stała się przy- czółkiem przestępczości zorganizowanej, sięgającej w struktury państwa.

Trudno komisarzowi Reyn- dersowi odmówić, że zna się na ograniczaniu lub omijaniu władzy sądowniczej. Skoro jednak sytuacja w Belgii jest tak drama- tyczna, jak twierdzi sędzia Claise, to może Reyn- ders zająłby się nią w pierwszej ko- lejności? Zamiast tropić rzekome łama- nie zasad w Polsce.



Najważniejszy miesiąc ludzkości

Nie ma drugiego takiego środowiska, które żądałoby od społeczeństw takiego hołubienia, jak LGBT+. Niedługo żadna impreza, żadna aktywność nie odbędzie się bez nachalnego, agresywnego promowania tej ideologii w jej nieskończone mnożących się wariantach

**DARIUSZ MATUSZAK**

Argentyński dziennikarz i pisarz Martin Caparrós zjechał cały świat, by w swojej książce „Głód” opisać zjawisko, które jest hańbą ludzkości, ale nie jest jej wyrzutem sumienia. Blisko 800 mln ludzi cierpi na chroniczny głód, a połowa dzieci, która nie dożywa trzech lat, umiera z niedożywienia. W zależności od przyjętej definicji szacuje się, że od 150 mln do 1 mld osób jest bezdomna – żyje na ulicy, w schroniskach, w obozach dla uchodźców, bez możliwości powrotu do własnego domu. Według WHO 15 proc. światowej populacji – 1 mld osób – jest w jakimś stopniu dotknięta

inwalidztwem, z czego 200 mln bardzo ciężkim, takim, że nie są w stanie funkcjonować samodzielnie. 15 mln dzieci utraciło oboje rodziców.

Długo można ciągnąć tę listę nieszczęść ludzkości. Te grupy osób łączą nie tylko dramaty, które je dotknęły, lecz także to, że właściwie pozostają na całkowitym marginesie zainteresowania władców i właścicieli świata. Głodni nie mają swojej flagi. Nikt nie ogłasza miesiąca solidarności i wsparcia dla bezdomnych. Niepełnosprawni mają swój świąteczny dzień – 3 grudnia, o którym niewielu słyszało. Ambasady nie wywieszają żadnych flag, by przypominać o pomocy dzieciom, które nie mają mamy i taty, a jasnie państwo ambasadorowie nie piszą żadnych aroganckich i pocuczających inne państwa listów, by zajęły się szczególnie sierotami, i nie maszerują w żadnych pochodach na ich rzecz. Gdzie tam byle sierotom do kochających i kolorowych ludzi LGBT+.

NAJWAŻNIEJSI LUDZIE ŚWIATA

„Chcemy wyrazić nasze poparcie dla starań o uświadamianie opinii publicznej w kwestii problemów, które dotycząją społeczność gejów, lesbijek, osób biseksualnych, transpłciowych, queer i interplciowych (LGBTQI+) oraz innych mniejszości w Polsce stojących przed podobnymi wyzwaniem” – piszą pod przewodnictwem ambasadora Norwegii w liście otwartym dyplomaci z 36 krajów i jacyś urzędnicy brukselskiej eurokracji, ONZ, OBW, a nawet bankierzy Banku Światowego, bo właśnie trwa najważniejszy miesiąc naszej cywilizacji – Pride Month (Miesiąc Dumy) – 30 dni celebrowania i hołubienia LGBTQI+.

„W tym celu wyrażamy uznanie dla działań organizatorów marszów równości w Białymstoku, Bielsku-Białej...” – i tu leci lista 31 miast, w których odbędą się pochody i imprezy LGBTQI+ i na których się pokażą. Nikt nigdy nie słyszał o ambasadorach pomagających pod granicą przyjmować uchodźców wojennych z Ukrainy, wydających im posiłki, organizujących ze swoją służbą podwózkę ani o tym, by przyjęli kogośkolwiek w swoich rezydencjach. Ale są pierwsi, by gorliwie hołubić LGBTQI+.

Sieroty i głodujący nie mają swojego miesiąca. Ba, pewnie nie mają nawet swojej godziny. W Stanach Zjednoczonych weterani mają w roku swój dzień. Ale jest grupa, która spośród całej ludzkości ma swój cały miesiąc, podczas którego władcy i właściciele świata składają jej hołd, korporacje zmieniają swoje barwy i logo, a postępową, jasnie oświeconą część ludzkości gorliwie, na wyprzedzki zapewnia o swoim wsparciu i uwielbieniu – LGBTQI+ w jego co rusz nowych wariantach, jak LGBTQI+ czy kanadyjska odmiana 2SLGBTQI+, które mają swój czerwiec – miesiąc admiracji, hołdów i podziwu. Wszystko na pamiątkę zamieszek z 28 czerwca 1969 r. pod nielegalną speluną mafii – Stonewall, która była ulubionym miejscem spotkań nowojorskich homoseksualistów.

Ten miesiąc powinien być czasem wstydu, bo pokazuje, jaką władcy i właściciele świata – a właściwie cała nasza zachodnia cywilizacja – ma hierarchię wartości. Co tam jakieś głodne dzieci, to

tęczowi muszą dostać największą dawkę uwagi. To dla nich kapitanowie drużyn piłkarskich zakładają opaski w tężopodobnych barwach, a postępowe i coraz bardziej obskurne miasta świata, jak Warszawa, Waszyngton, Paryż, podświetlają specjalnie swoje budynki i przypominają, że nie wolno prześladować Śmiszka, Biedronia czy Lempart, a nawet Eltona Johna. Na placu przed Rockefeller Center w Nowym Jorku powiewają wysoko na masztach 193 flagi wszystkich państw należących do ONZ zmienione co do jednej na tężopodobne. Oto narody świata zjednoczone jednak w hołdzie. Nikt nigdy nie widział, by kiedyś zawisły tam flagi czy pojawiły się symbole upominające się o najsłabszych i najbardziej skrzywdzonych tego świata. Nasza cywilizacja ma jasną hierarchię wartości. LGBTQI+ i jej nieskończone warianty są ważniejsze oraz zasługują na większą opiekę i uwagę niż głodujący, bezdomni, sieroty, dzieci czy ofiary wojen.

Ta nadzwyczajna atencja wobec LGBTQI+ przejawia się też w mnożących się już w nieskończoność kolejnych świątach, dniach coś tam upamiętniających i wzywających do wspierania czegoś tam. Niedługo zacznie brakować kartek w kalendarzu.

W ostatnim dniu marca najpotężniejszy przywódca świata uroczystie zadekretował: „Ja, Joseph R. Biden jr, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, na mocy uprawnień nadanych mi przez konstytucję i prawo Stanów Zjednoczonych, niniejszym ogłaszam 31 marca 2023 r. Transgender Day of Visibility [Dniem Widoczności/Dostrzegania? Transpłciowców – przyp. red.]. Wzywam wszystkich Amerykanów, by przyłączyli się do nas we wspieraniu życia i uszanowaniu osób transpłciowych w całym naszym narodzie oraz do pracy na rzecz wyeliminowania przemocy i dyskryminacji wobec wszystkich osób transpłciowych, płciowo niepotwierdzonych [chodzi zapewne o osoby, które mniemają, że nie wiadomo, jakiej akurat są płci – przyp. red.] i niebinarnych”.

Uroczysta dekretycja odbyła się ledwie kilka dni po tym, jak transseksualna dziewczyna Audrey Hale, przerabiająca się na chłopaka, zabiła w szkole w Na-

shville sześć osób, w tym troje dziewięcioletnich dzieci. To, jak nikczemnie media próbowały zakłamać historię tej tragedii, będzie kiedyś wykładane na kursach dziennikarskich. Szczyty podłości i manipulacji osiągnęła agencja Reuters, która nie wspomniała o transowych zaburzeniach dziewczyny, ale sugerowała, że do zbrodni mogła pchnąć ją wiara, bo masakry dokonała w chrześcijańskiej szkole, w której kiedyś się uczyła.

NIEUSTAJĄCY KARNAWAŁ I OBCHODY

A teraz rzućmy okiem na bezmiar tego świątecznego bogactwa, którym są obdarzani ludzie spod znaku LGBTQI+ coś tam, coś tam:

- luty – Miesiąc Historii LGBTQI+ AITCQ+,
- od 17 lutego Tydzień Świadomości Spektrum A-romantycznego (nawet nie chce mi się sprawdzać, co to jest),
- marzec – Miesiąc Świadomości Zdrowotnej Biseksualistów,
- 1 marzec – Dzień „Zero Dyskryminacji”,
- 31 marca – Międzynarodowy Dzień Widoczności Transgenderowców,
- 6 kwietnia – Międzynarodowy Dzień Aseksualności,
- 26 kwietnia – Międzynarodowy Dzień Widoczności Lesbijek,
- 8 maja – Międzynarodowy Dzień Widoczności Aseksualnych,
- 17 maja – Międzynarodowy Dzień przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii,
- 22 maja – Dzień Harveya Milka.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tym ostatnim z wymienionych świąt. Milk był pierwszym przyznającym się do homoseksualizmu radnym San Francisco. Zginął w 1978 r., zastrzelony z burmistrzem George'em Mosconem przez innego radnego z Partii Demokratycznej, Dana White'a, który mścił się za zwolnienie go ze stanowiska. Trzech partnerów Milka popełniło samobójstwo, w tym Jack McKinley, który wszedł w relację z nim, mając 16 lat, i uzależnił się od narkotyków. Milk miał na swoim koncie mnóstwo patologicznych relacji, a wspominam

o nim szerzej, bo jest nie tylko bohaterem, lecz wręcz świętym środowiska LGBT+, a Barack Obama, przyznając mu pośmiertnie w 2009 r. najwyższe cywilne odznaczenie USA – Prezydencki Medal Wolności, uczynił go jednocześnie bohaterem całej Ameryki. Potem były jeszcze kolejne uroczystości. W 2014 r. w Białym Domu prezydent Obama zainaugurował działalność Fundacji Harveya Milka, a poczta wyemitowała upamiętniający go znaczek. Oto świat zachodnich wartości. Weterani ze swoimi zasługami i uznaniem mogą czyścić buty homoseksualnemu bohaterowi.

Ale idźmy dalej:

- czerwiec – Miesiąc Dumi środowisk LGBT+,
- 12 czerwca – Dzień Pamięci Pulse (12 czerwca 2016 r. pochodzący z rodziny afgańskich imigrantów zamachowiec otworzył ogień w klubie homoseksualistów na Florydzie i zabił 49 osób),
- 6 lipca – Dzień Widoczności Omniseksualistów,
- 14 lipca – Międzynarodowy Dzień Osób Niebinarnych,
- 16 lipca – Międzynarodowy Dzień Drag Queen,
- 14 sierpnia – Święto Wujka Homoseksualisty,
- 23 września – Dzień Widoczności Osób Biseksualnych,
- 8 października – Międzynarodowy Dzień Lesbijek,
- 11 października – Dzień Coming Outu (ujawniania swojej orientacji seksualnej),
- 20 października – Dzień Zaimków (dokładnie nie wiadomo, o co chodzi. Życie pod tęczopodobnym sztandarem niesie wielkie wyzwania. Nie wystarczy, że jest: ona, on, ono. Tu trzeba rozstrzygnąć, jakich zaimków osobowych się używa, gdy się jest transbinarnym czy przejściowo aseksualnieromantycznym panseksualistą),
- 22 października – Dzień Działania na rzecz Depatologizacji Transplciowości,
- 26 października – Dzień Świadomości Interplciowości,
- 28 października – Tęczowy Piątek,

- 6 listopada – Dzień Rodzicielstwa Osób Transplciowych,
- 15 listopada – rocznica rozpoczęcia akcji Hiacynt (1985),
- 16 listopada – Międzynarodowy Dzień Tolerancji,
- 23 listopada – Dzień Poliamorii,
- 1 grudnia – Światowy Dzień AIDS,
- 15 grudnia – Dzień Świadomości Demiplciowości.

Nic więc dziwnego, że ideologia LGBT+, zwłaszcza wśród młodych, szerzy się jak pożar. Każdy młody chce być hołubiony i żyć w poczuciu włas-

Ta nadzwyczajna atencja wobec LGBT+ przejawia się w mnożących się już w nieskończoność kolejnych świętach, dniach coś tam upamiętniających i wzywających do wspierania czegoś tam. Niedługo zaczną brakować kartek w kalendarzu

nej nadzwyczajności. Pojęcia kobieta, mężczyzna, jakaś tam miłość między nimi są dobre dla starych, zacofanych ludzi, a nie dla młodego pokolenia snow flakes (płatków śniegu), z których każdy jest wyjątkowy, niepowtarzalny. I tak 32 proc. Australijczyków w wieku 15–24 lata identyfikuje się jako osoby LGBTQIQIP2SAA++. Nie ma już chyba nikogo, kto orientuje się w poszczególnych odmiennościach, które kryją się pod kolejnymi literami tego stale ewoluującego skrótu. Kto tam chce, to niech sobie bada, co to znaczy szaroseksualny (greysexual) albo UAAB.

Według badań IPSOS 22 proc. Francuzów poniżej 26. roku życia identyfikuje się jako osoby LGBT+. W Stanach Zjednoczonych są szkoły, w których 25 proc. dzieciaków w wieku 9–13 lat

uważa się za transseksualne, czyli że są innej płci niż w rzeczywistości. To nie żadne naturalne zjawisko sprawiło, że nagle w jakichś miejscach rodzi się więcej dzieci z dysforią płciową, więc i w tamtejszych szkołach pojawia się znacznie większy odsetek takich uczniów niż gdzie indziej. Nie, to efekt wpuszczania do szkół nikczemnych ideologów LGBT+ indoktrynujących dzieci. Podobnie jak działalność ludzi z BBC, którzy wyprodukowali i dopuścili do emisji program dla 9–12-letnich dzieci „Identity – Understanding Sexual and Gender Identities” (Tożsamość – zrozumienie tożsamości seksualnych i płciowych), w którym wmawiano im, że jest 100 płci. Nic więc dziwnego, że z roku na rok przybywa osób z rozchwianą tożsamością, niepotrafiących się z nią pogodzić, niewiedzących, kim są.

Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z festiwalem obłudy albo czystego szaleństwa. Jak inaczej bowiem wytłumaczyć to, że z okazji miesiąca dumy gejowskiej i całego LGBT+ jedna z największych w Ameryce sieci sprzedaży detalicznej – Target – wypuściła koszulki dziecięce z hasłem „Trans ludzie będą zawsze”, „neutralne płciowo” ubranka oraz książki dla dzieci w wielu 2–8 lat „Bye Bye, Binary” – co znaczy, że młode pokolenie na zawsze ma pożegnać się

ze światem, w którym są kobiety i mężczyźni. Nie ma więc żadnych barier wiekowych czy moralnych w promowaniu ideologii LGBT+. Ale w tej historii jest optymistyczna puenta. Po wypuszczeniu tęczopodobnej kolekcji rozpoczął się bojkot konsumencki, który zainicjowała organizacja homoseksualistów Gays Against Groomers, która sprzeciwia się seksualizacji dzieci. W ciągu 10 dni wartość Target spadła o 10 mld dol. Jeszcze bardziej popłynął największy browar świata Anheuser-Busch, który do reklamowania swojego najpopularniejszego piwa wynajął niejakiego Dylana Mulvaneya – niezrównoważonego psychicznie i intelektualnie transa udającego kobietę. W ciągu miesiąca największy producent piwa na świecie stracił na wartości i sprzedaży 27 mld dol.



Enea wspiera zamrożenie cen energii. Blisko 1 mld zł tylko za I kwartał 2023 r.

Zamrożenie cen energii dzięki jasnym zasadom

Kryzys energetyczny zarówno w Polsce, jak i w całym naszym rejonie geopolitycznym, spowodowany m.in. przez wzrost cen surowców, wojnę na Ukrainie czy rosnące koszty zakupu praw do emisji dwutlenku węgla w systemie EU ETS, mocno odczuły poszczególne gospodarki

Gdyby nie odpowiednie reakcje rządów, konsekwencje poniosłyby przede wszystkim gospodarstwa domowe, czyli zwykli ludzie.

W Polsce rząd Zjednoczonej Prawicy, by zapobiec wielu dramatom, stworzył Rządową Tarczę Solidarnościową, która chroni polskie gospodarstwa domowe przed gwałtownymi wzrostami cen za energię elektryczną.

To właśnie dzięki działaniu Rządowej Tarczy Solidarnościowej ok. 8 mln gospodarstw domowych w ogóle nie odczuje wzrostu cen energii elektrycznej. Dlaczego? Otóż została wprowadzona gwarancja stałej ceny przy odpowiednich limitach. Tarcza Solidarnościowa to rządowa pomoc obowiązująca od jesieni 2022 r., która przynosi zamrożenie cen netto energii elektrycznej.

Rozwiązanie to przewiduje zagwarantowanie stałej ceny dla zużycia rocznego na poziomie:

- 2000 kWh dla gospodarstw domowych,
- 2600 kWh dla osób z niepełnosprawnościami,
- 3000 kWh dla rodzin wielodzietnych (z Kartą Dużej Rodziny) i gospodarstw rolnych.

W 2023 r. jedynie nadwyżka będzie obciążona wyższymi kosztami. Według wyliczeń Tarcza pozwala zaoszczędzić na rachunku za energię w tym roku od 2 tys. zł do prawie 3 tys. zł w zależności od gospodarstwa domowego. Właśnie o tyle mniej zapłacą za prąd ci, którzy zmieszczą się w rocznych limitach zużycia.

Jeśli w gospodarstwie domowym mieszka osoba z niepełnosprawnością, a także w przypadku rolników oraz właścicieli Karty Dużej Rodziny, by powiększyć limit zużycia i nadal korzystać z obniżonych cen, konieczne jest złożenie do sprzedawcy energii odpowiedniego oświadczenia. Wnioski można znaleźć na stronach internetowych wszystkich sprzedawców energii.

Ostateczny termin składania takich wniosków mija 30 czerwca.

Żeby w ogóle takie działania rządowe były możliwe, konieczne jest pozyskanie odpowiednich środków. W związku z tym został powołany Fundusz Wyплаты Różnicy Ceny. Fundusz dotyczy wytwórców energii elektrycznej oraz przedsiębiorstw zajmujących się obrotem energią elektryczną. Firmy te przekazują odpis na rachunek Funduszu. Enea tylko za pierwszy kwartał 2023 r. prześle na wsparcie klientów blisko 1 mld zł do Funduszu Wyплаты Różnicy Ceny, z którego jest finansowane zamrożenie cen energii elektrycznej dla odbiorców końcowych.

– Enea jako firma odpowiedzialna społecznie wdrożyła Rządową Tarczę Solidarnościową. Wszystko po to, by nasi klienci w jak najmniejszym stopniu odczuli skutki kryzysu energetycznego. Tylko za pierwszy kwartał 2023 r. Enea prześle na Fundusz Wyплаты Różnicy Ceny, z którego jest finansowane zamrożenie cen energii elektrycznej dla odbiorców końcowych, blisko 1 mld zł – powiedział Paweł Majewski, prezes zarządu Enea SA.

Firma przypomina, że jeszcze inne grupy odbiorców powinny złożyć oświadczenia. To osoby budujące dom, który ma służyć zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych inwestora lub jego osoby najbliższej. Konieczność złożenia oświadczeń dotyczy także działek w rodzinnym ogrodzie działkowym, które mają zamrożone ceny do limitu 250 kWh.

Warto pamiętać, że w przypadku podstawowego limitu zużycia energii do 2000 kWh nie trzeba składać żadnych oświadczeń. Sprzedawca energii sam dokona właściwego rozliczenia zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Enea zachęca także do oszczędzania energii elektrycznej. Jeśli ograniczy się zużycie energii o co najmniej 10 proc. w stosunku do 2022 r., to oprócz oszczędności wynikających właśnie z ograniczenia zużycia otrzyma się także 10-proc. obniżkę rachunku w 2024 r. A to oznacza podwójną zachętę do oszczędności.

GR

Nowe państwo

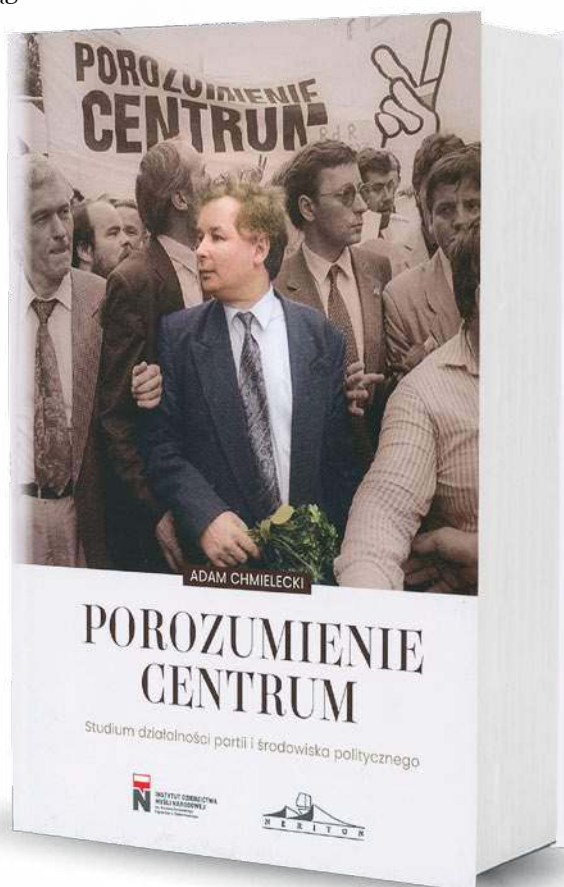
Nakładem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego oraz Wydawnictwa Neriton światło dzienne ujrzała książka dr. Adama Chmieleckiego pt. „Porozumienie Centrum. Studium działalności partii i środowiska politycznego”. Tekst oparty jest na rozprawie doktorskiej autora, wzbogacony przez niego o kilka uzupełnień, m.in. doprowadzających narrację aż do rekonstrukcji rządu Mateusza Morawieckiego w czerwcu 2022 r.

Otrzymujemy zatem całościową analizę ugrupowania tworzącego Porozumienie Centrum, a od 2001 r. Prawo i Sprawiedliwość, przeprowadzoną według metodologii nauk politycznych. Osią wyводу jest środowisko stworzone na początku lat 90. ub.w. przez Jarosława Kaczyńskiego i skupione wokół niego przez następne lata. Środowisko zachowujące ciągłość ideową od ponad 30 lat. Środowisko, które dało Polsce setki polityków, piastujących urzędy burmistrzów i prezydentów miast, posłów i senatorów, wojewodów i ministrów, premierów i prezydentów Rzeczypospolitej. Sam lider środowiska miał inicjujący wpływ na objęcie urzędu przez pięciu premierów (Tadeusz Mazowiecki, Jan Olszewski, Kazimierz Marcinkiewicz, Beata Szydło, Mateusz Morawiecki) oraz trzech prezydentów (Lech Wałęsa, Lech Kaczyński, Andrzej Duda). W krajach anglosaskich takich polityków jak Jarosław Kaczyński określa się mianem: kingmaker.

Porozumienie Centrum wyrosło z niezgody na rzeczywistość narzuconą Polakom przez układ okrągłego stołu. Układ mający swoje uzasadnienie jako element stopniowego i pokojowego demontażu komunizmu w Polsce, przerodził

się wkrótce w wynaturzenie tego procesu. Podtrzymywany sztucznie przenosił w nową rzeczywistość niczym nienaruszone zależności i hierarchie z PRL, przykryte jedynie nową fasadą instytucji demokratycznych. Dawał monopol na

Porozumienie Centrum wyrosło z niezgody na rzeczywistość narzuconą Polakom przez układ okrągłego stołu



reprezentowanie dawnych środowisk opozycyjnych i udział we władzy grupie polityków tzw. lewicy laickiej, skupionych m.in. wokół Adama Michnika, redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”. Milionom naszych rodaków aplikował za to bezalternatywny program monetarystycznych, bolesnych reform gospodarczych – tzw. plan Balcerowicza, na który Polacy nigdy nie wyrazili akceptacji.

Jarosław Kaczyński potrafił skupić wokół siebie jednostki oraz grupy niezgadające się na taki rodzaj przekształceń ustrojowych, ludzi pragnących rzeczywistego zerwania z komunizmem i zbudowania nowego państwa odpowiadającego dążeniom Polaków. 12 maja 1990 r. J. Kaczyński wraz z grupą współpracowników ogłosili na konferencji prasowej Deklarację Porozumienia Centrum – program przyspieszenia reform ustrojowych. Środkami wiodącymi do celu miały być m.in. przeprowa-

dzione jak najszybciej w pełni wolne wybory prezydenckie, parlamentarne i samorządowe. Do tego doszły wkrótce postulaty: rozliczenia z okresem PRL, lustracji, realnej przebudowy instytucji, zaostreżenia walki z przestępczością (przede wszystkim z korupcją), budowy społecznej gospodarki rynkowej, pełnej integracji ze strukturami zachodnimi (EWG i później Unia Europejska oraz NATO). Tylko we współpracy euroatlantyckiej Porozumienie Centrum widziało szansę na trwałe zabezpieczenie polskiej niepodległości.

Wizja Polski jako „przemalowanego” PRL oraz koncepcja chadecka Porozumienia Centrum zyskały nawet personifikację w postaciach odpowiednio: Adama Michnika i Jarosława Kaczyńskiego. Do dziś stanowią główną oś dyskursu politycznego w Polsce. Przez lata różnie rozkładały się akcenty konfliktu, dziś ogniskują się na walce o rodzaj modelu gospodarczego i typu relacji z Unią Europejską.

Jest jednak jedna rzecz, która zarysowała się już u zarania sporu i do chwili obecnej przy nim pozostała. Chodzi o nieustanne dorabianie całemu nurtowi prawicowemu negatywnego, wręcz czarnego wizerunku przez media sprzyjające w większości stronie lewicowo-liberalnej. Już w czerwcu 1990 r. redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” był łaskaw nazwać swoich prawicowych antagonistów „świniami”. Potem było tak samo lub gorzej. Główne stacje telewizyjne i radiowe, tytuły prasowe, portale informacyjne i media społecznościowe nieustannie wtłaczały Polakom obraz polityków „systemowych” jako światłych, uczciwych i kompetentnych, dyskredytując jednocześnie polityków prawicy. Nie ma chyba w języku polskim takiego epitetu, wulgaryzmu i pogardliwego określenia, które nie zostałoby użyte w ostatnich trzydziestu latach wobec działaczy i wyborców Porozumienia Centrum, a później Prawa i Sprawiedliwości. Najczęstszym celem tych ataków pozostawał niezmiennie Jarosław Kaczyński. Trudno ocenić na ile ten proceder wpływał na preferencje polityczne i wyborcze Polaków, na pewno

jednak sprawiał, że publiczny dyskurs nie odbywał się w sprawiedliwych warunkach.

Wróćmy do książki. Dzięki naukowej skrupulatności autora możemy przypomnieć sobie postaci zasłużone dla Polski, które zaprzestały działalności politycznej lub już od nas odeszły. Przykładem niech będzie śp. Grażyna Langowska, nauczycielka języka polskiego w olsztyńskich szkołach, która w 1980 r. organizowała sekcję pracowników oświaty Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” i uczestniczyła w jego I Krajowym Zjeździe Delegatów w Gdańsku. Więziona i represjonowana w PRL, w wolnej Polsce była dwukrotnie posłanką na Sejm

Dzięki naukowej skrupulatności autora możemy przypomnieć sobie postaci zasłużone dla Polski, które zaprzestały działalności politycznej lub już od nas odeszły

i działaczką Porozumienia Centrum oraz Porozumienia Polskich Chrześcijańskich Demokratów. Od 2021 r. przyznawana jest nagroda jej imienia skierowana do nauczycieli i wychowawców przez Instytut Pamięci Narodowej, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”. 13 czerwca br. w Centrum Edukacyjnym IDMN odbyła się uroczystość wręczenia nagród trzeciej edycji. W dużej mierze dzięki takim ideowym działaczom – których Grażyna Langowska jest przykładem – Porozumienie Centrum, a następnie Prawo i Sprawiedliwość mogło trwać i odnosić sukcesy.

Pierwszym prezesem Prawa i Sprawiedliwości (2001–2003) był śp. Lech Kaczyński – brat Jarosława, postać dla tego środowiska fundamentalna. Pełnił po 1989 r. najwyższe funkcje publiczne,

kolejno: wiceprzewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, prezesa Najwyższej Izby Kontroli, ministra sprawiedliwości, prezydenta Warszawy i wreszcie prezydenta Rzeczypospolitej. Katastrofa smoleńska 10 kwietnia 2010 r. odebrała życie jemu oraz 95 innym osobom, w tym wielu związanym z Porozumieniem Centrum oraz Prawem i Sprawiedliwością. Prawdziwym fenomenem jest, że ugrupowanie to potrafiło po takim wstrząsie nie tylko się podnieść, ale również wygrać wybory w 2015 oraz 2019 r. i jako Zjednoczona Prawica sprawować do dziś rządy w kraju.

15 maja 1994 r., podczas III Kongresu Porozumienia Centrum, przyjęto uchwałę programową, zatytułowaną „Nowe Państwo”. Termin ten najlepiej oddaje dążenia i działania PC do 2001 r., a od tej daty Prawa i Sprawiedliwości. Dążenia do budowy Rzeczypospolitej z kompetentną administracją, kadrami dyplomatycznymi, sprawną gospodarką rynkową, nowoczesną i liczną armią, społeczeństwem solidarnym wobec słabszych i ubogich, podtrzymującym swój kod kulturowy. Rzeczpospolita realizująca ideowy i moralny dorobek „Solidarności”. Państwo takie Prawo i Sprawiedliwość buduje, a w wielu aspektach ten proces

już się dokonał. Niezwykle trudnymi – i niespodziewanymi – sprawdzianami dla nowego państwa były pandemia COVID-19 w 2020 r. oraz agresja Rosji na Ukrainę, rozpoczęta 24 lutego 2022 r. Wyobraźmy sobie konkurentów politycznych PiS, np. polityków PO lub PSL sprawujących rządy w tym czasie i postawionych wobec ww. wyzwań. Nie, nie sposób sobie tego wyobrazić...

Dziękuję dr. Adamowi Chmieleckiemu za przygotowanie tego dzieła. Mimo naukowego profilu książki nie jest to lektura wyłącznie dla osób zawodowo zajmujących się politologią i życiem publicznym w Polsce. Powinien przeczytać ją każdy, kto chce zrozumieć źródła i istotę realnego, politycznego sporu o kształt naszego państwa. ✍

Artur Kolęda

Autor jest historykiem i publicystą, pracownikiem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

Źródła rosyjskiej agresji

Lektura najnowszej książki prof. Andrzeja Nowaka nie pozostawia nam złudzeń co do długofalowych celów Moskwy. Wybitny znawca Rosji dowodzi, że polityka Władimira Putina jest kontynuacją wielowiekowej strategii walki z Zachodem, a agresja na Ukrainę jest jej nieuchronną konsekwencją. Przestrzega też, że ambicje Moskwy są większe i sięgają daleko poza Ukrainę



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Prof. Andrzeja Nowaka nie trzeba naszym czytelnikom przedstawiać. Wybitny historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor niezliczonych publikacji na temat dziejów Polski, Rosji i stosunków polsko-rosyjskich podjął się tym razem próby znalezienia odpowiedzi na pytanie, co Moskwę pcha do kolejnych agresji. To pytanie jest bardzo aktualne w kontekście trwającej za naszą granicą wojny na Ukrainie i ma dla Polski wręcz egzystencjalny wymiar, ponieważ dalekosiężne plany Kremla nie ograniczają się wyłącznie do przestrzeni posowieckiej.

W swojej najnowszej książce zatytułowanej „Powrót »Imperium Zła«” prof. Nowak pisze o ideologicznych źródłach rosyjskiej agresji. Z oczywistych powodów wiele miejsca poświęca Polsce, która z przyczyn historycznych, geograficznych i wielu innych jest jedną z głównych przeszkód w odbudowie rosyjskiego imperium. To dlatego jesteśmy celem niekończących się ataków ze strony Rosji.

PAKT PRZECIWKO POLSCE

W tym kontekście łatwiej jest zauważyć dodatkowy wymiar politycznej kampanii przeciwko Polsce rozpętanej po wygranych przez PO wyborach w 2015 r. Inspiratorzy tej kampanii znajdowali się (i nadal się znajdują) za naszą zachodnią granicą. Ale trudno zarazem nie dostrzec, że osłabianie Polski, sprowadzanie jej do roli unijnych peryferiów doskonale współgrało z interesami Moskwy.

„Jeśli mamy znaleźć razem z eurokratami wspólnego wroga, to bez wątpienia Polska będzie pierwszym kandydatem” – radził jeden z kremlowskich historyków Fiodor Gajda, cytowany przez Andrzeja Nowaka. „Oczywiście chodziło o pokazanie Polski jako siedliska antysemityzmu, ksenofobii, rasizmu. Cała postępową Europą winna odwrócić się od Warszawy ze wstrętem, aby czasem nie pomyśleć o wsparciu wschodniej flanki NATO” – pisze prof. Nowak.

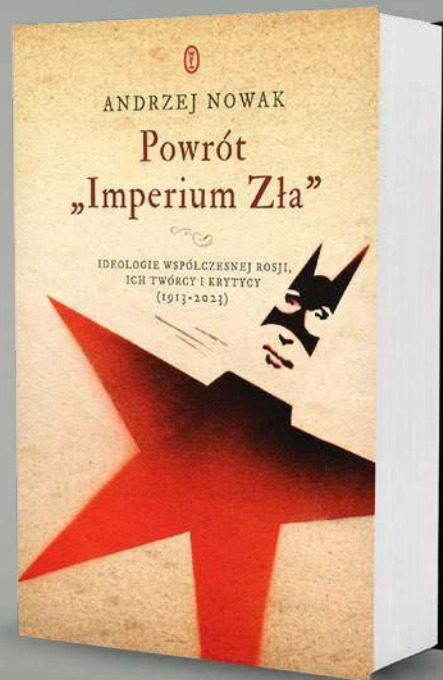
Zohydowanie międzynarodowego wizerunku Polski – podobnie jak to miało miejsce w przypadku Ukrainy ukazwanej jako dyktatura nazistów – stało się jednym z głównych motywów w propagandzie Moskwy i świetnie rezonowało z ideologiczną batalią rozpętaną przez liberalno-lewicowe kręgi zachodnie.

Ale Moskwie nie chodziło o ideologiczny spór. Podgrzewanie złej atmosfery wokół Polski miało pomóc Kremlowi w realizacji agresywnej, im-

perialnej polityki. Słaba, osamotniona i niezaspokojona na żadne współczucie Polska miała zostać zneutralizowana i ubezwłasnowolniona w obliczu nadchodzącej – o czym wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy – wojny na Ukrainie. Z tego punktu widzenia – to już mój komentarz – współudział części polskiej opozycji w tej grze, choć zapewne nieświadomej do końca jej celów, zasługuje na jak największe potępienie.

„Najsukuteczniejszym sposobem przekonywania opinii zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych o nieuleczalnym, dzikim nacjonalizmie i rasizmie ludów wschodniej Europy [...] była wielka operacja nazistowska” – pisze prof. Nowak. „Stanowiła ją, uruchomiona wspólnie przez Putina i Łukaszenkę, jego namiestnika w białoruskiej marszii zachodniej, akcja ściągania imigrantów zarobkowych z krajów Azji i Afryki i masowego przepychania w stronę granicy Polski [...]”. Tym razem cel był prosty: stworzyć kryzys humanitarny i wywołać falę oburzenia na Warszawę w mediach zachodnich, jak również pogłębić dodatkowo na tym tle radykalny już od dawna podział wewnętrzny w Polsce tak, aby podjętą przez rząd obronę granicy przed akcją hybrydowej wojny Putina ukazać jako przejaw »niehumanitarnej« polityki, którą trzeba natychmiast zatrzymać. Ta operacja w pewnym stopniu się powiodła, zwłaszcza jeśli chodzi o obraz Polski w jesiennych miesiącach 2021 r. w głównym nurcie mediów europejskich. Nie rozszczelniała wszakże obrony polskiej i europejskiej granicy ani też nie zmniejszyła znaczenia naszego kraju jako fundamentu zewnętrznego wsparcia Ukrainy w obronie przed nową akcją zjednoczeniowo-wyzwoleńczą z Moskwy. To się nie udało” – czytamy.

To bardzo cenna uwaga prof. Nowaka. Do tej pory przywykliśmy bowiem sądzić, że atak imigrantów na polską granicę miał posłużyć Moskwie do wywołania zamętu w naszym kraju



i utrudnić lub w ogóle uniemożliwić przyjmowanie uchodźców po wybuchu wojny na Ukrainie. Chodziło jednak o coś więcej. O międzynarodową izolację Polski i odcięcie w ten sposób Ukrainy od zewnętrznej pomocy – w tym także militarnej ze strony NATO. Z przykrością i zdumieniem należy zauważyć, że ciągle są w Polsce środowiska, które tego nie dostrzegają lub nie chcą dostrzec.

WEWNĘTRZNE PORZĄDKI PUTINA

Prawdziwe intencje Moskwy nie powinny być zaskoczeniem dla nikogo, kto choć trochę zna historię Rosji i stosunków polsko-rosyjskich. Istnienie Polski zawsze stanowiło przeszkodę w budowie rosyjskiego imperium, którą Moskwa na różne sposoby próbowała usunąć.

Przy czym stosunek Moskwy do Polski był niejednorodny. Z jednej strony Polska była przedstawiana jako forpocztą wrogiego Zachodu, przed którym Moskwa musi się bronić. Tak też jest dzisiaj, gdy w oficjalnej propagandzie Kremla funkcjonujemy w charakterze marionetki realizującej globalną strategię Waszyngtonu. Z drugiej strony Moskwa widzi w Polsce część własnej strefy wpływów – i to część niezbędną, jeśli myśli się poważnie o odbudowie imperium. Nie ma

bowiem rosyjskiego imperium bez wcześniejszego wchłonięcia lub przynajmniej podporządkowania Polski. Podobnie jest w przypadku państw bałtyckich, o których Putin mówi podobnie jak o Ukrainie – że ich państwowość jest sztuczna i zawdzięcza ją wyłącznie traktatom rosyjsko-niemieckim z 1918 r. W tym sensie Rosja uważa państwa bałtyckie – a pewnie też Polskę – za element swojej „polityki wewnętrznej”. Tymczasem zgodnie z obowiązującą w Moskwie linią, na tym terenie – jak pisze prof. Nowak – „Rosja nie dokonuje nigdy żadnych agresji, tylko wyzwala i ponownie jednoczy z macierzą”.

„Polityka zagraniczna jest pochodną wewnętrzną. Polityka wewnętrzna jest ważniejsza i bardziej interesująca – przynajmniej dla mnie” – mówił w 2002 r. Władimir Putin. „To generalnie bardzo ważna uwaga, jeśli potraktować ją serio i zastosować do posunięć Władimira Putina jako przywódcy Rosji w ciągu następnych lat” – ocenia Andrzej Nowak. „Kolejne wojny, gra z Zachodem, geopolityczne manewry na mapie Eurazji i całego świata – to wszystko jest tylko funkcją polityki wewnętrznej?”

Tak właśnie jest – i to nie tylko w kontekście wzmacniania pozycji Putina w fotelu władcy Kremla. Atak na Ukrainę (czy wcześniej na Gruzję) nie jest uważany w Rosji za akt agresji. To jedynie porządkowanie spraw wewnętrznych.

W Rosji nie ogłoszono nawet stanu wojny z Ukrainą, a samo to słowo zostało tam w kontekście obecnego konfliktu zakazane – mowa jest jedynie o specjalnej operacji wojskowej. Trudno przecież wypowiedzieć wojnę czy być w stanie wojny z krajem, którego państwowości się *de facto* nie uznaje i który jest uważany za coś w rodzaju zbuntowanej guberni. Prof. Nowak dociera znacznie głębiej niż większość analityków i ekspertów tłumaczących niechęć Putina do ogłoszenia stanu wojny problemami dotyczącymi powszechnej mobilizacji. Widzi bowiem, że takie stanowisko Putina wobec wojny z Ukrainą ma również ideologiczne uzasadnienie.

Ukraina w optyce Putina po prostu nie jest państwem, z którym toczy się wojnę. To zrewoltowana część Rosji, a Ukraińcy (według starej moskiewskiej nomenklatury nazywani Małorusinami) są wraz z Białorusinami i Rosjanami częścią „trójjedynego” narodu ruskiego. Korzenie tego narodu tkwią w Rusi Kijowskiej, a za jego symboliczny początek uchodzi chrzest kniazia Włodzimierza. Według legendy (bo lokalizacja nie jest historycznie potwierdzona) uroczystość odbyła się w Chersoniezie na Krymie. To również z tego powodu Putinowi tak zależało na podboju półwyspu. Nie mógł bowiem dopuścić do tego, by domniemane miejsce chrztu Włodzimierza znalazło się

poza władzą Moskwy uzurpującej sobie prawo do zwierzchnictwa nad całą spuścizną historyczną Rusi.

Traktowanie Ukraińców i Białorusinów jako jednego narodu z Rosjanami ma także bardziej praktyczny, bo demograficzny wymiar. Według przytoczonego przez prof. Nowaka spisu ludności z końca XIX w. Rosjanie stanowili szacunkowo zaledwie 44 proc. ludności imperium. Dopiero wchłonięcie Ukraińców i Białorusinów dawało bezpieczną przewagę 2/3 ludności. Dzisiaj jest podobnie. Siła Rosji zależy w dużej mierze od tego, czy wchłonie ona Białorusinów (co – niestety – na razie się udało) i Ukraińców. Jeżeli to się nie powiedzie, szansa na odbudowę imperium będzie niewielka.

Moskwa uważa więc, że emancypacja Ukraińców jest wyłącznie skutkiem trwających setki lat zabiegów Zachodu, w tym przede wszystkim Polski, by rozbić Rosję i doprowadzić ją do upadku. Najężdżając Ukrainę, Rosja broni się na własnym terytorium przed zachodnią agresją.

W 2012 r. podczas wiecu wyborczego na moskiewskich Łużnikach Putin porównał położenie Rosji z wielką wojną w obronie przed kolektywnym Zachodem w 1812 r. „Wojna o Rosję wciąż trwa!” – podsumował jego wystąpienie prof. Nowak.

ODWIECZNA OFIARA ZACHODU

Wojna jest nieodłącznym elementem rosyjskiego imaginarium. Andrzej Nowak przypomina fascynację Putina postacią Iwana Iljina – XX-wiecznego filozofa, uważanego za głównego przedstawiciela rosyjskiego faszyzmu. To pod jego wpływem 5 września 2022 r. Putin opowiadał publicznie, jakim błogosławieństwem dla człowieka i jego natury jest wojna.

Nie chodzi tu jednak o zwykłą apoteozę dzikiej przemocy, której ofiarami stali się mieszkańcy Buczy czy Irpienia. Każda wojna, którą toczy Rosja, nawet najbardziej krwawa i brutalna, jest bowiem w oczach Moskwy rodzajem wielkiej i pełnej wyrzeczeń misji na rzecz obrony świata przed dyktatem Zachodu.

Rosyjscy filozofowie, poczynawszy od XIX w., zapisali dziesiątki tomów oskarżeń przeciwko zgnilemu Zachodowi nieustannie spiskującemu przeciwko Rosji. Moskwa znajduje się więc w ciągłym obłożeniu i musi się bronić. Tak – Rosjanie głęboko wierzą w to, że ich kraj nigdy nie wszczynał wojen i wszelkie zarzuty o agresję są dla nich kamieniem obrazy. Ich poparcie dla Putina oraz jego wersji zdarzeń nie jest więc całkiem wymuszone.

Rosja dokonała swojego cywilizacyjnego wyboru za czasów Aleksandra Newskiego, który jest dziś czczony za to, że w XIII w. pokonał zachodnie rycerstwo i podporządkował się Złotej Ordzie. Od tej pory Rosja – jak się tam uważa – jest celem niekończącej się agresji z Zachodu, który

W kampaniach przeciwko Polsce chodzi o międzynarodową izolację naszego kraju i odcięcie w ten sposób Ukrainy od zewnętrznej pomocy – w tym także militarnej ze strony NATO

nie może pogodzić się z porażką. Rosja więc nieustannie się broni – przed Polakami w 1612 r., przed Szwedami, przed Napoleonem, przed obcymi interwentami podczas wojny domowej, przed Niemcami w czasie dwóch wojen światowych, a teraz przed Amerykanami.

Ukraina jest jeszcze jednym polem bitwy w tej wielkiej wojnie z Zachodem. I jeśli nawet Rosja sama jako pierwsza przystępuje do działań wojskowych, to jest to jedynie forma obrony przed agresorem i uprzedzenia jego wrogich zamiarów. W oficjalnej sowieckiej, a potem putinowskiej historiografii przedstawia się najazd na Polskę 17 września 1939 r. jako zabezpieczenie zachodnich obszarów ówczesnego ZSRS przed militarnym zagrożeniem ze strony Niemiec. W podobny sposób uzasadnia się też obecną agresję Moskwy na

Ukrainę – jako likwidację zachodniego przyczółka do ataku na Rosję.

Zamiar podporządkowania Polski i pozostałych państw naszego regionu – ujawniony w ultimatum Putina do NATO z grudnia 2021 r., w którym domagał się on faktycznego rozbrojenia wschodniej flanki paktu – również był tłumaczony obawami Moskwy o swoje bezpieczeństwo.

Rosja zawsze bowiem uważa się za ofiarę. Prof. Nowak zwraca uwagę na zabiegi Moskwy szukającej na tym tle porozumienia z Niemcami. Obok znanych z historii przykładów współpracy między sowiecką Rosją i Niemcami z okresu Rapallo i później po zawarciu paktu Ribbentrop-Mołotow, gdzie wspólny interes

wypływał z rewizjonizmu i poczucia pokrzywdzenia przez traktat wersalski, znajdujemy w książce interesujący trop współczesny. W 2005 r., w rocznicę zakończenia II wojny światowej, Putin udzielił wywiadu niemieckiej telewizji ARD, w którym przedstawił Rosję jako ofiarę komunizmu i próbował zestawiać ją z Niemcami jako rzekomą ofiarą nazizmu. Dziś w Niemczech to niemalże obowiązująca interpretacja, ale wówczas wydawała się ona jeszcze bardzo brawurowa. Warto w każdym razie zauważyć, że Putin już wtedy kusił Niemców nową wizją historii wywracającą fakty historyczne do góry nogami.

Putin nie czuje się skrzepowany faktami, bo sam uważa się za twórcę historii, który naprawia dziś błędy swoich poprzedników. „Putin zakłada zapewne, że pisze historię odbudowy wielkiej Rosji” – czytamy w książce Andrzeja Nowaka. Historia się jednak nie skończyła. „Nie piszą jej wyłącznie spadkobiercy Iwana Groźnego i Josifa Wissarionowicza. Piszą ją także ci, którzy się ich planom opierali i nadal gotowi są bronić swojego domu [...]”. Jak dotąd wszystkie imperia w historii, czy te budowane na Wschodzie, czy na Zachodzie, runęły – kończy książkę prof. Nowak. Zważywszy na wiedzę i dorobek autora, można mieć uzasadnioną nadzieję, że się nie myli. 

Andrzej Nowak, „Powrót »Imperium Zła«. Ideologie współczesnej Rosji, ich twórcy oraz krytycy (1913–2023)”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

K

ULTIMATY

A photograph of Robert De Niro wearing a blue hat with white stars, a blue and white jacket with white stars, and red and white striped pants. He is holding a white spoon and has a surprised or excited expression on his face.

Jak trudno być tatą

Był na ekranie oscarowym ojcem chrzestnym i zmagał się z ojcostwem komediowo i na poważnie. Promując film „Wszystko o moim starym”, Robert De Niro zdradził, że prywatnie bywa lepszym dziadkiem niż tatą. I że powitał właśnie na świecie swoje siódme dziecko

Fot. Dan Anderson/Lonergate



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W sierpniu br. skończy 80 lat. W przyszłym ma wielkie szanse na trzeciego Oscara – za rolę w filmie, który stał się wydarzeniem Cannes 2023. Mowa o najnowszym dziele Martina Scorsese „Killers of the Flower Moon”. Dziesiątym wspólnym dla aktorsko-reżyserskiego duetu.

Pierwszy raz panowie pracowali razem równo pół wieku temu, na planie „Ulic nędzy” (1973). Rok później w filmie Francis Forda Coppola „Ojciec chrzestny II” De Niro stworzył kreację, która stała się dla niego zawodową katapultą. Wsparł pierwszym Oscarem (za rolę młodego Vita Corleone). Kolejną statuetkę Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej – tym razem za główną postać w filmie „Wściekły Byk” Martina Scorsese – aktor odebrał w 1981 r.

TATA NA EKRANIE

Ma na koncie kreacje, które nokautują, ale nie odmawiał też grania w lżejszym repertuarze, udowadniając swoją wszechstronność i przysparzając producentom rekordowych zysków.

Wśród ponad 100 ról są też pamiętne postacie ojców. Przypominają się, gdy tuż przed Dniem Ojca (świętowanym w Polsce 23 czerwca) wchodzi do naszych kin film „Wszystko o moim starym”. To w czasie promocji tego obrazu, wywołując poruszenie w mediach, aktor przyznał się, że jako 79-latek po raz siódmy powitał na świecie swoje dziecko.

Wracając do „ojcowskich” ról: o stojącym na początku gangsterskiej drogi Vito Corleone już wspomnieliśmy. W pamiętnego, odzianego w sutannę ojca Bobby’ego – który po latach wystawia sobie rachunek za nieudzielenie pomocy młodocianym podopiecznym – De Niro wcielił się w „Uśpionych” (1996) Barry’ego Levinsona. Trzy lata wcześniej, w „Chłopcach w świecie”, stworzony przez niego bohater zgotowa-



Fot. Dan Anderson/Lonergate

wał piekło nastoletniemu pasierbowi (grał go Leonardo DiCaprio).

Komediowa rola despotycznego ojca przyniosła mu poklask widzów filmu „Poznaj mojego tatę” (2000) i jego kontynuacji. Rzekomy emerytowany ogrodnik dał się mocno we znaki potencjalnemu zięciowi (Ben Stiller).

Na poważnie o ojcowskich rozliczeniach opowiadał film „Wszyscy mają się dobrze” (2009), w którym główny bohater, po śmierci żony, postanawia odbudować relacje z dorosłymi dziećmi i wyrusza w daleką drogę, by odwiedzić każde z nich.

W kinowym przeboju „Poradnik pozytywnego myślenia” (2012) skupionym na duecie Bradley Cooper – Jennifer Lawrence, De Niro – znów w komediowej szarży – wcielił się w ojca, który stara się pomóc dorosłemu synowi.

Teraz w komedii „Wszystko o moim starym” grany przez niego bohater mocno utrudnia życie dojrzałemu już potomkowi, gdy ze swoim brakiem ogłady i niewyparzoną mową trafia z synem do luksusowej rezydencji przyszłych teściów.

TATA W ŻYCIU

To przy promocji tego filmu Robert De Niro – unikający wypowiedzi na temat prywatnego życia – powiedział co nieco o swoim rodzicielstwie. Stwierdził m.in., że nie jest tak fajnym ojcem jak na ekranie, bo bycie tatą wymaga czasem surowości w pewnych sprawach. „Myślę, że każdy rodzic powiedziałby to samo: chcesz postępować właściwie, dać kredyt zaufania, ale czasami

nie możesz” – dodawał. Inny wywiad spointował: „Kocham swoje dzieci, po prostu będąc z nimi. To nie zawsze jest łatwe. Czasami jest fajnie i kochasz je, a czasami chcesz je po prostu zabić!”.

Ponieważ dwie były żony oraz dotychczasowe partnerki Roberta De Niro (z wyjątkiem ostatniej) są Afroamerykankami, aktor zdradził w jednym z programów, że uczy swoje dzieci, jak unikać skutków dyskryminacji: „Są w połowie ciemnoskóre, więc muszę mówić im rzeczy, o których inni rodzice nigdy by nie pomyśleli. Na przykład: »Trzymaj ręce na kierownicy, kiedy jesteś zatrzymywany przez policjanta«, »Nie wykonuj gwałtownych ruchów, nigdy nie kładź rąk niżej«”.

Najmłodsza latorośl Roberta De Niro nazywa się Gia Virginia Chen. Jej matką jest poznana na planie filmu „Praktykant” (2015) Tiffany Chen (aktorka towarzyszyła ekipie „Killers of the Flower Moon” na tegorocznym festiwalu w Cannes).

Gia ma sześcioro rodzeństwa: 51-letnią siostrę Drenę (którą aktor adoptował w 1971 r. z byłą żoną Dianne Abbott), brata Raphaela (46 lat, z pierwszego małżeństwa), 27-letnie bliźniaki: Aarona i Juliana (ze związku z modelką Toukie Smith), oraz brata Elliota (25 lat) i siostrę Helen (11 lat, z drugiego małżeństwa z Grace Hightower).

De Niro przyznaje, że z powodu rozwodów, romansów i rozstań nie do końca sprostał roli ojca. Stara się więc być jak najlepszym dziadkiem czwórki wnucząt. Im oraz swoim dzieciom często powtarza: „Sięgaj po to, co naprawdę chcesz robić. I nie bój się”.

Cyfryzacja usług i nowoczesna sieć logistyczna

Poczta Polska zmienia się dla klientów

Dzięki wielomilionowym inwestycjom jesteśmy w stanie coraz skuteczniej konkurować z wielkimi rynkowymi graczami i wychodzić naprzeciw oczekiwaniom obywateli, firm i administracji publicznej.

W JAKI SPOSÓB ROZWIJAMY POCZTĘ POLSKĄ?

Sztandarowym projektem jest Architektura Sieci Logistycznej. To jedna z kluczowych inwestycji mających na celu nie tylko wzmocnienie pozycji rynkowej jednej z najstarszych polskich firm na rynku usług kurierskich, ekspresowych i paczkowych (KEP). To także milowy krok do poprawy istotnych z punktu widzenia klienta wskaźników takich jak terminowość. Projekt umożliwi płynną transformację obecnej sieci logistycznej, przystosowanej głównie do obsługi listów, do sieci docelowej, w której prym będą wieść przesyłki kurierskie, ekspresowe, paczkowe i e-commerce.

Realizacja tej wielkiej inwestycji to odpowiedź Poczty Polskiej na wyzwania, które stawiają dynamicznie zmieniający się rynek oraz ostra konkurencja, także wielkich, zagranicznych korporacji, z którymi mierzy się na co dzień operator narodowy. W 2023 r. uruchomiono już nowy sorter paczkowy we Wrocławiu, a kolejne zostaną również uruchomione w br. w Lublinie i Lisim Ogonie pod Bydgoszczą. Realizacja inicjatywy spółki jest możliwa dzięki wsparciu Ministerstwa Aktywów Państwowych, które w 2021 r. dokapitalizowało Poczta Polska kwotą 190 mln zł. Planowana pełna kwota nakładów inwestycyjnych na ten cel to ponad 350 mln zł.

Trwają także prace budowlane w drugim obiekcie logistycznym przeznaczonym dla Warszawy i najbliższej okolicy stolicy. Pełne uruchomienie sortowni w Ciemnem pod Radzyminem jest planowane na 2024 r.

e-Doręczenia to niezbędne ogniwo w postępującej cyfryzacji usług dla obywateli, stanowiące odpowiedź na wzrost popular-



Fot. Piotr Waniorek/zalaznastudio.pl

Polacy coraz chętniej korzystają z usług cyfrowych i załatwiają wiele spraw bez konieczności wychodzenia z domu. Dotyczy to również zakupów.

Internet stwarza nowe możliwości i pozwala zaoszczędzić czas. Z tym duchem czasu podąża również Poczta Polska

ności rozwiązań elektronicznych. Usługa jest świadczona przez operatora wyznaczonego, czyli Poczta Polska, zgodnie z ustawą o doręczeniach elektronicznych. W ostatnich latach na popularności zyskał podpis elektroniczny, a e-recepty wyparły całkowicie recepty papierowe. W ten trend wpisują się e-Doręczenia. To wdrożenie to ważny krok, który wzmacnia pozycję spółki jako cyfrowego wykonawcy usług na rzecz państwa i obywateli.

Poczta Polska wprowadziła również usługę zaufania, służącą do komunikacji elektronicznej – **Q-Doręczenia**. To rozszerzenie rozwiązania wcześniej dostępnego tylko do komunikacji z podmiotami publicznymi. Dzięki Q-Doręczeniom można bezpiecznie i szybko komunikować się z osobami fizycznymi czy firmami. To elektroniczna alternatywa dla tradycyjnych, papierowych listów poleconych.

Q-Doręczenia zapewniają szybką i bezpieczną wymianę korespondencji i – tak jak w przypadku listu poleconego – uzyskanie dowodów nadania i odbioru. Właściciel adresu elektronicznego jest weryfikowany przy jego nadawaniu przez ministra właściwego ds. informatyzacji, dlatego mamy pewność, że korespondencja trafi do wskazanego odbiorcy.

Q-Doręczenia to również narzędzie, które przenosi usługi pocztowe do świata cyfrowego, gwarantując odbiorcom wiele korzyści i funkcjonalności. Usługa łączy zalety wiadomości elektronicznej i listu poleconego, nie mając przy tym wad typowych dla obu tych form komunikacji: reklamowego profilowania użytkownika, spamu, niepewności dotyczącej nadawcy czy konieczności odbioru awizowanej papierowo przesyłki. Wysłanie wiadomości w ramach Q-Doręczeń trwa chwilę podobnie jak i uzyskanie wiążącego dowodu, że prawidłowo zaadresowana przesyłka elektroniczna dotarła do odbiorcy.

Zachęcam do korzystania z Q-Doręczenia, czyli przyszłościowej formy komunikacji elektronicznej, już teraz: <https://edoreczenia.poczta-polska.pl/q-doreczenia/>



RODZINA
800+

INWESTUJEMY W PRZYSZŁOŚĆ POLSKI

RUSZYŁY KONSULTACJE

[BLISKOLUDZI.GOV.PL/800](https://bliskoludzi.gov.pl/800)

Final „Bring Back Alice” - o nieobecnych ojcach

Dlaczego odczuwam potrzebę skomentowania finału „Bring Back Alice”, serialu HBO? Choć pisałem o nim dopiero co, po trzech odcinkach. Może z powodu myśli, które mi przyszyły przy okazji do głowy.

Przypomnę: po roku odnajduje się Alicja, zaginiona internetowa influencerka, zarazem uczennica renomowanego prywatnego liceum (Helena Englert). Nie wiadomo, co się z nią działo, ona sama nic nie pamięta. Napisałem, że będzie ciężko autorom scenariusza i reżyserowi Dawidowi Nickelowi przekonać nas do logicznego objaśnienia tej zagadki. I faktycznie: o ile piętrowa sytuacja z tamtej fatalnej, pełnej alkoholu i narkotyków nocy zniknięcia jest nawet skonstruowana pomysłowo, o tyle zaników pamięci Alicji, ustępujących selektywnie, nikt nam nie tłumaczy. Mamy wierzyć i tyle.

Taki brak logiki przydarza się czasem – zapewniam – i zachodnim serialom. Ja jednak kręciłem nosem bardziej na co innego. Postacie wokół Alicji wydały się diabelnie stereotypowe, pokazane według klucza bogatej, zepsutej młodzieży. Ogólnie pewnie z klucza socjologicznie prawdziwego – serial można by nawet uznać za konserwatywną przestrożę: nie zabawiajcie się brzydko, szczególnie dragami. A jednak brakło mi tu komplikacji, wszystko wydawało się spłaszczone. Wiemy, że młodzi bogacze mają złe skłonności, chcą czegoś więcej.

Tak naprawdę pod koniec piątego odcinka pojawił się kawalek ciekawego, nie do końca sztamkowego kina. Przede wszystkim dzięki postaci Patryka granego dobrze przez Bartłomieja Deklewę. Postać licealnego dealera, zarazem chłopaka z awansu (jest w tej szkole dzięki stypendium), walczącego o przetrwanie, skrzywdzonego przez rodziców – tak, to był temat. Ale twórcy poszli za tym bardzo połowicznie. Woleli główną historię zbyt egzaltowanej jak na mój gust Alicji i złodzieja samochodów Tomka szukającego siostry, a pozującego na Janosika. Patryk jest w sumie winny, więc zasługuje tylko na odrobinę uwagi.

Mamy tu ducha bardzo progresywnej sztampy. Dostajemy apoteozę niezbyt jasnych skłonności lesbijskich, a pozostający w cieniu główny sprawca (jest ich tu wielu) to naturalnie obrzydliwy fanatyczny katolik z napisem „Jesus is my GPS” na aucie. A zarazem chwalony za empatię wobec swoich bohaterów Nickel dzieli ich jednak na dobrych i złych zbyt topornie. Może i zgodnie z regułami kryminału. Ale rezygnując z okazji do powiedzenia o młodych ludziach czegoś jeszcze ciekawszego.

Powiedzenia także czegoś na ich obronę. Mam świadomość, że współczesna popkultura i przemiany obyczajowe kręcą się nadmiernie wokół młodych, często przyznając im z urzędu rację i prawa. To jednak nie znosi prawdy dla mnie oczywistej. Rodzice wciąż są w stanie skrzywdzić swoje dzieci choćby brakiem uwagi. Często stosują wobec nich reguły, które kiedyś stosowano wobec nich samych. Nie ma prostej recepty na takie okrucieństwo, nie widzę skądinąd lepszej konkurencji dla wartości rodzinnych. Tyle że kiedy dawny patriachalizm zostaje zastąpiony przez obojętność, wcale nie dzieje się lepiej.



Warner TV przypomniał ostatnio „Magnolię”, monstrualnie długi film Paula Thomasa Andersona z 1999 r. Na tle wielu prowadzonych równoległe wątków zawsze szczególnie wrażenie robił na mnie jeden. Tom Cruise jako maczystowski pozer, w istocie zaś ofiara ojca, który kiedyś go zostawił. Jego i chorą na raka matkę. Podziwiam precyzję, z jaką aktor odnajduje w aroganckim twardej skrzywdzone dziecko. Ale mam też

wrażenie, że ta opowieść o nieobecnym ojcu porusza coś niezwykle ważnego. Kiedy będziemy się oburzać niedojrzałością i deprawacją młodych, przypomnijmy sobie ten film.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Majewski z Hollywood

Najbardziej znany nieznany polski reżyser. Znany w Hollywood, nieznany w Polsce. Grali u niego i Rutger Hauer, i Michael York, i Willem Dafoe, i Gary Oldman, i Dennis Hopper, i Tatum O'Neal, i Courtney Love, i David Bowie, i John Malkovich. Artyści z najwyższej półki, ludzie współtworzący globalne imaginarium.

Lech Majewski: „Nie słuchaj nikogo. Rozmawiaj z sobą. Jeśli się porozumiesz sam z sobą, inni cię zrozumieją” – tak mówił do twórców dwa pokolenia młodszych od siebie w trakcie warsztatów w FilMOTECE Narodowej. „Spotkanie z samym sobą jest celem moich filmów. Kulturę masową zbudowano na ucieczce od samego siebie”.

Świat potwierdza jego wybitność. Lech Majewski jest członkiem Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej, Gildii Reżyserów Amerykańskich i Europejskiej Akademii Filmowej. Kiedyś wspominał: „Mieszkalem w Los Angeles w takim domu po Grecie Garbo, na wzgórzu o nazwie Mount Olympus, będącym częścią Hollywood. Obchodziłem urodziny, zebrało się trochę ludzi, przyszedł też mój sąsiad, reżyser i aktor amerykański Paul Bartel, w 1982 r. zrobił film »Eating Raoul«, zjadliwą satyrę na wyższe sfery, swego czasu nazywano go amerykańskim Buñuelem. Za oknem wspaniała widok na całe Los Angeles, na te wszystkie migoczące światelka, aż po ocean, a on mówi: »To, co widzisz, to ogromne cmentarzysko pomysłów filmowych. Tam w dole każdy człowiek – na stacji benzynowej, w sklepie, restauracji – to jest niespełniony scenarzysta, reżyser, aktor... A ty Lechu, ty jesteś księciem!«. Jakim księciem? – myślę sobie, ćpał coś? »Jesteś księciem, bo robisz swoje filmy! A to jest wąska grupa ludzi na świecie, która robi swoje filmy. Czy ty zdajesz so-

bie sprawę z tego, że jesteś księciem!?» OK. Jako książę jestem elitą. Ale ja się kimś takim nie czuję. Czuję się banitą. Jestem prześladowany” – tak mówił w jednym z wywiadów.

Niezależność poglądów, ostracyzm, banicja. To w Polsce. W 2006 r. twórczość Majewskiego uhonorowało najbardziej prestiżowe muzeum sztuki współczesnej, The Museum of Modern Art w Nowym Jorku, organizując indywidualną retrospektywę jego twórczości.

W niedzielę 25 czerwca od godz. 15.00 będę prowadził w FilMOTECE Narodowej spotkanie zatytułowane „Bóg, kultura, nieśmiertelność. Wyrazić zmysłami niedostępne”. Będzie poświęcone twórczości Lecha Majewskiego. A właściwie jej duchowości i symbolice. Przygotuję to spotkanie, bo zadziwiła mnie nieomal tożsamość moich poglądów z tym, co w wywiadach i swoimi dziełami mówi o świecie Lech Majewski. Moim wewnętrznym obowiązkiem jest więc szukanie różnic.

Arcydzieło. Nieśmiertelność. Pamięć. Są tacy, których pamiętają całe narody. Są tacy, którzy swoje dobro zostawili w dzieciach wychowanych na lepszych ludzi niż oni sami.

Bosch, Dante, Milton, Szekspir, Bach... Sztuka XX w. odejdzie w zapomnienie. To marna robota, produkt gazetowo-handlowy. Robią ją geniusze, tyle że public relations. Tacy jak Warhol, czwartorzędny cwaniak od reklamy, czy Picasso, który po pierwszych sukcesach swojej genialnej wtedy sztuki zdecydował, że będzie sprzedawał dekonstruujące świat płaskie obrazki. Ponieważ taki był duch czasu i taki był nagradzany przez pieniądź i krytykę awangardowy, rewolucyjny, marksistowski pomysł na zniszczenie starej kultury.

Sztuka współczesna to autoterapia, wyrzyciwanie własnego wnętrza i do-



ROBERT TEKIELI

bry PR na usługach rewolucji nihilizmu i chaosu. Niszczenie formy, niszczenie harmonii, proporcji, niszczenie umysłów, niszczenie człowieka. Wiemy od października 1917 r. i od maja 1968 r. jak ma wyglądać i działać nowy wspaniały człowiek, choć właściwie ta historia toczy się już od 1789 r., ba, od 1517 r. Co się dzieje, gdy geniusze rozbijają formę? Picasso, Braque, Strawiński, Joyce? Uśpienie, wirtualny świat, pomieszanie. W XX w. już tylko kino było arką dla piękna. Idolizacja ciała, Greta Garbo, Rudolf Valentino, dziesiątki kobiet, które popełniły samobójstwo na wieść o jego śmierci. Już u narodzin kino stało się częścią życia zastępczego. A awangardowe niszczenie formy poprzedziło niszczenie ciała. Hekatomba XX w. nie ma precedensu.

Na początku XVI w. intelektualści biorą z rąk mnichów odpowiedzialność za hierarchię w kulturze. Na początku XVII w. powstają gazety. Pod koniec XVIII w. zaczyna się czas mas. Dziś kultury już nie ma, jest muzealno-biblioteczne dziedzictwo. Człowiek Zachodu osiągnął w średniowieczu kulturowe szczyty. Średniowieczna myśl i kultura, niespotykana w żadnej innej cywilizacji idea wyższości ducha nad materią – nasza cywilizacja zbudowana na przesłaniu Chrystusa. Nie ma wolnego i niewolnika, tę ideę rabbinę Joshui z Nazaretu zrealizowano dopiero w XIX w., równość

kobiety i mężczyźni w ich tożsamości i równości – to XX w. W Polsce prawa polityczne mężczyźni przyznali kobietom w jego drugiej dekadzie, we Francji, Włoszech, w Izraelu pod koniec czwartej. We Francji dopiero w 1965 r. kobiety uzyskały prawo otwierania konta

w banku bez zgody męża. W Polsce nigdy takich ograniczeń nie było.

Chcemy pokoju i szczęścia. Lech Majewski mówi o katastrofie. Buduje arkę, sztukę pomagającą w dotarciu do egzystencji, do jądra rzeczywistości. Mówi też: brzydota zabija.

Pieta Michała Anioła, tondo Botticellego, piękno. Czy piękno zbawia świat? I tak, i nie. Tak, bo jest jednym z imion Boga i prowadzi do zachwytu. Nie, bo potrzebne są jeszcze: miłość, czyli ofiarowanie się za kogoś, czyli cierpienie.

WOJNA CYWILIZACJI

Warte „Ściany ociekały krwią, a w domu cisza i pustka. Łzy same płynęły i nadal płyną, choć już nieco mniej” – wyznała Marii Szulikowskiej, autorce książki „Wiktoria Ulma. Opowieść o miłości”, Stanisława Kuźniar, obchodząca w sierpniu ub.r. 100. urodziny, ledwie od Wiktorii 10. lat młodsza jej przyjaciółka, matka chrzestna syna Ulmów, Władzia.

Dopiero poznajemy historię tej rodziny. Już 10 września będą błogosławionymi. Po raz pierwszy Kościół uznaje świętość dziecka nienarodzonego. Jako męczennika. Więc męczennikami są też niewinne ofiary wszystkich aborcji tego świata. Mamy zatem ponad 1 mld wstawienników w niebie. Tych „po raz pierwszy” w opowieści o Ulmach jest jeszcze więcej. Również dzięki książkom Marii Szulikowskiej.

Ale powiedzmy najpierw: 24 marca 1944 r. niemieccy żandarmi zamordowali o świecie 17 osób z rodzin Ulmów, Szallów i Goldmanów. Na stronie internetowej Yad Vashem napisano: „Zbrodnia na Ulmach – gdy cała rodzina została zamordowana razem z ukrywanymi Żydami – stała się symbolem polskiej ofiary i męczeństwa podczas niemieckiej okupacji”.

Niemieckie korzenie rodziny Józefa i niemieccy oprawcy. Zrabowali wszystko, identycznie, jak robią to na podbitych terenach Rosjanie, wywieźli na sześciu furmankach meble, materace, ubrania, generator prądu, wielkie ilości wygarbowanych skór. W tej historii jest zły Niemiec, zwykły bandyta w mundurze Josef Kokott, który znalazłszy przy trupie Żydówki schowaną biżuterię, krzyknął, zabierając zawiniątko: „Tego mi było trzeba!”, i dobry Niemiec, porucznik żandarmerii niemieckiej Eilert Dieken, który osobiście wydał rozkaz rozstrzelania płaczących dzieci Ulmów. W pozyskanym w 2021 r. przez Instytut Pileckiego zbiorze dokumentów i pamiątek po komendancie Diekenie jak na dłoni widać znajomy schemat: niczym niezakłócona kariera w policji niemieckiej od Republiki Weimarskiej, przez III Rzeszę, aż po Republikę Federalną Niemiec. Odznaczenia państwowe, kariera, medale, list córki Grety Wilbers do polskich muzealników: „Na podstawie listów wiadomym mi jest, że podczas wojny pełnił on [ojciec] służbę w Łańcucie. Ku mojej radości wiem, że w wyniku swojej działalności wyświadczył ludziom wiele dobra. Zresztą niczego innego bym się nie spodziewała”. W sumie racja. Są w niebie.

A w działaniach i tych złych, i tych dobrych Niemców możemy znaleźć też rys ludzki. Po egzekucji oprawcy zażądali od sołtysa trzech litrów wódki.

Granice cywilizacji życia i śmierci w 1944 r. przebiegały przez Europę tak samo jak dziś. W poprzek małżeństw i ro-

dzin, między sąsiadami i między narodami. Stepowy i niemiecki imperializm, narodowy i międzynarodowy socjalizm w 1939 r. podały sobie ręce nad Polską po raz kolejny powaloną na ziemię. Totalitaryzm zawędrował też do Markowej, cichej, podkarpackiej wioski.

Józef i Wiktoria nigdy się nie kłócili, nie ma ani jednego świadectwa, z którego by wynikało, że któreś z nich podniosło głos na drugie. Wiktoria była niezwykle łagodna, a Józef po uszy zakochany i zapałszy w 10 lat od siebie młodszą kobietę. „Jak on był za nią...” – wspominała Stanisława Kuźniar. JAK ON BYŁ ZA NIĄ. Żyli zwyczajnie. Józef jako pierwszy w Markowej zbudował wiatrak do produkcji energii elektrycznej, której używał do oświetlania domu, słuchania radia, które też sam poskładał. Wielka biblioteka, biały kredens, ostatnia morwa, którą Józef zasadził dla hodowanych jedwabników. Nie tylko to po nim zostało. Ona była tak samo w tej wioskowej codzienności niezwykła. Cytowany wyżej wpis w Yad Vashem to również dowód uznania dla heroicznej, chrześcijańskiej i ewangelicznej postawy Józefa i Wiktorii. Ulmowie, „jak pięknie żyli, tak pięknie zginęli, płacąc daninę krwi jako cenę największej miłości” – pisze Maria Szulikowska. Duchowy świat, sens życia. Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś swoje życie oddaje za przyjaciół, napisał św. Jan. Nie wiem, jak byliby, gdybym żył w tamtych czasach. Wiem, że dziś nie zdecydowałbym się zaryzykować życia członków swojej rodziny, przyjmując w domu bliźnich, za których ukrywanie grozi wyrok śmierci.

Miłosierny Dieken – identycznie jak ci dzisiejsi miłosierni mistrzowie dobrej śmierci, specjaliści od eutanazji – zdecydował o rozstrzelaniu kilkuletnich dzieci krzyczących ze strachu nad trupami rodziców, „żeby gmina nie miała z nimi kłopotu”. Wcześniej niemieccy samarytanie strzelali do brzemiennej niewiasty. A Ona przyjdzie w koronie z gwiazd 12.

Robert Tekieli,
Polskie Radio





Wojciech Stanisławski

Katastrofa na Saskiej Kępie

*Vanitas Miecznickiej nie trzyma
w ręku czaszki: szeleści starymi
numerami „Vivy!”*

Sporo jest w tej powieści przewrotności. Przewrotna jest i sama narratorka, posługująca się kilkoma narzeczami naraz, jakby prowadziła po Katowickiej czy Poselskiej minisforę charcików lub innych psów modnych, przekładając smycze w urękawiczonych dłoniach. Widać to w zapisach rozmów, na które składają się głośno wypowiadany, właściwy dialog, wtrącenia z monologu wewnętrznego i jeszcze uwagi *sotto voce* kierowane do ewentualnych, nawet jeśli przez chwilę nieobecnych, postronnych. Splot jak warkocz (lub smycze), najlepszy chyba w otwierającej powieść rozmowie z siostrą, ale jest go sporo i gdzie indziej, bo Agata, główna bohaterka, jest stale na scenie, odgrywa różną siebie w rozmowie z mężem, synkami, siostrą, sąsiadką, rywalką. Bardzo to nużące. „...nieustanne szachy / ten lewy kielich dla Druzjusza w prawym umoczyć wargi / potem pić tylko wodę nie spuszczać oka z Tacyta”. A jeszcze zalogować się na Telegramie, bo tylko tam można bezpiecznie wymienić SMS-y z kochankiem, i opowiedzieć całą historię nam, czytelnikom.

W pierwszym przybliżeniu ta powieść to romans wielkomięjski z covi-

dem w tle, smutna historia zdradzającej i zdradzonej 40-latki. Taki temat wydaje się trącić konfekcją raczej niż konfesją: czyżby jeszcze jedna saga o domu nad tym czy innym akwenem, zalewająca płytką falą półki empików, zanim bezpiecznie spłynie do składów taniej książki? Tamte tytuły mają jednak z reguły okładki utrzymane w palecie różów i brzoskwiniowego oranżu, podczas gdy „Szczęście” jest depresyjnie grafitowe z lekką sugestią oberżyny. Ale i daltoniście starczy akapitu, by się przekonać, że to powieść, która chce opowiedzieć więcej.

Przekonuje mnie do niej już sam nawias ironii. „[...] poza tym podkoszulek był na ramiączkach, oba podkoszulki były z H&M-u. Sweter był z Gapa, zrobiony z wełny merino, kupiła mi go moja siostra, kiedy była rok temu w Londynie [...]. Ten drugi sweter, który założyłam, rozpinany, był kaszmirowy, z TK Maxxa, też od mojej siostry. [...] To była jedna z zalet dorosłości, nielicznych zresztą, że człowiek wie, w czym podaje się chleb, w koszyku, wie, gdzie się ten koszyk tanio kupuje, w TK Maxxie, oraz skąd się bierze serwetki do niego. Z Ikei”. Nie, ani moja nota, ani książka nie zawierają lokowania produktu, ale nie mogę

oprzeć się uciesze z takiego podsumowania dwóch dekad wysiłków aspiracyjnych. Oczywiście, mikro to były wysiłki, bo też – umówmy się – TK Maxx ani Ikea to nie jest oferta highendowa. Ale od czasów niezapomnianych opisów japiszonów pióra Pawła Śpiewaka na łamach „Res Publiki” nie pamiętam równie smacznego podsumowania warszawskich *wannabees*.

Nie chodzi jednak tylko o polowanie na ładne przedmioty z ciut wyższej półki, a „Szczęście” nie jest prostą adaptacją historii Sylvie i Jérôme’a z legendarnych „Rzeczy” Pereca, historii młodości zaduszonej polowaniem na miski i kaszmir (choć myślę, że „francuskie plakaty reklamujące bycie młodym i bogatym w latach 60.”, jeden z prezentów ślubnych Agaty i Marcina, pojawiają się już w pierwszych scenach książki nie przypadkiem).

Nie, „Szczęście” opowiada, całkiem zresztą wprost, dzieje pokolenia milenialsów, które w kilka lat po strajkach i okrągłym stole trafiło, ciągle jeszcze niemal bez wysiłku, do redakcji i korporacji. To wyznanie dziecięcia wieku: „Wychowaliśmy się w obrzydliwych komunistycznych mieszkaniach, które miały 50 m na krzyż i odlażące tapety w żółte kwiatki, i plastikowe spluczki, które ciągle się psuły, i len-tex na podłodze [...]”. – deklaruje Agata. – I w związku z tym kochaliśmy nasze mieszczańskie mieszkania z ich mieszczańskim urokiem”.

Tak było, cudem ocalałe w powstaniu kamienice na Uniwersyteckiej i Braci Śniadeckich, wille Starego Mokotowa

ort ekstremalny

i powieściowej Saskiej Kępy czekały na przełomie wieków na nową *upper middle class*. A potem okazało się, że szczęścia nie przyniosła ani szafka ze sklepu ze starociami, „korzystnie przełamująca nowoczesność reszty wystroju”, ani piękny zyrandol, oryginalny marciniaczek z Puławskiej (i – dodajmy – lampki świąteczne z Simply za 7,99). „Szczęście” to nie tylko wymowna, choć niby oczywista, przestroga przed uwielbieniem rzeczy, lecz także epitafium dla całej kultury aspiracji, której heroldami były tygodniki ilustrowane dla młodych pań domu, wszystkie te „Twoje Style”, a nawet „Wysokie Obcasy” (w wersji 1.0, przedrewolucyjnej), oferujące w pakiecie rekomendacje książek modnych, oferty wyposażenia wnętrza na sposób hygge lub minimalistyczny, całostronicową reklamę Lancôme i trochę modernizacji rozumianej młodziakowo.

Ale jest w tej powieści i głębszy żal niż tylko nad porcelaną (bodaj i Villeroy & Boch). „[...] wałaly się liczne przedmioty. Brudne i czyste ubrania, kapcie, chusteczki do nosa. Spinacz, książka dla dzieci, dwa plastikowe kubki. [...] Kabel od ładowarki. Inny kabel nie wiadomo od czego, długopis, torebki, okulary do pływania. Od kiedy miałam dzieci, nie wiedziałam, jak można właściwie mieć porządek inaczej niż za cenę nieprzerwanego sprzątania, kiedy dzieci są w domu oraz po ich wyjściu i położeniu się spać”. To celny zapis znanej każdemu dorosłemu udręki codziennego krzątaństwa, dotkliwej zwłaszcza wtedy, gdy doświadczanej w samotności. „Odebrał mi moje życie – skarży się Agata na męża – i rozmiął na dni spędzane na organizowaniu rzeczy, załatwianiu rzeczy, sprzątaniu ich i rozkładaniu, ustalaniu i pamiętaniu, podczas gdy on mógł sobie pozwolić, żeby nie pamiętać”.

Oczywiście, można odczytać tę skargę w kluczu feministycznym (i robi to np. w okładko-

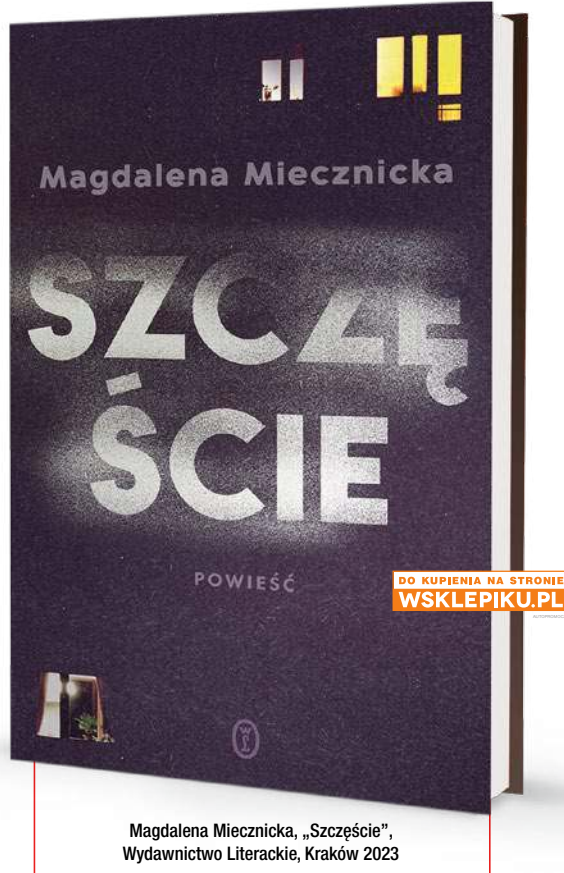
wym blurbie Sylwia Chutnik): dziewczynom z pokolenia X matki, mężowie i cała reszta społeczeństwa narzuciły model zachowań z czasów PRL (matka Polka, niezmordowana i zaradna, na etacie, z domem i dziećmi na głowie, piekąca po nocach szarlotkę), nieprzystający do zupełnie innego już świata. I jest w tym trochę racji, w latach 1990–2015 naprawdę zderzyły się epoki. Dopiero młodsze siostry i córki tamtych dziewczyn, milenialsówny pod przewodem, mówiąc umownie, „Wysokich Obcasów” w wersji 2.0 (emancypacyjnej) odrzucają dziś ten model, aż piorunki biją.

Ale przecież te porozrzucane przez dzieci kubki i okulary to nie tylko brzemię (upadającego) patriarchatu. To także druga strona zachłanności, zemsta zgromadzonych rzeczy. Więc tyle zostaje z marzeń? Nadchodząca starość w sięgających kostek łańdach przedmiotów? Ta starość, nieuchronny wyrok, pada cieniem na całą

powieść: „Jaki młody był wtedy, kiedy go ostatnio widziałam” – to pierwsza myśl Agaty na widok mężczyzny, z którym się zwiąże. Nawet zdrada w tej książce smakować będzie siwizną.

„Szczęście” nie jest – to jasne – „budującą powieścią”, ckiwą rekomendacją jedynie słusznego wzorca życia rodzinnego. Sąsiadki, koleżanki i krewne bohaterki, deklarujące się lub scharakteryzowane jako katoliczki, są opisane równie cierpko jak reszta społecznego świata: zwykle wielodzietne, serdeczne, ale nieuważne (bo zgonione), skrycie przekonane o swojej lekkiej wyższości moralnej i żywiące własne snobizmy, bodaj do szkół Sternika. Nie jest to, przynajmniej, opis całkowicie chybiony, na szczęście był pisany z lekką ironią raczej niż z drwiącym rechotem (podobnie – a to już dziś rzadkość – został potraktowany w książce elitarny krąg pravicowych publicystów. W tym ostatnim przypadku, choć „Szczęście” nie jest również powieścią z kluczem, coś nawet – przynajmniej dla osób znających świat dziennikarski Warszawy – lekko brzęknęło. Niewykluczone, że był to element stroju rozbierającego się właśnie w hotelowej sypialni staroświeckiego dżentelmena, np. dewizka).

Mniejsza o to jednak. Nie polubiłszy zbyt wiele głównej bohaterki, miotającej się przepiórczo, na przemian wyrachowanej, bezwzględnej, szyderczej i ucieczkowej, w której czułości ostało się tyle, co dla dziecka („Muszku, chodź, pójde z tobą i zobaczę, powiedziałam, wstając i biorąc go za rękę”): rzekłbyś, Medea w szpilkach. Ale katastrofa jej życia jest całkowita: szafka, kubki ze sklepu Reset na Mokotowie, miski i wazon piętrzą się, nagle bezdomne jak na porządnej martwej naturze, brak tylko cytryny i świecy. *Vanitas* Miecnickiej nie trzyma w ręku czaszki, szeleści starymi numerami „Vivy!”: czy dlatego tak zniechębiała tę powieść w światłej Warszawie?



Magdalena Miecnicka, „Szczęście”,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023



Z *Marcinem Horałą*,
sekretarzem stanu w Ministerstwie
Funduszy i Polityki
Regionalnej, pełnomocnikiem
rządu ds. Centralnego
Portu Komunikacyjnego,
o permanentnym ataku
opozycji na inwestycję stulecia,
terminach i planach, a także
o tym, dokąd prowadzą szprychy
CPK, rozmawia Maciej Wośko
(„Gazeta Bankowa”)

Centralny Port Komunikacyjny jak druga Gdynia

Nazwa inwestycji, którą pan prowadzi, na transparentach w czasie marszu opozycji to sygnał, że znalazł się pan w gronie głównych wrogów tzw. demokratycznej opozycji. Jak się pan z tym czuje?

Marcin Horała: Ta sytuacja pokazuje, że ten protest społeczny przeciw CPK w istocie jest akcją polityczną opozycji. Stąd też nawet demonstracja przeciwników budowy lotniska CPK, zapowiedziana na 4 czerwca, ostatecznie złała się z marszem opozycji. To ci sami ludzie – dziś mają transparent „Nie dla CPK”, jutro „Tak dla Platformy Obywatelskiej”.

„Nie dla CPK” – dlaczego akurat ten projekt znalazł się na sztandarach opozycji, Platformy? Dlaczego nie ma transparentów „Nie dla obwodnicy Warszawy?” albo choćby – pozostając wśród inwestycji rządowych – „Nie dla modernizacji polskich kolei”?

Cóż, nie jestem z opozycji, więc nie wiem. Ale najpewniej pierwszy powód jest czysto marketingowy. Budowa CPK jest pewną ideą, produktem w przestrzeni medialnej, który można przykleić tylko do tego rządu. W sensie komunikacyjnym jest więc łatwiej atakować taki projekt. A w istocie CPK jest przekreśleniem niemieckiej koncepcji Mitteleuropy, w której Polska ma być obszarem ekspansji gospodarczej i zapleczem, bo dla wysoko wykwalifikowanej

kadry centrala ma być w Berlinie. Na taką sytuację się nie zgadzamy. I CPK jest tym projektem, który spowoduje, że zyskujemy podmiotowość i samodzielność. Lotniskiem hubowym dla tej części Europy nie będzie Monachium, Frankfurt czy Wiedeń, ale lotnisko CPK znajdujące się w Polsce.

To przecież wybrzmiało wprost – po co nam lotnisko, skoro mamy Frankfurt, Monachium...

Pan Trzaskowski powiedział o Berlinie, co jest szczególnie śmieszne, bo to niemieckie lotnisko jest najlepszym przykładem, jak nie projektować i budować takiego portu lotniczego. To też nie jest w swojej strukturze lotnisko hubowe, ponieważ Lufthansa ma swoje porty przesiadkowe nie w Berlinie, ale we Frankfurcie i w Monachium. Ale rozumiem, że takie myślenie wynika z pewnego nawyku, że wszystko, co za zachodnią granicą, jest lepsze, wspanialsze i bardziej potrzebne, a my tu w Polsce powinniśmy się usterwać w pozycji klientelistycznej.

Cóż, zarzut można zrobić z wszystkiego – także z niepokoju, że nic się na terenie budowy CPK nie dzieje. Nie wiadać koparek, spychaczy... Czytam już, że część mediów jest zaniepokojona, czy termin 2027/2028 r. jest realny?



Każdy projekt budowlany ma swoje fazy i etapy. Jeśli ktokolwiek budował dom, to wie, że najpierw trzeba kupić działkę, dokonać uzgodnień, zaprojektować i znów uzyskać zgody i pozwolenia, znaleźć firmę, która to zbuduje. To nie jest tak, że wpada się na pomysł i następnego dnia koparka ryje ziemię i leje się beton. Na terenie CPK są wciąż prowadzone uzgodnienia, ale faktycznie jesteśmy w przededniu wbicia łopaty. Wszystko wskazuje na to, że takie prace rozpoczniemy na przełomie sierpnia i września.

Minister infrastruktury zatwierdził plan generalny Centralnego Portu Komunikacyjnego, który określa scenariusz rozwoju nowego portu lotniczego do końca 2060 r. To jeden z kluczowych dokumentów koniecznych do założenia i budowy lotniska. Termin w 2027 r. jest realny?

Tak. Wciąż jest to termin niezwykle ambitny, zakładający zakończenie prac budowlanych w 2027 r., a komercyjne otwarcie w 2028 r. To wyrównanie rekordu światowego, bo w tym tempie powstawało lotnisko w Stambule czy lotniska chińskie. To byłby więc rekord w Unii Europejskiej. Wspomniany już port Berlin Brandenburg tak liczony – od pierwszej decyzji do komercyjnego otwarcia, to ponad 20 lat! A skoro zakładany termin otwarcia CPK jest rekordowy, to muszę zastrzec, że wiele ryzyk przed nami, że wiele może się stać podczas projektowania i budowy. Nie można wykluczyć, że w przyszłości powstaną jakieś opóźnienia. Ale dotychczas te ryzyka się nie zmaterializowały i trzymamy się harmonogramu.

„Nie wiemy, gdzie lotnisko ma powstać, granice były przesuwane, nie wiadomo było, czy obejmą Stanisławów, Kaski, trochę oszczędzono część terenu, ale my

do końca nie wiemy. I nie wierzymy w te zapewnienia, że do 2027 r. lotnisko będzie gotowe” – tak obecny etap budowy komentują w rozmowie z RMF FM mieszkańcy Baranowa.

Ja wiem, że gdy przedstawi się wypowiedź ministra i zwykłego obywatela, to naturalnie sympatia sprzyja temu drugiemu. Mogę jednak powiedzieć, że dziś nie wie ten, kto wiedzieć nie chce. Wszelkie informacje na temat inwestycji są przekazywane wszelkimi dostępnymi kanałami, są infolinia i strona internetowa CPK, są opiekunowie obszarów, którzy osobiście zajmują się właśnie przekazywaniem informacji do konkretnych mieszkańców okolic planowanej inwestycji. Jeśli jednak ktoś sobie nie życzy rozmowy, nie szuka żadnych informacji – no to nie wie.

Kiedy od mieszkańców usłyszeliśmy, że nie chcą żyć w niepewności, że chcą wiedzieć, by wcześniej uregulować sprawy majątkowe, zaplanować przyszłość, znaleźć inne miejsce do życia, wtedy na bardzo wczesnym etapie inwestycji rozpoczęliśmy Program Dobrowolnych Nabyć. Zrobiliśmy to na większym obszarze potencjalnej inwestycji, gdy zakładaliśmy jeszcze kilka wariantów. Następnie zawężiliśmy ten teren do obszaru preferowanej lokalizacji lotniska. Kolejne doprecyzowanie to wnioski o decyzję środowiskową i wariant inwestorski. Wszystkie te informacje były podawane publicznie i są z łatwością dostępne.

Cóż, można odnieść wrażenie, że pozyskiwanie terenów pod inwestycję stało się głównym punktem zapalnym protestów społecznych. Tymczasem Program Dobrowolnych Nabyć objął już 80 proc. zabudowanych nieruchomości z terenu planowanego lotniska.

Zdecydowana większość mieszkańców zgłosiła się do programu, którego pulę dla pierwszego etapu lotniska zamknęliśmy w związku z czasem potrzebnym na procedowanie tych zgłoszeń. Ale to nie jest koniec PDN w ogóle. Dla kolejnych etapów inwestycji lotniskowej czy kolejowej, gdy już przyjdzie ten moment zaawansowania procesu inwestycyjnego – takie programy też będą prowadzone. Co do PDN to z dnia na dzień przybywa podpisanych umów, a wielkość zakupionego terenu przekroczyła już 700 ha. Przypomnę, że Program Dobrowolnych Nabyć nie był standardem dla większości inwestycji w Polsce. Zdecydowaną większość gruntów nabędziemy w sposób dobrowolny, a nie przez mechanizm wywłaszczenia za odszkodowaniami.

Te protesty kiedyś zamilkną?

Już dziś dochodzi do sytuacji, gdy kupujemy dom, na którego płocie wciąż wisi baner „Nie dla CPK”, ale właściciele uznali, że warunki zaproponowane przez nas są na tyle atrakcyjne, że warto jednak wziąć udział w programie. Oczywiście jest grupa kilkudziesięciu protestujących, którzy uczynili sobie z tego główne zajęcie. Jest też strona internetowa, założona kiedyś przez asystentkę pana posła Macieja Łaskę z KO. Ale jeśli spojrzeć na ogół mieszkańców okolic Baranowa, to wydaje się, że ten główny opór wygasł i oczywiście istnieje medialnie, ale już nie w wymiarze rzeczywistego protestu społecznego.

Jest pan politykiem doświadczonym w postępowaniu z takimi protestami, a pytam o nie, bo mamy właśnie kolejną odsłonę ataku na Turów. Tamtejsza kopalnia ma wstrzymać wydobycie węgla – zdecydował Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie i wstrzymał wykonanie decyzji środowiskowej. To dzięki niej w lutym Ministerstwo Klimatu i Środowiska wydało pozwolenie na dalsze wydobycie węgla. To druga obok CPK inwestycja, która wciąż pobudza opozycję.

Według opozycyjnych organizacji ekologicznych inwestycje niosące rozwój, wzrost gospodarczy mogą działać w Niemczech, ale w Polsce mamy mieć nieskalaną przyrodę i najlepiej, żebyśmy wrócili do polowań za pomocą własnoręcznie wystruganych oszczepów. A już na poważnie: Turów to sytuacja zerojedynkowa, bo jeśli w Polsce zabraknie – jak się szacuje – 7 proc. mocy w krajowym systemie, to gdzieś będziemy musieli tę energię kupić. Podobnie jest z CPK, który jeśli nie powstanie, to ponad 80 proc. rynku cargo w ruchu lotniczym będzie obsługiwane przez lotniska poza Polską, głównie w Niemczech. Hipotetyczne i absolutnie nierealne zamknięcie Turowa byłoby uderzeniem w bezpieczeństwo energetyczne Polski, stąd dziwi decyzja WSA. Jakież elementy zdrowego rozsądku powinny jednak zwyciężać z proceduralną kazuistyką, bo nie znając nawet przebiegu tego procesu, można jasno powiedzieć, że zamknięcie Turowa w takim trybie jest niezrozumiałe i wręcz absurdalne.

Ależ takich absurdów mamy w Europie więcej. Projekt Fit for 55 zakłada, że będziemy rezygnować z latania samolotami. Słyszę natychmiast pytanie – w takim razie po co nam CPK?

Pomówmy o elementarnych danych. Statystyczny mieszkaniec państw Europy Zachodniej lata samolotem 2–3 razy w roku. Załóżmy, że w wyniku Fit for 55 będzie latał o połowę mniej. Gdyby Polacy latali ok. 1,5 raza w roku, to oznacza, że brakuje nam dziś ok. 20–30 mln przepustowości na polskich lotniskach, zwłaszcza w największym porcie – obsługującym aglomerację warszawską i połączenia międzykontynentalne. To, że będziemy musieli zmierzyć się z organicznym wzrostem liczby pasażerów w Polsce, jest oczywiste, bo na to wskazują prognozy ruchu, możemy dyskutować ewentualnie o tempie. Zatem te pierwsze etapy budowy CPK, zakładające maksymalną przepustowość na blisko 40 mln pasażerów rocznie, są uzasadnione i konieczne. Co więcej, to lotnisko będzie przynosić zyski jako inwestycja już przy 22–23 mln pasażerów, a przy 30 mln trzeba będzie przestąpić już do budowania kolejnego etapu. Zatem pierwszy etap budowy CPK to po prostu nadgonienie zapóźnienia, z którym już się mierzymy.

Z resortu infrastruktury pełnomocnik rządu ds. CPK przeszedł do Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej. Ta zmiana ułatwiła panu planowanie pozyskiwania środków na polską inwestycję stulecia? KPO wciąż czeka...

Krajowy Program Odbudowy w budżecie CPK nie stanowi jakiegś poważnej pozycji. KPO ma nieco inny wymiar cza-

sowy i z punktu widzenia naszej inwestycji tylko niektóre prace studialne i projektowe są finansowane z tych środków. Cały program inwestycyjny CPK jest podzielony na kilka dużych obszarów. Samo lotnisko jest – bo zgodnie z przepisami UE musi być – przedsięwzięciem komercyjnym. I w związku z tym komercyjne jest też jego finansowanie. Część oczywiście pokryje inwestor mniejszościowy.

Mowa o Koreańczykach z Incheon International Airport Corporation?

Jesteśmy na ostatnim etapie postępowania wyboru ofert inwestora mniejszościowego i mogę powiedzieć, że IIAC jest jednym z oferentów. Drugim – bo też podali tę informację publicznie, jest koncern Vinci, jeden z największych operatorów lotnisk na świecie notowany na francuskiej giełdzie. Co do pozostałych propozycji wiąże nas tajemnica handlowa. Wybierzemy oczywiście najlepszą ofertę na kapitał mniejszościowy, a skarb państwa pozostanie udziałowcem większościowym.

Z kolei pozostałe inwestycje wokół CPK – infrastruktura kolejowa wręcz odwrotnie – nie są inwestycjami stricte komercyjnymi. To zatem jest finansowane publiczne: polski budżet plus środki unijne, ale raczej nie z KPO, tylko z Feniksa, funduszy strukturalnych lub z koszyka funduszy przeznaczonych na rozwój sieci transportowej TEN-T. Jak zestawimy sobie plany krajowego planu budowy dróg i autostrad, krajowego programu kolejowego i CPK, to wychodzi, że w najbliższej perspektywie unijnej na rozwój sieci transportowej w Polsce zostanie wydanych prawie 600 mld zł. To daje 5–6-krotny wzrost wydatków na infrastrukturę w porównaniu choćby z 2015 r. To w istocie budowa nowego systemu transportowego Polski.

W gabinecie ministra Horalę, posła z Gdyni, wisi plakat stulecia portu Gdynia. Ma pan takie poczucie, że buduje drugą Gdynię? Centralny Port Komunikacyjny jest przedsięwzięciem stulecia?

Tak. Choć z dwoma zastrzeżeniami. Nie ja buduję, tylko to już dziś tysiące osób i dziesiątki instytucji. Gdy budowała się Gdynia, to były inne czasy, inne formalności, stąd personalnie pod względem decyzyjnym to był oczywiście Eugeniusz Kwiatkowski, a pod względem bieżącego zarządzania inż. Tadeusz Wenda – i im można pewnie takie role przypisać. Tu, w CPK, to zdecydowanie gra zespołowa i to bardzo dużego zespołu. Co do istoty – faktycznie lotnisko CPK jest dla transportu lotniczego tym, czym Gdynia była dla Polski w latach 20. dla transportu morskiego. Pozwala na wpięcie się do międzynarodowego, globalnego systemu transportowego i handlowego. Tyle że Gdynia miała jedną szprychę – magistralę węglową. System komunikacyjny CPK to 10 kolejowych szprych i pozwoli on na rozprowadzenie transportu po całej Polsce i dalej – korytarzami TEN-T, połączeniem z Rail Baltica – do Czech czy też dzięki przygotowywanemu właśnie studium wykonalności dla odcinka kolei dużych prędkości do Lwowa. A przez Lwów biegnie trasa najkrótszego połączenia z portami w Odessie i Konstancy. To zmienia zupełnie system transportowy w Europie na kierunku północ-południe. 



**ALIOR
BANK**

KONTO JAKŻE OSOBISTE

SOCZYSTYCH WAKACJI PEŁNYCH KORZYŚCI ZA 0 ZŁ



- PROWADZENIE KONTA
- OBSŁUGA KARTY
- WSZYSTKIE KORZYŚCI NA KONCIE

PROMOCJA

www.aliorbank.pl

PROMOCJA OBOWIĄZUJE PRZEZ PEŁNE 3 MIESIĄCE OD OTWARCIA KONTA

W ramach oferty specjalnej „Konto Jakże Osobiste – oferta wakacyjna” nie pobieramy opłaty za prowadzenie konta, obsługę karty płatniczej debetowej oraz za wybrane przez Ciebie korzyści na koncie. Pozostałe opłaty są zgodne z Taryfą Opłat i Prowizji Alior Banku SA dla Klientów Indywidualnych. Oferta specjalna na ww. warunkach dotyczy każdego uczestnika, który skorzystał z oferty specjalnej, przez okres 3 pełnych miesięcy liczonych od dnia zawarcia umowy z bankiem. Z oferty specjalnej można skorzystać od 1.06.2023 r. do 31.08.2023 r. przez otwarcie Konta Jakże Osobistego. W dniu przystąpienia do oferty specjalnej uczestnik nie może być posiadaczem lub współposiadaczem innego Konta Jakże Osobistego w banku. Szczegóły oferty specjalnej są dostępne w Regulaminie oferty specjalnej „Konto Jakże Osobiste – oferta wakacyjna”. Po upływie 3 miesięcy od objęcia uczestnika ofertą specjalną nie pobierzemy opłaty 10 zł za prowadzenie konta, jeśli w danym miesiącu kalendarzowym na konto wpłynęło jednorazowo min. 1500 zł z innego banku lub z konta firmowego w naszym banku (jako wpływ nie są traktowane przelewy z rachunków Kantoru Walutowego Alior Banku należących do klientów indywidualnych i biznesowych) lub jeśli nie masz ukończonych 26 lat. Nie pobierzemy opłaty 5 zł za obsługę karty do konta, jeśli od ostatniego dnia poprzedniego miesiąca do przedostatniego dnia danego miesiąca wykonasz nią transakcje bezgotówkowe na łącznie min. 300 zł lub nie masz ukończonych 18 lat. Dwie korzyści będą bezpłatne, każda kolejna to koszt 3,50 zł miesięcznie. Szczegółowe zasady dot. wszystkich korzyści zawarte są w Regulaminie Korzyści do Konta Jakże Osobistego. Szczegółowe zasady regulujące korzystanie z konta oraz karty znajdują się w Regulaminie rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych, oszczędnościowych i terminowych lokat oszczędnościowych oraz w Regulaminie kart płatniczych Alior Banku SA. Zastosowane w niniejszym materiale pojęcia oznaczają zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych: prowadzenie konta – prowadzenie rachunku płatniczego, obsługa karty do konta – obsługa karty płatniczej debetowej. Stan na 1.06.2023 r.

Nie tylko zachwyty nad Manchester City

Od 15 lat Manchester City miał ambicję wygrania Ligi Mistrzów. Szejk Mansour bin Zayed w wywiadzie telewizyjnym przed zakupem klubu powiedział dziennikarzowi BBC: „Tak, jeśli trzeba, będziemy płacić za zawodników po 100 mln euro. Nie ma żadnego problemu”. Wtedy brzmiało to jak obietnice szaleńca



CEZARY KOWALSKI

Wkrótce okazało się jednak, że shejk ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich nie rzucił słów na wiatr. Długo nie sprawdzało się tylko jedno. Wciąż nie było tego Pucharu Europy w gablocie City.

Mimo kosmicznych inwestycji przegrywali w ćwierćfinałach i półfinałach, raz w wielkim finale. Ulegali rywalom, a także samym sobie. W końcu się udało. 10 czerwca w Stambule po swoim najsłabszym meczu w tej edycji Ligi Mistrzów Obywatele wygrali finał – 1:0 z Interem Mediolan.

Były oczywiście pytania: czy Pep Guardiola znowu czegoś nie schrzani w momencie najważniejszej próby? Czy nie przekombinuje, tak jak mu się to zdarzało?



Czy nie będzie chciał wyważyć otwartych drzwi, które stały otworem przed trzecim w jego karierze trenerskiej zwycięstwem w Lidze Mistrzów (z Barceloną wygrywał w 2009 i 2011 r.)?

Kiedy na Wembley podnosił to drugie trofeum, nikt się chyba nie spodziewał, że na kolejny finał będzie musiał czekać dekadę (w finale z Manchesterem City uległ Chelsea w 2021 r.). Był przecież wówczas najbardziej pożądanym trenerem na świecie, uważanym za geniusza. Jak obecnie zresztą.

Katalończyk przebył drogę pełną frustracji. Wytykano mu, że będąc trenerem Bayernu czy od siedmiu lat Manchesteru, wydał miliardy euro i funtów na wszelkie swoje fanaberie, a spodziewanego efektu brakowało.

To już jednak historia. Pep został czwartym trenerem, który trzykrotnie zdobył trofeum. Rekordzista jest Carlo Ancelotti, który wygrał cztery razy, ale dziś wydaje się, że Hiszpan może pobić Włocha nie tylko tak jak na Etihad w półfinale (Real przegrał z City 0:4).

POKONAĆ PECHA

Analizując, dlaczego Guardiola aż tak długo musiał czekać na swój kolejny sukces, nie sposób pominąć wyjątkowego pecha, meczów, w których jego drużyna miała przynajmniej jedną przewagę, i niezliczone sytuacje, których nie udawało się wykorzystywać. A przede wszystkim finałnie nawalał on sam. Jego zmiany (albo ich brak), poprawki, których dokonywał w ostatniej chwili, jakieś taktyczne cuda, które proponował, jakby za wszelką cenę próbował odegrać coś ekstrawaganckiego, kończyły się źle.

Guardiola stał się piłkarskim filozofem, który za dużo myśli – pisał „The Guardian”, kiedy Manchester City odpadał w nieprawdopodobnych okolicznościach.

W obecnym sezonie ewidentnie mniej kombinował. Ma galowy skład i nim szachuje rywali, po prostu ich rozbija. W pierwszym meczu półfinałowym z Realem nie zmienił ani jednego zawodnika. Na drugi wyszedł dokładnie w tym samym zestawieniu. W finale zmienił tylko dwóch, w tym Kevina de Bruyne z konieczności, bo

ten doznał kontuzji. Nie ma wyjątkowo rozbudowanego składu, choć przecież mógłby mieć, pracuje tylko z tymi, do których ma 100-proc. zaufanie. Jeśli coś się zmienia w jego postrzeganiu gracza, skreśla go nawet w trakcie sezonu (vide: João Cancelo).

To w połączeniu z tym, że uzupełnił brakujący element, czyli dobrał do drużyny jednego z dwóch, trzech najlepszych obecnie napastników na świecie (Erling Haaland, zdobywca 52 goli w sezonie) sprawia, że jesteśmy świadkami narodzin nowej europejskiej potęgi. Zapewne na długie lata.

Potęgi, która jest w stanie odsunąć na bok stare super kluby, jak Real czy Bayern Monachium. Potęgi, która jest kwintesencją zmian zachodzących we współczesnym świecie klubowej europejskiej piłki. Dowodem na to, że mając mądrego trenera, wielkie pieniądze, które są przez niego wydawane, w końcu muszą przynieść efekt.

No, chyba że zajrzemy pod ten pięknie wyglądający dywan...

NA CENZUROWANYM

Manchester City jest największą drużyną czy największym oszustem? – pytał „The Times”, niejako wpisując się w nurt brytyjskiego środowiska piłkarskiego, które daje odczuć, że obecny mistrz jest najmniej kochanym spośród najbardziej tradycyjnych piłkarskich angielskich klubów.

I to mimo że jesteśmy świadkami gry jednego z najlepszych zespołów w historii futbolu. Jeśli takie określenie ekipy Pepa Guardioli jest przesadą, to jedynie nieznaczną. W jednym sezonie zdobyli wszystko, co najważniejsze. Mistrzostwo, czyli czwarty tytuł w ciągu pięciu lat. Trzeci z rzędu. Puchar Anglii i Puchar Europy. Gracze z Manchesteru prezentują kosmiczny futbol, a ich trener zasługuje na tytuł geniusza, który rewolucjonizuje współczesny futbol, odkrywa go na nowo.

Na klubie ciąży jednak aż 115 zarzutów ołamanie zasad Premier League. I właśnie one powodują pewien niesmak.

Mimo że bezpośrednio nie dotyczą obecnego sezonu, to nie sposób nie zauważyć ciągu przyczynowo-skutkowego i jednak wpływu dawnych zdarzeń na to, co widzimy teraz. Chodzi o cztery obszary: podawanie nieprawdziwych informacji o sytuacji finansowej klubu, nieuwzględnienie wszystkich szczegółów kontraktów zawodników i trenerów, naruszenie kra-

jowych i europejskich przepisów finansowego fair play oraz braku współpracy przy prowadzeniu dochodzenia.

To nie jest powtórka z 2020 r., kiedy UEFA wykluczyła City na dwa lata z rozgrywek międzynarodowych, ale działaczom udało się spektakularnie wywinąć po odwołaniu do Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu w Lozannie (skończyło się na 30 mln euro kary, co dla szejków z ZEA nie stanowiło problemu). W tym przypadku ruszyła po prostu lawina naprawdę mocnych oskarżeń.

Cofnijmy się do sezonu 2011/2012. W ostatniej kolejce gola na wagę mistrzostwa w 94. minucie na 3:2 z Queens Park Rangers strzelał Kun Agüero i stał się legendą. Pieczętuje początek nowej ery Citizens, pierwsze mistrzostwo od 1968 r. Ale nie byłoby na to nawet szansy, gdyby najważniejszy zawodnik drużyny w tamtym czasie – Yaya Touré – nie strzelił dwa razy celnie sześć dni wcześniej na St. James' Park. Podobnie dzieje się dwa lata później przy okazji drugiego tytułu, poprzedzonego wspaniałym wyścigiem z Liverpooliem. Nie byłoby pięciu kolejnych zwycięstw, gdyby wracający po kontuzji Touré nie wypracował gola Edinowi Dzeko, a później sam nie strzelił na 2:0 na Selhurst Park z Crystal Palace...

Były reprezentant Wybrzeża Kości Słoniowej był jednym z najbardziej wpływowych i najlepiej zarabiających graczy w najnowszej historii City. A zarzuty dotyczą m.in. właśnie jego. Według informacji „Der Spiegel”, który publikował słynne dokumenty Football Leaks, Abu Dhabi United Group dokonała tajnych płatności w wysokości co najmniej 4 mln funtów na rzecz agenta Touré w latach 2010–2015. Wynika z tego, że pieniądze te były płatne, by zatrzymać zawodnika w City i tak by nie było to ujęte w oficjalnych kosztach klubu.

Do dziś sprawa nie jest rozstrzygnięta, ale „The Times” twierdzi, że jest to jeden ze 115 powodów, by wątpić w to, że obecna potęga Manchesteru City została zbudowana zgodnie z prawem i zasadami oraz nie jest efektem wielkiego piłkarskiego szwindlu.

Jasne, że dziś City grają świetnie i można pytać co ma fantastyczny mecz z Realem w półfinale Ligi Mistrzów do Yaya Touré? Ale przecież to są naczynia połączone. Przecież dzięki tamtym wydarzeniom wartość klubu wzrosła, bo nic nie przyciąga

bardziej pieniędzy od sponsorów niż zdobywanie tytułów czy możliwość ekspozycji w Lidze Mistrzów. W ciągu sześciu lat od pierwszego występu City w Lidze Mistrzów wartość choćby powierzchni reklamowych na koszulkach wzrosła dwukrotnie.

Według badań Deloitte Manchester City od dwóch lat zajmuje pierwsze miejsce w lidze finansowej. Jednym zdaniem: jest najbogatszym klubem na świecie. Podczas gdy w 2009 r., pierwszym po przejściu przez rodzinę królewską z Abu Zabi, klub znajdował się na pozycji numer 19.

Takie wzrosty budują pozycję. Każdy z sezonów, w którym City wyprzedzali np. Liverpool i zdobywali mistrzostwo, przynosił im z samej Premier League o 15 mln funtów więcej niż rywalowi. A to pozwala kupić choćby takiego gracza jak Manuel Akanji, którego nie dał rady zakontraktować rywal.

Docierając do finału Ligi Mistrzów w Stambule, Manchester City zarobił 110 mln funtów za same prawa telewizyjne, czyli prawie o 90 mln więcej niż wielki rywal zza miedzy Manchester United (odpadł w ćwierćfinale Ligi Europy). Czyli masz w kieszeni gotową sumkę na takiego Jacka Grealisha choćby. Kupujesz lepszych graczy, masz lepszy wynik. W dużym uproszczeniu tak mniej więcej to działa. 115 zarzutów wskazuje jednak, że City poszli drogą na skróty. Zaniżali swoje koszty, kręcili, kombinowali...

Czy mamy prawo podważać zasługi zawodników, trenera, uderzać w wielki spektakl, na który nas zabrali? „Wyobraź sobie, że jesteś jednym z graczy City. W szczytowym momencie swojej kariery grasz dla jednej z najlepszych drużyn wszech czasów lub dla jednego z największych oszustów. Jedno lub drugie będzie twoim dziedzictwem, a prawdopodobnie i jednym, i drugim. Ale chciałbyś to wiedzieć, prawda?” – pyta retorycznie Owen Slot z „The Times”.

Czy dowiemy się jaka była prawda? Być może Manchester City zostanie zdegradowany, być może przystąpi do rozgrywek z ujemnymi punktami, a może znów wykipi się jakimś finansowym zadośćuczynieniem? Nie wiadomo także, kiedy zostanie ukarany (w moim odczuciu miliardero wlos z glowy nie spadnie).

Pewne jest jedno. W tej beczce miodu i strumieniu zachwytów, które spływają na City w ostatnim czasie, znajduje się coś bardzo nieprzyjemnie pachnącego.

Autor jest komentatorem Polsat Sport



ORLEN mocno wesprze rozwój polskiego basketu

Polska koszykówka nigdy nie miała tak dobrych perspektyw

Przez kolejne trzy lata ORLEN będzie odgrywać rolę strategicznego partnera męskiej i żeńskiej reprezentacji Polski w koszykówce, w tym kadry 3x3. Dodatkowo największy sponsor polskiego sportu pojawi się w nazwie najwyższych klas rozgrywkowych w kraju, czyli ORLEN Basket Ligi Kobiet i Mężczyzn. Ważnym elementem nowej umowy między ORLENEM a Polskim Związkiem Koszykówki będzie wsparcie 16 reprezentacji juniorskich, programów szkoleniowych dla młodzieży oraz kadry koszykarzy na wózkach

Podpisanie umowy między ORLENEM a Polskim Związkiem Koszykówki jest rezultatem optymalizacji polityki sponsoringowej w ramach Grupy ORLEN po realizacji kolejnego etapu budowy multienergetycznego koncernu w ub.r. Wcześniej koszykówka była przez wiele lat wspierana przez Enerę z Grupy ORLEN oraz LOTOS. Teraz marka ORLEN będzie towarzyszyć zarówno koszykarzom, jak i kibicom podczas najważniejszych wydarzeń związanych z tą dyscypliną sportową.

– Koszykówka cieszy się w Polsce coraz większym zainteresowaniem, a jej atrak-

cyjność dodatkowo wzmocniły ubiegłoroczne sukcesy polskiej reprezentacji. Współpraca z Polskim Związkiem Koszykówki to dla nas gwarancja dotarcia do milionów kibiców, których liczebność z pewnością wzrośnie m.in. dzięki mistrzostwom Europy w 2025 r., których Polska jest współgospodarzem. Budujemy silną markę w oparciu o silne sojusze, dlatego Polski Związek Koszykówki jest dla nas naturalnym partnerem – mówi Adam Burak, członek zarządu PKN ORLEN ds. komunikacji i marketingu.

– Cieszymy się, że w tak dużym stopniu dołączamy do elitarnej rodziny sportowej wspieranej przez PKN ORLEN. To dla nas zaszczyt i powód do dumy, że kluczowy w naszej części Europy koncern multienergetyczny widzi potencjał w koszykówce i będzie ją wspierał w dalszym rozwoju. Jestem przekonany, że długofalowa współpraca pozwoli naszej dyscyplinie na osiągnięcie kolejnych sukcesów. To ważny dzień dla polskiej koszykówki – mówi Radosław Piesiewicz, prezes Polskiego Związku Koszykówki i Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

W ramach przedłużonej umowy ORLEN będzie mieć prawo do wykorzystania wizerunku wszystkich kadr narodowych w swoich działaniach marketingowych. Logotyp ORLEN zostanie eksponowany na strojach meczowych i treningowych reprezentacji, strojach klubowych podczas meczów, parkietach koszykarskich, bandach, telebimach, banerach, materiałach promocyjnych oraz w kanałach komunikacji cyfrowej.

W ostatnich latach polska koszykówka przeżywa renesans. Jesienią 2022 r. reprezentacja, prowadzona przez Igora Miličića, po raz pierwszy od ponad 50 lat awansowała do strefy medalowej Eurobasketu. Zajęła czwarte miejsce, pokonując po drodze słoweńską drużynę, która broniła tytułu i miała w składzie gwiazdę NBA, jaką niewątpliwie jest Luka Dončić. Również w popularnej odmianie koszykówki 3x3 polscy zawodnicy i zawodniczki osiągają doskonałe wyniki. Na poprzednich mistrzostwach świata drużyna U23 zdobyła złoty medal, a obie seniorskie reprezentacje zdobyły brązowe medale na dwóch ostatnich mistrzostwach Starego Kontynentu. Na klubowych parkietach ANWIL Włocławek niedawno triumfował w FIBA

Daniel Obajtek,
prezes zarządu PKN ORLEN

Korzyści dla obu stron

ORLEN jest największym sponsorem sportu w Polsce, dlatego wśród licznych dyscyplin, które wspieramy, nie mogło zabraknąć koszykówki. To obecnie trzecia najchętniej uprawiana gra zespołowa w naszym kraju. Współpraca koncernu ORLEN z Polskim Związkiem Koszykówki przyniesie obu stronom wymierne korzyści. Dla nas to przede wszystkim możliwość dalszego wzmocnienia rozpoznawalności marki ORLEN, dla związku – wsparcie ze strony wiarygodnego i rzetelnego partnera. Jestem przekonany, że naszą współpracę docenią również kibice. W ramach podpisanej umowy koncern będzie wspierał m.in. kształcenie nowych kadr koszykarzy, co zaowocuje wzmocnieniem potencjału polskich drużyn także w rozgrywkach międzynarodowych.

Radosław Piesiewicz,
prezes PZKosz i PKOl

To ważny dzień

Cieszymy się, że w tak dużym stopniu dołączamy do elitarnej rodziny sportowej wspieranej przez PKN ORLEN. To dla nas zaszczyt i powód do dumy, że kluczowy w naszej części Europy koncern multienergetyczny widzi potencjał w koszykówce i będzie ją wspierał w dalszym rozwoju. Jestem przekonany, że długofalowa współpraca pozwoli naszej dyscyplinie na osiągnięcie kolejnych sukcesów. To ważny dzień dla polskiej koszykówki.

Europe Cup, stając się pierwszym polskim zespołem, który zdobył to trofeum. Reprezentacja Polski ma również w swoim składzie wschodzącą gwiazdę NBA. Jeremy Sochan został wybrany z numerem dziewięć w drafcie w 2022 r. i zanotował świetny debiutancki sezon w barwach San Antonio Spurs.

Sukcesy reprezentacji Polski oraz polskich koszykarzy przyczyniają się do

rosnącego zainteresowania tą dyscypliną sportu. Badania przeprowadzone przez ARC Rynek i Opinia potwierdzają, że koszykówka od lat zajmuje czołowe miejsce w zestawieniach najbardziej popularnych sportów w kraju. Duży wpływ na marketingową wartość koszykówki mają długoterminowe kontrakty telewizyjne. Telewizja Polska będzie transmitować mecze reprezentacji Polski w koszykówce aż do 2025 r., a telewizja Polsat będzie pokazywać ponad 140 meczów ORLEN Basket Ligi rocznie aż do 2030 r.

Ważnym elementem nowej umowy z PZKosz jest wsparcie 16 reprezentacji młodzieżowych, które stanowią zaplecze dla przyszłej kadry koszykówki. W 2022 r. te reprezentacje brały udział w turniejach finałowych młodzieżowych mistrzostw Europy FIBA dywizji A. Ponadto ORLEN będzie sponsorem dwóch kluczowych programów szkoleniowych dla młodzieży – szkolnych młodzieżowych ośrodków koszykówki obejmujących 148 placówek, w których ćwiczy ponad 7,7 tys. dzieci i 320 trenerów, oraz koszykarskich ośrodków szkolenia sportowego młodzieży, zrzeszających ponad 800 uczestników szkolonych przez 143 trenerów w 48 placówkach na terenie całego kraju.

Warto zwrócić uwagę, że ORLEN, decydując się na współpracę ze związkiem sportowym, nie ogranicza swojego wsparcia jedynie do pierwszych reprezentacji, ale otacza swoją opieką całą dyscyplinę sportu, włączając w to wsparcie szkolenia wśród najmłodszych czy także sport osób z niepełnosprawnościami, jak ma to miejsce w przypadku polskiej reprezentacji koszykówki na wózkach.

– Mogę z całą pewnością powiedzieć, że odkąd pamiętam, polska koszykówka nigdy nie miała tak dobrych perspektyw rozwoju jak obecnie – powiedział Łukasz Koszarek, były kapitan reprezentacji Polski, który przed kilkoma dniami zakończył swoją bogatą karierę zawodniczą i został dyrektorem kadry narodowej. ➤

PARTNER DODATKU



ANDRZEJ SMOLIK

MUZYK, KOMPOZYTOR, PRODUCENT

Czuje wschód w mojej duszy

Będzie jedną z gwiazd Koncertu Kolektywów (23 czerwca) tegorocznego Festiwalu Wschód Kultury. Wystąpi w Rzeszowie, gdzie przygotowano pierwszą odsłonę (w najnowszej edycji) tego cyklicznego przedsięwzięcia – łączącego w wakacyjny czas trzy największe ośrodki kulturalne wschodniej Polski: Rzeszów, Lublin i Białystok. W sumie przez 11 dni (czerwca, lipca i sierpnia) na festiwalowych

scenach wystąpi ponad 100 artystów. Będzie wśród nich Andrzej Smolik.

– Zagramy premierowo (w duecie Smolik / Kev Fox) nasz nowy kawałek – zapowiada. – Potem zaczniemy mieszać: nasze kawałki i Aliny Pash [ukraińskiej raperki, z którą stworzą w czasie koncertu minizespół, jeden z wielu tego wieczoru – przyp. red.]. – Być może uda nam się to skleić w jedną formę, zgodnie z ideą wydarzenia – przenikania kultur. Pokazania z jednej strony różnorodności, a z drugiej tożsamości, poszukiwania wspólnych korzeni.

– Alina Pash w sposób niezwykle łączy to, co ludowe, z elektroniką, elementami hip-hopu i muzyką, którą można by usłyszeć w każdej szerokości geograficznej – dopowiada Smolik, podkreślając, że jest w wykonaniach raperki coś, co go przyciąga. – Mam wschodnie korzenie, więc i wpisana w DNA muzyczno-genetyczną bliskość do pewnych harmonicznym czy rytmicznych rozwiązań. Ja je po prostu czuję – dodaje.

– Nie wiem, jak się w tym odnajdzie Kev Fox, bo to Brytyjczyk z krwi i kości. Mimo 10 lat współpracy (i tego, że przez całe życie słuchałem muzyki brytyjskiej) wiele nas różni – tu się uruchamia moja wschodnia dusza. Podejrzewam, że Kev może być zaskoczony rozbieżnością między tym, co sobie wyobraża, a tym, czemu będzie musiał stawić czoła na scenie.

O Rzeszowie mówi, że to jedno z wielu miast, w których grali, grają czy będą grać. – Nie ma takiego miasta, do którego miałbym uprzedzenia, w którym źle bym się czuł – zapewnia. – W każdym można znaleźć fajne miejsca i ludzi, odkryć coś wyjątkowego, wsłuchać się w jakąś historię. Każde witam z wielką radością i chciałbym też z radością je opuszczać.

Ale to w Rzeszowie spędził mnóstwo świetnych chwil, będąc jeszcze muzykiem Wilków. Zaczynał jako klawiszowiec w tej grupie, potem współpra-

cował m.in. z zespołem Hey, Marią Peszek i Miką Urbaniak, produkował też płyty Kasi Nosowskiej, Roberta Gawlińskiego i Krzysztofa Krawczyka. – Grywaliśmy wtedy częściej w tym mieście – podkreśla.

– Przychodziło mnóstwo rzeszowskich muzyków, których bardzo dobrze wspominam. Była tam duża zimnofalowa scena [Cold Wave – jeden z nurtów muzyki postpunkowej – przyp. red.] z bardzo fajnymi zespołami. To wspomnienie buduje we mnie obraz miasta, bo patrzę na nie przez pryzmat muzyków i muzyki.

– Urodziłem się w Świnoujściu, ale mój dziadek pochodził z za Uralu. Był skośnookim Rosjaninem, który uciekł przed komunistami. Czuje ten wschód w krwioobiegu i duszy. Jednocześnie równie blisko jest mi do Zachodu, bo wychowałem się, słuchając muzyki z tamtego kierunku. Szczególnie lubię białą angielską muzę we wszelkich jej odsłonach, a równocześnie kocham folk. Nie tyle ze Wschodu, bo tego rejonu muzycznego nie znam, ale całkiem nieźle rozeznaję się w muzyce świata (w różnych jej klimatach), zwłaszcza rodzimej i pierwotnej.

– Mieszkam teraz w Warszawie, ale wciąż pozostaję człowiekiem znad morza. Kiedy dojeżdżam do rogatek Świnoujścia, czuję, że wracam do domu. Podobnie jednak odbieram drogę do Warszawy: wjeżdżam do niej i wiem, że jestem w domu.

Jolanta Gajda-Zadźworna

* * *

Tegoroczny Festiwal Wschód Kultury rozpocznie się 23–25 czerwca Europejskim Stadionem Kultury w Rzeszowie. W programie oprócz muzyki także wydarzenia z innych dziedzin: teatru, tańca, sztuk plastycznych, fotografii. Organizatorzy zapowiadają bogatą ofertę dla dzieci, a także strefę gastronomiczną i specjalny projekt Rzeszowskich Piwnic. Lublin zaprosi 6–9 lipca na Inne Brzmienia. Białostocki Inny Wymiar odbędzie się 24–27 sierpnia.

Więcej informacji na www.wschodkultury.eu.



Smak ziół

ANNA MONICKA

Moje oregano wybujało wspaniale, podobnie jak mięta, melisa, szczypior i majeranek. Ustawiłam w tym roku kilkanaście donic z ziołami, a oregano rozsiało się w ciągu kilku lat tak mocno, że tworzy ładne, duże kępy przy płocie. Zrywam po kilka listków do sałatek, posypuję nim pieczone warzywa, makarony, zupy. Pozwalam moim ziołom kwitnąć, żeby nacieszyły się nimi także motyle, pszczoły i inne zapylacze.

Ale po ostatnich burzach, gdy zaczęły rosnąć jak szalone i zrobiły się bardzo soczyste, uznałam, że czas na pierwsze postrzyżyny. Gdy tylko obeschły z deszczu, pościinałam krzewy mniej więcej o połowę, powiązałam w pęczki i część zawiesiłam do suszenia, część zamroziłam w kostkach lodu – to najlepszy sposób np. na majeranek, którego smak jest na świeżo zdecydowanie lepszy niż suszonego. Lubczyk pakuję do małych strunowych torebek, wyciskam z nich powietrze i układam na płasko w zamrażarce (żadne inne ziółko nie daje takiego kopniaka rosolowi), a z pietruszki w br. zrobię cudowną zieloną oliwę, którą również można przechowywać w zamrażalniku w małych pojemniczkach i dodawać zimną do gotowanych czy pieczonych ziemniaków, gulaszy warzywnych albo zapiekanki. Jest także świetną przyprawą do rozmaitych zielonych koktajli owocowo-warzywnych – kapka oliwy sprawia, że lepiej przyswajamy witaminy A, E, K oraz szczególnie cenną D, której tak często nam w naszej szerokości geograficznej brakuje. Specjalnie z myślą o tej miksturze kupiłam foremki do lodu w kształcie długich patyczków, które można dzielić na mniejsze cząstki.

Robi się ją bardzo prosto – trzeba tylko obrać listki z 3–4 gęstych pęczków pietruszki oraz 2–3 np. bazylii (polecam tajską, bo bardzo mocno i pięknie pachnie), zahartować je wrzątkiem na sicie i zmiksować na papkę z ząbkim lub dwoma czosnkiem, łyżką soku z cytryny lub limonki, odrobiną soli i litrem dobrego, ciepłego oleju rzepakowego, najlepiej nierafinowanego, świeżo tłoczonego. Gęste sito wykładamy gazą, ustawiamy na schłodzonej misce i wlewamy zieloną masę – musi dobrze odciec. Oliwa ma piękny zielony kolor i wspaniały smak. Można ją przechowywać w lodówce około tygodnia, ale zapewniam, że szybko scho-
dzi. Jest podstawą wszelkich dressingów, sosów sałatkowych, nadaje kolor chłodnikom. Warto spróbować.



WILCZYM OKIEM

Instant piegża

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Piegża (*Curruca curruca*), niekiedy zaliczana do rodzaju Sylvia, to gatunek ptaka śpiewającego z rodziny pokrzewek, których kilka gatunków występuje w Polsce.

Piegża ma brązowawy wierzch ciała, szarą głowę z białym podgardlem i wąsem, jasny brzuch. Jest nieduża, mniejsza od wróbla. Zimy spędza w Afryce na południe od Sahary i w rejonie Półwyspu Arabskiego, a od kwietnia do września przebywa na lęgowskich – w tym w Polsce. Jak inne pokrzewki dużo i chętnie śpiewa. Jej śpiew jest dwuczęściowy: pierwsza część to cichutki świergot, po którym następuje głośnie, kilkusekundowe, jednonotowe klekotanie. Nie jest wirtuozem, ale jej głos jest żywy i wesoły.

Podobnie też jak inne pokrzewki piegża nie ma wielkich wymagań. Jedną z rzeczy, których potrzebuje, są gęste krzewy – chociażby bujne żywopłoty. Pokrzewki bowiem swoje nieduże, wyplatane gniazda zakładają w gęstych krzewach. Taka gęstwinka jest też dla nich bezpiecznym schronieniem. Nie pojawiają się więc w najpiękniejszym nawet parku ze starymi drzewami, jeżeli zabraknie tam rozłożystych krzewów. Oczywiście nie chcę w żadnym przypadku ujmować starym drzewom, są niezbędne, bez dwóch zdań. Chcę tylko zwrócić uwagę na krzewy.

Cotrzeba zrobić, żeby przyciągnąć pokrzewki? Nie przycinać co chwilę krzewów, żywopłotów itp. Naprawdę nic im się nie stanie, jeżeli zamiast mizernego, wystrzyżonego krzaczka będziemy mieli ładny, duży, rozrośnięty krzak. Robiąc tak, zyskujemy ptaki w sąsiedztwie, a dodatkowo więcej zieleni.

Ostatnio po raz kolejny miałem okazję zaobserwować zbawienny wpływ nieprzycinania krzewów. Jakiś czas temu poprosiłem ekipę utrzymującą zieleni nieopodal mojego domu, żeby nie cięła dwóch kalin. W poprzednich latach robiła to regularnie. Bez powodu, bardziej dla zasady – ciąć, żeby było przycięte. Oba krzaki były więc nieduże i nie tworzyły gęstwiny – widać było przez nie na przestrzał. Po zaniechaniu przycinania kaliny ruszyły w górę i na boki. Małe cherlaki stały się okazałymi roślinami. A z ich zielonego wnętrza zaczął dobiegać śpiew piegży.

Stąd tytuł – instant piegża, jak zupka instant, którą wystarczy zalać wrzątkiem i gotowe. Żeby mieć piegżę, wystarczy przestać przycinać krzewy.



Plama na czole

Dzieje się jak zwykle – po niemiecku „wie üblich”: najpierw któryś z redakcyjnych zadaniowców, „verzeihung!”/przepraszam, wolnych i niezależnych korespondentów, donosi w którejś z ogólnoniemieckich gazet, co w naszej politycznej trawie piszczy, potem ów donos omawia na antenie i w internecie polska sekcja publicznego kanału radiowo-telewizyjnego Niemieckiej Fali/Deutsche Welle, następnie omówienia tegoż omówienia dokonują oczywiście wolne i niezależne polskojęzyczne redakcje niemieckich koncernów w naszym kraju, wreszcie, omówienie omówienia omawiają nasi politycy, i kółko się zamyka, i znów piszczy. Nie inaczej jest tym razem.

Niemiecki korespondent dwojga imion bez nazwiska Philipp Fritz odkrył, co „zagroza demokratycznym podstawom państwa” polskiego, że prawdziwym celem komisji mającej zbadać ruskie wpływy jest „dyskredytacja opozycji”, tudzież „blokowanie drogi do państwowych urzędów” jej reprezentantom. Jak zawyrokował w weekendowym wydaniu „Die Welt”: nasz „rząd depcze od lat nie tylko polskie prawo, lecz także prawo UE”. I zaapelował: „Bruksela musi się bronić”, ba, podsunął nawet jak – „dysponuje instrumentem władzy jakim są pieniądze. A te, jak wiadomo, są najbardziej skuteczne”...

Fritz wie coś o tym, w przeciwnym razie nie byłby warszawskim korespondentem multimedialnej, Europejskiej Spółki

Akcyjnej Axela Springera. A skoro wie, to pisze. Dużo pisze. Że „Polska wykorzystała rabat przyznany jej za rolę w wojnie Rosji z Ukrainą”, ale skończyło się już babci... i „Komisja Europejska musi być teraz twarda”.

Wynurzenia Fritza omówiła, „wie üblich”, Deutsche Welle itd., i kółko się zamknęło, i piszczy, i w Warszawie, i w Brukseli. Oj, ciężko być opozycją w tym naszym niedemokratycznym kraju, na szczęście ma ona jeszcze „Fritzów”. W Niemczech, to co innego: każdy mógł za parę marek dać sobie namalować czerwoną plamę na czole, na cześć podejmowanego w Bonn Gorbaczowa, sekretarza generalnego komunistycznej partii i prezydenta ZSRR, kanclerz Kohl mógł bez obaw pakować się do bani z Jelcynem, prezydentem Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Radzieckiej, zażyły z Putinem kanclerz Schröder może do dziś mieć lukratywną fuchę w ruskim koncernie gazowym, kanclerz Merkel mogła rozwijać rusko-niemiecką pepowinę gazową, kanclerz Scholz może toczyć telefoniczny dialog ze ściganym międzynarodowym listem gończym „carem” Rosji? – to jest wzór! Więc nie gadać tylko do hymnu!: „Einigkeit und Recht und Freiheit, für das deutsche Vaterland!/.Jedność i prawo, i wolność dla niemieckiej ojczyzny”...



**Piotr
Cywiński**

REKLAMA

Gdzie te pieniądze były zakopane?



Były w:

- **nieszczelnym systemie podatkowym**
- **kieszeniach oszustów VAT-owskich**
- **szarej strefie**

www.niezakopane.gov.pl

Dramatyczne pytanie ciągle aktualne

Czyja będzie Polska – to pytanie pierwszy głośno i stanowczo zadał Jan Olszewski pamiętnego 4 czerwca 1992 r. w czasie „nocnej zmiany”, „nocy teczek”. Wtedy wrogie ubeckie gremia obaliły jego rząd. Premier Olszewski mówił wyraźnie, że przeprowadzenie lustracji jest absolutnie konieczne, jeśli chcemy odzyskać elementarne warunki do samodzielności i suwerenności. Po latach to pytanie z przerażeniem zadaje sobie wiele osób, szczególnie teraz, po tzw. marszu PO i reszty, których łączy przede wszystkim brak mądrego, dobrego myślenia o przyszłości Polski, nie mówiąc już o jakimś programie gospodarczym.

Będąc poza Warszawą, rozmawiałam z wieloma ludźmi i wszyscy zgodnie z wyraźnym brakiem akceptacji podkreślali jedno – jak można używać tak wulgarnej języka. Słownictwo, twarze, agresja, sposób zachowania, wygląd, wszystko razem świetnie wpisuje się w encyklopedyczne określenie motłochu. Wtedy nasuwa się pytanie – jak tacy ludzie mogą ubiegać się o władzę w Polsce, dużym środkowoeuropejskim kraju, gdzie już samo położenie między Rosją i Niemcami wymaga dyplomacji, mądrej polityki i państwowej siły, by zachować niepodległość?

Premier Jan Olszewski podkreślał, że naród polski powinien mieć poczucie, że wśród rządzących nie ma ludzi, którzy pomagali UB i SB utrzymywać Polaków w zniewoleniu i służyli obcym interesom. Uważał, że tacy ludzie są zagrożeniem dla wolnej Polski. Tak czytelnego i jasnego postawienia sprawy wystraszyli się nawet ci, których mecenas Olszewski bronił w procesach politycznych w PRL. Możemy zobaczyć na nagraniach filmowych, w jaką furję wpadł wówczas Jacek Kuroń i reszta jego kolegów, niby zwolenników niepodległej Polski. Donald Tusk wołał: „Panowie, policzmy głosy!”. Tamto jego zachowanie demaskuje go i ośmiesza. Dzisiaj po latach widzimy ten sam strach w oczach przewodniczącego PO wobec powołania komisji ds. zbadania rosyjskich wpływów w Polsce.

Jan Olszewski opowiadał się przeciwko porozumieniu z komunistami i ich następcami, zmutowanymi różnymi partiami, wrogo nastawionymi do lustracji, dekomunizacji, biorącymi udział w złodziejskim rozgrabianiu majątku narodowego. Antoni Macierewicz, ówczesny szef MSW, realizując uchwałę lustracyjną przyjętą przez Sejm 28 maja 1992 r., ujawnił listę agentów SB i UB w najwyższych władzach Polski, 64 osoby z Lechem Wałęsą na czele. Prezydent Wałęsa złożył wniosek o odwołanie rządu premiera Jana Olszewskiego po powrocie z Moskwy i podpisaniu tam 22 maja 1992 r. traktatu polsko-rosyjskiego o przejściu polskich terenów, na których były rosyjskie bazy wojskowe, przez spółki rosyjskie o statusie eksterytorialnym. Premier Jan Olszewski natychmiast zablokował to zdradzieckie porozumienie, wysyłając telegram na dwie godziny przed jego ratyfikowaniem. Było to wydarzenie bez precedensu.



**Alina
Czerniakowska**

Minister Piotr Naimski, wówczas szef UOP, uważa: „Rząd Jana Olszewskiego upadł, bo zanegował ustalenia okrągłego stołu, naruszył wszystkie tamte trzy porozumienia, to znaczy – milczenie w sprawie agentury i wszelkich służb ubeckich, przyzwolenie dla dzikiego uwłaszczenia nomenklatury i agentury, a także utrzymanie Polski w strefie szarości bezpieczeństwa i podległości politycznej. Była to zemsta Moskwy za ograniczenie jej wpływów w Polsce, a narzędziem tego odwetu był Lech Wałęsa, być może ciągle szantażowany przez rosyjską agenturę. To jeszcze gorsze niż sprawa Bolka”.

Od tamtego czasu minęło 31 lat, dzisiaj rząd PiS toczy nadal walkę o silną, praworządną Polskę. Za-

dajemy sobie pytania, dlaczego wszystko idzie tak opornie, co należało zrobić już w 1989 r., by odrzucić całe zło PRL, dlaczego tak długo czekaliśmy na wolne wybory. Teraz widzimy, jakie zjawiska nałożyły się na dawną mentalność PRL-owską, spowodowały, że pieniądź stał się jedynym miernikiem wartości. Trzeba było walczyć z korupcją, bo ówczesna prywatyzacja była po prostu kradzieżą majątku narodowego. Wtedy Jan Olszewski powiedział znamienne słowa: „Niewidzialna, anonimowa ręka w prywatyzacji jest ręką aferzysty”. Czy były wówczas szanse na porządną lustrację? W Polsce nie doszło do rozliczenia PRL, prawie pół wieku rządów pod kuratelą Moskwy nigdy nie zostało odkryte i osądzone! Dlaczego nie przeprowadzono lustracji, deubekizacji, nie wyznaczono wyraźnej cezury między PRL a nową, wolną Polską?

Na te i tym podobne pytania należy sobie teraz odpowiedzieć, by zrozumieć obecną sytuację i walkę o władzę takich ludzi jak Donald Tusk, Radosław Sikorski i inni. Wówczas należało przede wszystkim zabezpieczyć nasz majątek narodowy, by nie doszło do niekontrolowanej wyprzedaży, prywatyzacji, defraudacji i przejścia przez ludzi mających swoje umocowania w dawnych strukturach komunistycznych i agenturalnych. Dlaczego upadł rząd premiera Jana Olszewskiego, komu na tym zależało? Dzisiaj te pytania nadal pozostają aktualne.

Jan Olszewski nie miał wątpliwości, że jeżeli nie załatwimy problemu agentury – i to w sposób radykalny – to będzie bardzo trudno w ogóle mówić o jakimkolwiek uzdrowieniu życia publicznego w Polsce. Od samego początku traktował tę sprawę jako zupełnie zasadniczą.

Przyszłość Polski zależy od mądrości i czujności tej zdrowej części narodu polskiego, od tych którzy mają wiedzę, nie dają się nabierać wulgarnym cwaniakom, kłamcom, kochają Polskę i będą pragnęli zachować, ocalić i pomnożyć całe nasze ponad tysiącletnie dziedzictwo, o co prosił nasz wielki rodak, papież Jan Paweł II.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

PRZEZ ŚWIETLIK

W tył zwrot!

Myszę, że jesteśmy nieraz zbyt surowi dla naszej opozycji spod znaku Donalda Tuska. Zaangażowanie w nią wymaga nieprawdopodobnej uwagi i zdolności przystosowania, bo trendy się zmieniają co i rusz. Np. tuż przed wyborami zapanowała moda na... Polskę i patriotyzm.

Już nie brudni odbiorcy 500+ zasypujący molo puszkami po piwie po to, by Tusk potknął się podczas joggingu. Już nie faszystowscy strażnicy graniczni prześladowujący turystów organizowanych przez biuro podróży Aleksandra Łukaszenki. Już nie zacofani wychowankowie Jana Pawła II i kard. Sapielhy, obrońcy pedofilów, cuchnący kadzidłem, uprzedzeniami i wstecznictwem. Już nie anty-Europejczycy, którzy nie rozumieją, że gwiazdzista ważniejsza jest od biało-czerwonej. Od teraz, na kilka miesięcy aż do wyborów, Polakami zostaliśmy wszyscy.

W czasie swojej wielkiej – uczciwie mówiąc, nawet jak było 150 tys. ludzi – demonstracji Donald Tusk wciąż mówił o Polsce. O Unii Europejskiej jak na lekarstwo. Potem pisał na Twitterze o patriotyzmie. Żadnych „Mahlera i Ko-



**Wiktor
Świetlik**

koszki”, których znamy z jego wiekopomnej „Szczerej” książki, a także „malwazji”. Malwazji symbolicznej, bo nie ma w słowniku polskim takiego słowa, jest „małmazja”. Dopiero co był taki europejski.

Nie doczekaliśmy się też ani wsparcia dla unijnych sądów postulatów zamknięcia kopalni węgla kamiennego Turów, ani domagania się od rządu ugięcia w sprawie relokacji uchodźców. Nowy facet! A do wyborów jeszcze pięć miesięcy. Zraz się okaże, że i Janusz Kowalski to przy nim mięczak.

Zastanawiam się tylko, jak poradzą sobie z tym inni. Jak organizatorzy platformianego Campusu Polska Przyszłości będą przekonywać swoich prelegentów, że Polska to jednak nie obciach, a straż graniczna i policja są OK. Jak Juras będzie przekonywał muzyków przed wyborczym Woodstockiem, by nie pluli na katolików, bo przez to można przegrać wybory. Prawdy etapu może nie wymagają poświęceń, ale sporo uwagi – owszem tak. Obawiam się, że z nią może być problem, bo nienawiść nie sprzyja koncentracji.

Potęga smaku

Gdy w polskim Sejmie modne stało się siłowe rozwiązywanie sporów (to śp. Andrzej Lepper jako pierwszy rozpoczął blokowanie mównicy sejmowej), zasugerowałem rekrutowanie posłów wśród zawodników sportów walki: bokserów, dżudoków, karateków itd. Nie sądziłem, że ktoś na serio potraktuje moje żartobliwe dywagacje i immunitet będzie chronić sejmowych Nitrasopodobnych chuliganów!

Ulice opanowała kodziarsko-feministyczno-tęczowa koalicja – osobnicy wyjątkowo agresywni niezależnie od przynależności do jednej z kilkudziesięciu płci zdefiniowanych przez ideologów gender. Pamiętamy fizyczną napaść „niebinarnych” na działacza prolife czy wściekle osaczanie redaktor Magdaleny Ogórek. Dziś zawodowi zadymiarze – szkoleni przez lewackich ekspertów od zastraszania i prowokacji – brutalnie atakują kościoły, procesje, biją księży. I opiewają z przywilejów polskich katolików.

Nie mając pewności co do wygranej w demokratycznych wyborach, postbolszewicy prą do siłowego przejścia wła-



**Lech
Makowiecki**

dzy, bezczelnie oskarżając o bolszewizm drugą stronę politycznego sporu. Nie znając nawet polskiego hymnu, kreują się dziś na patriotów. I mimo wyniesionej z resortowych rodzin ojkofobii maszerują pod biało-czerwonymi flagami. Żądają tolerancji dla demoralizacji, a sami próbują zdehumanizować normalną większość społeczeństwa.

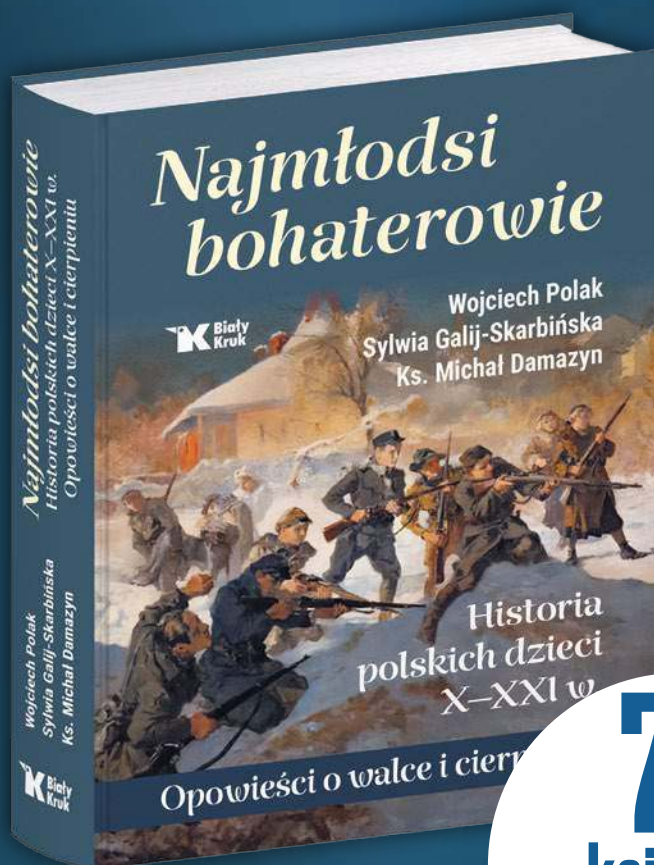
Zdziczenie obyczajów wspierają nie tylko elity polityczne, lecz także tzw. ludzie kultury. Ostatni popis aktorstwa Andrzeja Seweryna wielce mnie zniesmaczył. Mówiąc swoim własnym tekstem, popularny aktor nie wcielił się w rolę chama. On po prostu był sobą. Adresując do młodzieży wulgarny i chory od nienawiści przekaz, niczym nie ryzykował, ba – zyskał nawet poklask...

PS Genialny poeta Zbigniew Herbert nie gloryfikował swojej walki z komuną. W wierszu „Potęga smaku” zakpił z klasą: „To wcale nie wymagało wielkiego charakteru / Mieliśmy odrobinę niezbędnej odwagi / Lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku / Tak smaku...”

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**w SIECI
HISTORII**



Dzieci rzadko trafiają na karty historii, ale autorzy książki znaleźli mnóstwo przykładów heroizmu najmłodszych w dziejach Polski od X do XXI wieku.

Powstała książka, jakiej jeszcze nie było. Czyta się ją z zapartym tchem i ze łzami w oczach.

536 STRON | TWARDA OPRAWA | BOGATO ILUSTROWANA |
DLA WIELBICIELI HISTORII

75
książek
w prezencie

Książkę „**Najmłodszy bohaterowie. Historia polskich dzieci X-XXI w.**” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **w SIECI HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.



Fot. Shutterstock

**Michał Korsun prezentuje:
Komisarz UE Didier Reynders
uderza w Polskę jak w bęben**

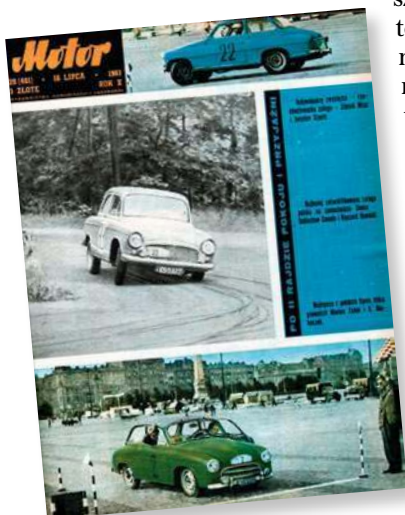


Wycinki z przeszłości

Tygodnik „Motor” w lipcu 1961 r. wracał do sprawy budowy fabryki w Olsztynie. Redakcja podkreślała, że o lokalizację inwestycji zabiegało wiele miast. Wybrano stolicę Warmii i Mazur, bo „zwyciężyła zasada uprzemysławiania i lokalizacji wielkich zakładów przemysłowych w rejonach rolniczych”. Raportowano, że „przygotowania do budowy fabryki są już w pełnym toku. Nowy zakład wybudowany zostanie na peryferiach miasta kosztem kilkuset milionów złotych. W przyszłym miesiącu rozpocznie pracę biuro fabryki, które zajmie się szkoleniem i rekrutacją kadry technicznej. Budowa zasadniczych obiektów produkcyjnych oraz maszyn i urządzeń technicznych zostanie zakończona w połowie roku 1965. Fabryka zatrudniać będzie prawie 2500 robotników”.

I tak się stało. Zakłady funkcjonują z powodzeniem do dzisiaj, choć jak duża część przemysłu w okresie balcerowiczowskim zostały sprzedane obcemu kapitałowi. Marka Stomil Olsztyn przetrwała tylko w klubie piłkarskim.

(mk)



Ten biało-czerwony łopot...

Czy był to rzeczywisty, czy zamierzony tekst jakiegoś hymnu? Trzeba by rozpytać Wojciecha Wencła. Znakomitego poetę, niedawnego tu, na tych stronach, autora felietonów, a do tego świetnej książki o Lechoniu. W czerwcową rocznicę (8 czerwca 1956 r.) samobójczej śmierci, w rocznicę tamtego skoku z nowojorskiego hotelu Hudson, co roku biegnie w tamtą stronę parę uporczywych myśli. W stronę genialnego poety, kryształowego Polaka, człowieka. Czy szczęśliwego? Obdarował polskość wyjątkowo pięknie i hojnie. Z oczywistym gorzkim przy tej okazji Norwidowskim skojarzeniem: „Ideal sięgnął bruku”.



Leszek Długosz

Jan Lechoń (1899–1956) „Hymn Polaków na obczyźnie”

*Jedna jest Polska, jak Bóg jeden w niebie,
Wszystkie me siły jej składam w ofierze
Na całe życie, które wziąłem z Ciebie,
Cały do Ciebie, Ojczyzno, należę.*

*Twych wielkich mężów przykład doskonały,
Twych bohaterów wielbię święte kości
Wierzę w Twą przyszłość pełną wielkiej chwały,
Potęgi, dobra i sprawiedliwości.*

*Wiem, że nie ucisk i chciwe podboje,
Lecz wolność ludów szła pod Twoim znakiem,
Że nie ma dziejów piękniejszych niż Twoje
I większej chluby, niżli być Polakiem.*

*Jestem jak żołnierz na wszystko gotowy
I jak w Ojczyźnie, tak i w obcym kraju
Czuwam i strzegę skarbu polskiej mowy,
Polskiego ducha, polskiego zwycaju.*

*Z narodem polskim na zawsze związany
O każdej chwili to samo z nim czuję,
Do wspólnej wielkiej przyszłości wezwany
Wszystkim Polakom braterstwo ślubuję.*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przeliczeń w stopce redakcyjnej



13. urodziny portalu wPolityce.pl

w środę 21 czerwca o 19:00
w telewizji **W POLSCE PL**

Podczas uroczystej Gali wręczymy statuetkę
Biało-Czerwonych Róż portalu wPolityce.pl

PARTNER PLATYNOWY:



PARTNER ŻŁOTY:



PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



PARTNERZY WSPIERAJĄCY:





OD A DO ZYBERTOWICZ

Kanarek przestał śpiewać

*Od sztuki nie oczekujemy milczenia.
Bardziej wyrażania tego, co niewyraźalne.
Czy udało się to rzeźbiarzom hiperrealistom?*

Tydzień temu opisałam tu wrażenia z pobytu w Zamku na Skale (Dolny Śląsk), gdzie był organizowany Salon Kultury, Nauki i Biznesu „Genius Loci”. Wspominałam prelekcje, a wśród nich niektóre motywy z wystąpienia Krzysztofa Zanussiego. Przypomina mi się jeszcze jeden.

Zanussiego niepokoi, że współcześnie kroczymy ku cywilizacji śmierci. Przywołał wykorzystywanie kiedyś przez górników w kopalni klatki z kanarkiem. Kanarek pełnił funkcję czujnika. Gdy przestawał śpiewać, znaczyło, że ulation się trujący gaz, i górnicy wracali na powierzchnię. Dla Zanussiego sztuka jest trochę takim kanarkiem. I w tym kontekście zdaniem artysty niepokojące jest to, że sztuka w drugiej połowie XX w. jakby zaczęła milknąć czy mówić półgłosem. Jak to ujął – zorientowała się na skalę masową na to, co popularne i niskie po prostu.

Refleksje Zanussiego nałożyły się w mojej głowie na odczucia, które wywołała we mnie niedawna wizyta w rzymskiej galerii sztuki.

SEMBRA VIVO!

Popolsku to znaczy: wygląda na żywe! To włoski tytuł wystawy, którą w pięknym

Palazzo Bonaparte w Rzymie można oglądać od końca maja, potrwa chyba do września. Wystawa jest poświęcona rzeźbie hiperrealistycznej. Obejrzałam ją dzięki namowom syna. Jego zaintrygowały zdjęcia promujące to wydarzenie na ulicach Rzymu. Uwagę przyciągały zwłaszcza dwa: jeden z głową Andy’ego Warhola, drugi – ze starą kobietą tulącą noworodka.

Od hiperrealistycznych rzeźb przedstawiających ludzi albo ich części ciała można dostać zawrotu głowy. Nie są to bynajmniej manekiny wyższej generacji. Rzeźbiarze hiperrealiści, wykorzystując niezwykle pracochłonne techniki, tworzą rzeźby wyglądające jak ludzie z krwi i kości.

Na wystawie można obejrzyć np. głośną pracę Duane’a Hansona („Two Workers”, 1993). To dwaj robotnicy. Wiemy, że nie są żywi, ale poszczególne elementy ich ciała, jak włosy, skóra, paznokcie skutecznie zwodzą.

Dwa silikonowe popiersia pływaczek („General’s Twin”, 2009–2011) autorstwa Carole A. Feuerman przynoszą wrażenie, że kobiety w kostiumach i czepkach pływackich właśnie wyszły z wody. Na ich twarzach rysuje się błogość, którą daje przebywanie w wodzie. Można wczuć się w lekkość, którą one czują. Kropelki wody na ich skórze wyglądają jak prawdziwe.

Największe wrażenie zrobiła na mnie praca Sama Jinksa („Woman and Child”, 2010). To postać starej kobiety, która z czułością tuli noworodka. Podobno włosy na rzeźbie kobiety są ludzkie, prawdziwe. Niby w postaci staruszki

i maleńkiego dziecka nie ma nic szczególnie poruszającego, a jednak tak bezpośrednie zestawienie końca i początku ludzkiego życia wybija emocje ze stanu komfortu. W tyle głowy snują się pytania: co z klonowaniem ludzi? A zatem: babcia to czy matka, kobieta, która pod koniec życia – dzięki technologii – spełnia pragnienie macierzyństwa?

Niedaleko mamy drzwi pokoju hotelowego z numerem 69 i wywieszką „Nie przeszkadzać”. Wszystko gra, tyle że pod drzwiami wystawiono nosidełko z niemowlęciem...

Nie jestem pewna, czy w intencji twórców wystawy ma ona prowokować, czy też skłaniać do niespiesznej zadumy.

Przyznam, że poplątanie uczuć towarzyszyło mi podczas oglądania prac. Z jednej strony uznanie dla artystów, ich pieczołowitego odwzorowania rzeczywistości, z drugiej – niepokój. Czy silikonowe postacie nie zwiastują nadchodzącego dziwnego świata wysokiej technologii i sztucznej inteligencji? Czy techniki cyfrowe ze swoimi coraz doskonalszymi deepfake’ami będą nas zwodziły jeszcze skuteczniej niż XX-wieczni artyści?

Znawcy sztuki mówią, że dzieła hiperrealistów są jak zwierciadło ludzkiej kondycji. Są próbką tego, jak wygląda ludzkie postrzeganie własnego jestestwa.

Kanarek – żywy, ten z kopalni – spełniał swoją funkcję, gdy przestawał śpiewać. Od sztuki nie oczekujemy milczenia. Bardziej wyrażania tego, co niewyraźalne. Czy udało się to rzeźbiarzom hiperrealistom?

Katarzyna Zybortowicz



Sprawdź, jak to jest zyskiwać VELOkrotnie

- do 600 zł zwrotu za zakupy kartą, telefonem lub BLIKIEM
- 8% w skali roku na nowe środki na koncie oszczędnościowym
- wygodna aplikacja mobilna

velobank.pl

W ramach promocji „Witaj w VeloBanku” – edycja 1/2023” wypłacimy Ci na konto oszczędnościowe VeloSkarbonka 10% wartości transakcji bezgotówkowych na VeloKoncie wykonanych kartą do konta lub BLIKIEM (z wyłączeniem Przelewu na telefon BLIK) – maksymalnie 100 zł w ciągu każdych kolejnych 30 dni od daty otwarcia VeloKonta i maksymalnie 600 zł podczas 180 dni okresu trwania promocji. Możesz przystąpić do promocji do 31.08.2023 r. Aby przystąpić do promocji, musisz mieć VeloKonto, VeloSkarbonkę, aktywne zgody marketingowe oraz nie mieć u nas konta od 31.10.2022 r. Szczegóły promocji w regulaminie.

Oprocentowanie stałe 8% w skali roku do 300 tys. zł oraz 6% w skali roku dla nadwyżki od 300 tys. zł do 400 tys. zł w Ofercie Specjalnej „Nowe środki na Elastycznym Koncie Oszczędnościowym” (edycja 6/2023) dotyczy nowych środków i obowiązuje przez 3 miesiące. Możesz skorzystać z oferty, jeśli do 17.07.2023 r. wpłacisz nowe środki na Elastyczne Konto Oszczędnościowe i wyrazisz dla nas zgody marketingowe. Szczegóły oferty, w tym definicja „nowych środków”, w regulaminie Oferty Specjalnej.

Regulaminy promocji/oferty i rachunków oraz szczegóły oferty VeloKonta, opłaty i prowizje udostępniamy na velobank.pl i w naszych placówkach. VeloKonto, VeloSkarbonka i Elastyczne Konto Oszczędnościowe to prowadzenie rachunków płatniczych. Bankowość mobilna (aplikacja VeloBank) to usługa bankowości elektronicznej. Produkty oferuje VeloBank S.A.

KIBICUJMY RAZEM POLSKIEJ REPREZENTACJI

#JESTEŚMYJEDNĄDRUŻYNĄ



POLSKA



KRAKÓW MAŁOPOLSKA
EG2023
3rd EUROPEAN GAMES



SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Główny Partner Medyczny